

Guy N. Smith

Zew krabów

NOTA AUTORA

Po ataku na Blue Ocean gigantyczne kraby zaatakowały Barmouth, gdzie zniszczyły wiadukt nad ujściem rzeki i spowodowały śmierć wielu ludzi.

Ostatecznie pokonał je profesor Cliff Davenport, który przeciwstawił ich monstrualnej sile i przebiegłości swój intelekt i uwolnił wybrzeże walijskie od niebezpieczeństwa.

Ta historia opowiedziana została w "NOCY KRABÓW".

Mik e'owi Bradbury

Latem 1¹76 roku gigantyczne kraby zaatakowały wybrzeże walijskie. Część tej historii opowiedziana została w "Nocy Krabów"; ta książka jest jej kontynuacją.

Rozdział 1

Piątek - Wyspa Muszli

Irey Wali spojrzała na krępego, jasnowłosego mężczyznę, który siedział obok niej. Sposób, w jaki pochylał się nad kierownicą był poza, wyraźnie obliczoną na efekt. Swoista demonstracja. Odwróciła wzrok myśląc sobie, że jest cholernie głupia.

Mimo wszystko nie było jeszcze za późno. Mogła powiedzieć: "Przykro mi, Keith, ale zmieniłam zdanie. Odwieź mnie, proszę, do obozu". Ale to wymagało odwagi, na którą nie mogła się zdobyć w tej chwili. Poza tym Keith przekonałby ją w taki sam sugestywny sposób, jak ostatniej nocy, gdy tulili się do siebie na parkiecie, a on próbował przekrzyczeć zgrzytliwe dźwięki taniej kapeli. Wiedziała nawet, co by powiedział. "Nie bądź stuknięta, Irey. Jedziemy na Wyspę Muszli tylko na godzinę lub dwie, żeby odetchnąć trochę na plaży. Nie ma w tym nic złego, prawda? Odpoczynek od dzieci doskonale ci zrobi, a strażnicy pilnujący kempingu dobrze się nimi zajmą. Maluchy nawet nie będą za tobą tęsknić. Chryste, nie możesz zostać na kempingu cały tydzień,

a gdyby nie ja - musiałabyś, bo nie masz samochodu. Z pewnością zwariowałabyś siedząc tam cały czas, w ciągłym smrodzie waty cukrowej, ryb, chipsów i wśród tych gości nieustannie grających w bingo. Nawet idąc spać powtarzasz numery, zamiast liczyć owce. Do diabła, jesteś ze mną bezpieczna i nikt nie powie nam złego słowa. A później, zanim zdążysz się zorientować, będziesz z powrotem z dziećmi i dzień dzisiejszy pozostanie tylko wspomnieniem".

Irey westchnęła, spojrzała na sznur samochodów przed nimi. Wszczywanie dyskusji z Keithem było pozbawione sensu, poza tym nie miała na to siły. Było zbyt gorąco. Cokolwiek ma być, niech będzie.

Samochód zwolnił, a potem stanął, lecz silnik wciąż pracował na wolnych obrotach. Zamknęła oczy i wróciła pamięcią do minionej nocy.

Cała ta historia wydawała jej się bardzo emocjonująca. Była to zapewne wina atmosfery i paru ginów, które wypila. Poprosiła, by włączono jej domek do trasy patrolu i powiedziała strażnikom, że będzie w Peari Dance Hall, na wypadek, gdyby coś się działo. Kiedy wychodziła, dzieciaki spały i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiedzą, że jej nie było. Ma dobre dzieci: sześciolatniego Rodneya i czteroletnią Louise. Irey odczuwała nieodpartą potrzebę wyjścia gdziekolwiek. Może mały drink czy zjedzenie odrobiny ryby i

chipsów byłoby lepszym pomysłem. Trudno być kobietą w obecnych czasach. Samotne wyjście jest nie do pomyślenia. Jeśli nie towarzyszy ci mężczyzna, to albo nie ruszasz się nigdzie, albo idziesz dokądkolwiek, by sobie kogoś znaleźć. Mężczyźni, widząc wychodzącą samotnie kobietę, automatycznie posądzali ją, że szuka tej jednej rzeczy. To było cholernie nie w porządku. Irey wbiła paznokcie w spocone dłonie. Sznur samochodów przesunął się kilka jardów do przodu, a potem znów zamarł. Otworzyła oczy i zamknęła je ponownie.

Pośrednio była to wina Alana. Czy mąż i ojciec, który wie, czym jest miłość i odpowiedzialność, wysyła żonę i dzieci na wakacje, by móc samemu wybrać się na dwudniowe wędkowanie z kolegami z pracy? Cóż, teraz Alan płacił rachunek, klasyczna szowinistyczna męska świnią. Krążyły potem o nim różne plotki i pogłoski, lecz Irey starała się przymykać na to oczy. Nie chciała wiedzieć. Cholernie nie chciała tego słuchać! Były też próby usprawiedliwiania się, tłumaczenia. Często wychodził, gdyż jak większość członków klubu wędkarskiego, należał do drużyny strzałkowej. Bezpieczeństwo w ilości.

Również w razie potrzeby gotowe alibi. W głębi duszy Alan kochał swą rodzinę najlepiej jak potrafił, miał tylko zabawny sposób okazywania tego. Był zbyt zaabsorbowany strzałkami i wędkowaniem, by zajmować się innymi kobietami. Czyż nie powiedział jej w zeszłym tygodniu, że seks już go nie podnieca i że nie muszą już więcej tego robić? Nie mógł zrozumieć, dlaczego wybuchnęła płaczem.

A teraz ten facet, Keith. Rzuciła mu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie i mimo panującego upału poczuła na ciele gęsią skórę. Kawał chłopca, odmienny od Alana niemal we wszystkim. Ostatniej nocy, kiedy znalazł ją w kącie sali tanecznej, miała wrażenie, że żołądek jej przewraca, a serce przestaje bić.

- Samotna, kochanie? - Dziwne, ale brzmiało w tym szczerze zainteresowanie. A czyż nie było tam tuzina młodszych dziewcząt, myślących tylko o jednym? Ale on wybrał właśnie ją.

- Ja... ja wpadłam tylko na godzinkę... posłuchać muzyki. Nie mogę zostać dłużej, bo dzieciaki czekają w domku.

Postawił jej drinka, nie dając szansy na protesty. I w jakis niepojęty sposób opowieść o życiu i rozczarowaniach wylała się z niej jak rzeka.

- Na imię mam Keith - powiedział prowadząc ją na parkiet. Gdy znaleźli trochę miejsca wśród innych par, przytulił ją do siebie. Przyćmione światła dawały fiołkoworóżową poświatę.

- Miałem kiedyś żonę, ale gdy pewnego dnia wróciłem z pracy, dowiedziałem się, że odeszła z najętym ogrodnikiem. Ten facet spędzał

10

letnie miesiące strzygąc ludziom trawniki, a zimowe - wydając zarobione pieniądze z żonami swych pracodawców. Byłem

naprawdę chory, mogę ci to chyba powiedzieć. Ale wyszedłem z tego. Może pewnego dnia ustatkuję się, jeśli znajdę odpowiednią kobietę i odwagę, by ponownie się ożenić.

Jego wyznanie było swego rodzaju sygnałem. Uwolniło jej skrywane dotąd troski. Nigdy dotąd do nikogo nie mówiła w ten sposób o Alanie. Wyrzucała z siebie słowa w takim pośpiechu, jakby nagle postanowiła zdjąć z serca cały ciężar.

I dlatego właśnie była teraz tutaj, a strażnicy mieli się przez jeden dzień zająć Rodneyem i Louise. Minionej nocy wychodziła z podświadomym pragnieniem znalezienia mężczyzny. Miała to jednak być tylko wakacyjna przyjaźń. Na nic więcej by nie pozwoliła. Niewinny flirtik. Zresztą wakacje i tak miały się ku końcowi.

- Wygląda to tak, jakby dziś wszyscy wpadli na pomysł opuszczenia kempingu - położył dłoń na jej kolanie tak naturalnie, jakby znali się od lat, jakby był jej... mężem.

- Prawdopodobnie wszyscy jadą na Wyspę Muszli - w jej głosie zadrgał cień niechęci - ostatnia próba oporu, mimo iż poddała się już swemu losowi.

- Wątpię. Mogę się założyć, że wszyscy jadą

11

do Barmouth. Będzie tam dzisiaj zabawa organizowana przez stację Radio Jeden, a wiesz, że połowa tych kretynów z pewnością będzie oblegać swego ulubionego disc jockeya. Nie marnowałbym czasu na słuchanie tej bezwartościowej gadaniny.

- Myślę, że są po prostu zadowoleni, jeśli mogą choć na dzień wyrwać się z kempingu - jej ręka sama zdawała się szukać jego dłoni. - Problem w tym, że w tej części walijskiego wybrzeża jest zbyt wiele kempingów. Butlin, Pontin i teraz jeszcze ten nowy, Blue Ocean.

- Dlaczego wybrałaś się właśnie do Blue Ocean?

- Wydawało mi się, że może być nieco odmienny od innych.

- Albo tańszy.

- Może - zarumieniła się lekko. - A właściwie tak zdecydował mój mąż. Widzisz, to on zapłacił rachunek, a ja nie sądziłam, aby warto było o tym dyskutować. Wszystkie kempingi są do siebie podobne, gdy musisz tam siedzieć przez tydzień z dziećmi, które myślą tylko o zabawach i przyjemnościach. Nigdy bym nie przypuszczała, że kemping jest w twoim stylu, Keith. Bardziej Costa... coś tam, gdzie mógłbyś obracać się w najlepszym towarzystwie i zachwycać się ciemnoskórymi, kąpiącymi się pięknościami.

- To nie dla mnie. - Wcisnął znowu

12

sprzęgło i samochód potoczył się następną parę jardów. Sądziłem, że łatwiej mi będzie wtopić się w tłum, zagubić na kempingu, niż w hotelu czy pensjonacie, gdzie zwracają uwagę na wszystko, co robisz. A w każdym razie byłem ciekaw tego kempingu. Przeczytałem o nim sporo. Trzeba docenić tego faceta, Milesa Manninga, który ma dość siły i nerwów, by zagospodarować takie miejsce jak to, i to wtedy, gdy zupełnie przestała się opłacać tego typu działalność. Zdaje mi się, że to był rodzaj wyzwania, okazja dla ekscentrycznego multimilionera, by zrobić konkurencję pozostałym kempingom. I myślę, że to mu się uda. Blue Ocean jest w całości zarezerwowany. Wczoraj po popołudniu przestano nawet wpuszczać jednodniowych turystów.

- A co ty sądzisz o kempingu, Keith?

- Jest dobry, bez dwóch zdań. - Samochód znowu się zatrzymał i mężczyzna zaciągnął hamulec ręczny. - Ten kemping ma teraz przewagę nad pozostałymi, bo jest nowy. Wszystkie farby są świeże, jaskrawe i nie jest to już ten sam stary „Salon gier”, którym się znudziłaś w zeszłym roku.

Samochody znowu ruszyły; nierówny, wijący się sznur, niknący za szczytem następnego wzgórza. Pełnię satysfakcji odczuć można, dopiero wtedy, gdy samemu dotarło się na wzniesienie i zobaczyło na własne oczy, jak zatłoczona jest

13

szosa. Irej poczuła się senna. Dobrze, że nie zabrała ze sobą dzieci. Na pewno byłyby już znudzone i kłóciłyby się. I z pewnością zaraz po powrocie do domu opowiedziałyby wszystko Ala-nowi. Myśl o mężu sprawiła, że znów poczuła się winna. Nie była stworzona do przeżywania takich przygód.

Z krótkiej, nerwowej półdrzemki Irej Wali obudziła się ogarnięta paniką. Syknęła z bólu, gdy przyklepione do tapicerki fotela włosy oderwały się gwałtownie. Pełna poczucia winy i strachu chwyciła dłoń Keitha, którą wciąż jeszcze trzymał na jej gołej nodze, o kilka centymetrów wyżej niż przedtem.

Samochód trząsnął się na nierównej drodze. Wzdłuż poboczy, rozciągnięto złowieszczą drucianą siatkę, zwieńczoną drutem kolczastym. Ponad nią widać było przysadziste budynki z małymi oknami. Kilka niewielkich samolotów stało na krótkim pasie startowym.

- Gdzie... gdzie jesteśmy? - rozejrzała się nerwowo. Przez sekundę wydawało jej się, że zobaczyła znajomą postać - swego męża, z palcem oskarżycielsko wyciągniętym w jej kierunku. "Na miłość boską, Alan, trzymaj się ode mnie z daleka. Wędkuj sobie ze swoimi kolegami."

- Wyspa Muszli - w głosie Keitha Baxtera zabrzmiało znużenie. - Mówiłem ci, że te tłumy wcale się tu dziś nie wybierały.

Oprócz tych kilku

14

samochodów przed nami, wszystkie pozostałe zjechały w dół drogą do Barmouth, by złożyć hołd swemu złotoustemu prezydentowi. Na wyspie z pewnością będzie kilku obozowiczów, ale myślę, że znajdziemy tu tak potrzebny nam spokój. Minęło dopiero pół dnia.

Gdy przejeżdżali przez obóz pełen sklepów, Irej odruchowo odwróciła głowę w stronę młodzieńca, który sprzedawał bilety, Boże, pomyśleć tylko, że mogłaby spotkać kogoś znajomego. Szansa jedna na tysiąc, ale nigdy nie wiadomo.

Keith skręcił w lewo, podjechał pod stromy nasyp, za którym droga biegła już prosto. Mieli teraz widok na Wyspę Muszli. Było tu zaskakująco czysto, pomimo kilku stojących namiotów. Wyspa pokryta była falującą trawą, która już zaczynała brązowieć od palącego nieustannie słońca. Wąska, wijąca się droga dodawała miejscu uroku.

- Pojedziemy... - nagły, narastający pomruk przerodził się w ogłuszający grzmot i Irej chwyciła z przerażeniem rękę towarzysza. Nurkujący samolot sprawiał wrażenie, jakby chciał ich zaatakować jak kamikadze. Zawrócił w ostatniej chwili i łukiem poleciał w kierunku ponurych obwarowań i lśniących pasów startowych, które mijali wcześniej. Lądował z niezawodną precyzją - dymiący stalowy ptak, który zdobył niebo, a teraz wraca do swego gniazda.

15

- Ten pilot jest chyba szalony - wyszeptała z trudem. - Rozmyślnie próbował nas przestraszyć. Mógł przecież źle ocenić odległość i zabić i nas i siebie.

- Wątpię, czy w środku był pilot - odpowiedział Keith. - To miejsce jest jakąś ważną bazą doświadczalną, strzeżoną w dzień i w nocy. Nikt właściwie nie wie, co oni tam robią, oprócz tego, że eksperymentują z myśliwcami latającymi tak nisko, aby nie mogły ich namierzyć radary nieprzyjaciela. To jest właśnie mankament na Wyspie Muszli. Loty tam i z powrotem odbywają się przez cały dzień. Ale w końcu można do tego przywyknąć. Nawet ich nie zauważać. Mówiłem ci, zanim rozległ się ten huk, że jeśli pojedziemy na drugi koniec wyspy, będziemy mogli na wydmach znaleźć miłe miejsce. Wykapiemy się, popływamy albo po prostu będziemy się opalać.

- A więc byłeś już tu kiedyś?

- Często obozowałem tutaj, gdy byłem młody. Czasami miło znaleźć się znów na starych śmieciach, przypomnieć sobie miejsca, w których bywało się, kiedy życie było jeszcze pasjonujące i pełne świeżości.

Baxter zjechał z drogi. Samochód toczył się lekko przez nierówną trawę. Skręcił tylko trochę w lewo, aby ominąć kilka namiotów. Nieco dalej pomarańczowa ciężarówka i Land Rover parkowały obok siebie. Tam właśnie Keith zatrzymał

16

się i wyłączył silnik. Widniejące na tle nieba nierówne kontury piaszczystych wydm porośniętych wysoką, ostrą trawą, bujna mimo suchej pogody, zasłaniały widok nad Cardigan Bay.

- No, jesteśmy na miejscu- Keith odwrócił się do Irey. Spojrzał na jej zgrabną sylwetkę, dostrzegł mokrą od potu czerwoną koszulkę i zmiętą plisowaną spódnicę, ciemne włosy i duże, błękitne, charakterystyczne dla Walijszczyków oczy.

- Powinam była zabrać trochę jedzenia - wstała z pewnym trudem i wygładziła na sobie ubranie. - Nie rozumiem, dlaczego nigdy o tym nie pamiętam. Ten upał otumania.

- I tak zamierzałem zabrać cię później na jakiś posiłek. - Wysiadł, obszedł samochód i otworzył jej drzwiczki. - Choć na parę godzin przestańmy być typowymi angielskimi wycieczkowiczami z kosztami pełnymi jedzenia. Cieszymy się życiem. Róbmy tylko to, na co mamy ochotę.

Zaczęli się wspinać po stromiźnie ku wierzchołkom drzew. Keith szedł na przedzie, pomagając Irey. Później stanęli, przyglądając się głębokiemu, błękitnemu, lekko falującemu morzu, i złocistym piaskom, pokrywającym wybrzeże aż do północnego, skalistego krańca wyspy. Na całym tym obszarze zauważyli nie więcej niż trzydzieści osób.

- Widzisz - roześmiał się - rzeczywiście mamy całą wyspę dla siebie. Wszystkie te barany

17

wybrały się na zabawę do Radia Jeden. Znajdźmy sobie jakieś miłe, cieniste miejsce na wydmach.

Wokół mnóstwo było takich miejsc, zatoczek, wspaniałego piasku pośród szorstkiej trawy. Irey znów poczuła się spięta. Boże, Alan zamordowałby ją, gdyby się dowiedział, że z obcym facetem przyjechała w takie miejsce. Poczucie winy przerodziło się nagle w obrzydzenie, bowiem zauważyła u stóp mały przedmiot na wpół zagrzebany w piasku. Trudno było go nie rozpoznać - zużyty kondon. Ale przecież człowiek w obecnych czasach natyka się na nie wszędzie, żadne miejsce nie jest święte.

- Tu będzie dobrze. - Keith położył się na piasku, pociągając ją za sobą. - Odpocznijmy trochę od słońca.

Zapadła niezręczna cisza. Jego dłoń znów spoczęła na jej udzie i Irey nagle zamiast niechęci poczuła podniecenie.

Niewątpliwie Keith miał wobec niej jakieś zamiary, inaczej nie przywiózłby jej tutaj. Przecież mógłby mieć każdą z tych panienek w Blue Ocean, gdyby chodziło mu tylko o seks, a jednak nie zajął się żadną z nich. Widać nie tylko tego pragnął. Ich twarze zbliżyły się do siebie. Irey poczuła mocny zapach wody kolońskiej. Zamknęła oczy i zadrżała, gdy wargi Keitha odnalazły jej usta. Na

18

całym ciele poczuła gęsią skórkę. Cholerny Alan, nie całował jej tak od lat!

Irey nagle zesztyniała, powstrzymując się, aby nie odepchnąć dłoni Keitha, która zawędrowała pod jej koszulkę i pieściła piersi. No tak, to normalne! Piętnaście lat temu dziewczyna byłaby czymś takim zaszokowana, a teraz na pewno byłaby rozczarowana, gdyby to nie nastąpiło.

- Miałbym ochotę popływać - wyszeptał jej do ucha. - A ty?

- Nie zabrałam ze sobą kostiumu.

- Tutaj nie będzie ci potrzebny. W każdym razie ja nie mam kąpielówek.

- Po drodze widziałam tablicę zabraniającą kąpienia się nago.

- Tak, ale przecież nikt nas tu nie będzie niepokoił. Przynajmniej nie dzisiaj. Zauważyłem jedną czy dwie rozebrane osoby, tam dalej na plaży.

- Naprawdę nie wiem - Irey marzyła o tym, by rumieniec nie wypląwał na jej policzki z taką łatwością. - Muszę się zastanowić. - Zabrzmiało to nieco grubiańsko.

- Coś ci powiem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójde sam i zanurzę się na chwilę. Potem wrócę i opowiem ci, jak wspaniała i chłodna jest woda. Później wykapiemy się we dwoje, hm?

- Och, w porządku - wiedziała, że niezależnie od tego, co powie, i tak pójdzie się kąpać.

19

Pomysł był podniecający. Chodziło po prostu o to, że potrzebowała czasu, by to przemyśleć.

Przez zmrużone oczy obserwowała rozbierającego się Keitha. Gdy się całowali, cały czas była świadoma jego podniecenia, lecz widok obnażonego, drgającego członka odebrał jej dech w piersi. Nagle cała ta przygoda stała się czymś rzeczywistym - muskularny kochanek, który przywiózł ją tu, na wydmy. Niewiarygodne! Sprężyła się w sobie myśląc o ucieczce. Nie bądź szalona, dziewczyno! Droga powrotna była długa, najpierw przez groblę, a potem w górę do Lianbedr. Stamtąd mogła wrócić autostopem na kemping. Próbowała sobie uświadomić, że Keith nie robi nic wbrew jej woli. Po prostu będzie nalegał jak większość mężczyzn. Wystarczy, że ona powie "nie". To takie proste.

Leżała drżąc, świadoma, iż wilgoć, którą czuje między udami, to nie tylko pot. Całe jej ciało pragnęło, potrzebowało czegoś, czego nie otrzymywała ostatnio zbyt często. Przecież nikt nigdy się nie dowie. I nie skończy się to ciężą, bo brała pigułki.

Tak gorąco i cicho. Tylko daleki, nikły szum morza, głuchy jak dźwięk tam-tamów. Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że to wali jej własne serce.

Poderwała się podekscytowana. Niemal jednym ruchem ściągnęła z siebie wilgotną koszulkę

20

i stanik. Z pasją wyplątała się z pogniecionej spódniczki i odrzuciła ją na bok. Za spódnicą poleciały majtki.

Ułożyła się na plecach z westchnieniem. Całkiem naga czuła się świetnie, jak uwolniona z pęt, po latach spędzonych w jakimś

ciemnym lochu. Odprężyla się, jakby całe napięcie, które się w niej nagromadziło, nagle uleciało.

Zastanawiała się jak długo nie będzie Keitha. Nie mogła się doczekać, by zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy zostanie ją tak po powrocie. Ziewnęła i oczy poczęły się jej zamykać.

Keith Baxter doszedł do mokrego piasku i obejrzał się za siebie. Nigdzie nie było widać innych amatorów kąpieli. Być może odeszli do swoich namiotów albo schronili się gdzieś na wydmach przed upałem. Spojrzał na swoje ciało i uśmiechnął się szeroko. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś go zobaczył w stanie takiego podniecenia. Gdyby to była kobieta, prawdopodobnie zaczęłaby wrzeszczeć nieludzkim głosem i albo zostałaby wyrzucony z wyspy, albo przyjechałaby policja. Pewnie wpakowałiby go do ciupy. Nawet na prawdziwej plaży nudystów nie wolno się pokazywać z takim wzrodem. Nudyzm nie powinien podniecać seksualnie. Sytuacja wyglądała jednak inaczej, gdy na wpół już uległa dziewczycy-

21

na leżała na wydmach oczekując powrotu swego partnera.

Keith zaczął biec. Piasek pod jego stopami stawał się coraz bardziej miękki.

Do licha, pływanie podczas odpływu to czysta przyjemność. Już chciał zrezygnować i wrócić do Irey, ale pomyślał, że zaszedł zbyt daleko. Wystarczy tylko szybki skok do wody, by zobaczyła kropelki wody na jego skórze, kiedy do niej wróci.

Mimo panującego upału, woda była straszliwie zimna. Baxter sapnął głośno i zanurzył się głębiej. Pierwsze sekundy były zawsze najgorsze. Wstrzymał oddech pogrążając się niespodziewanie, gdy grunt pod nim nagle ostro się obniżył. Na moment woda zalała go całkowicie, lecz szybko się wynurzył. Silnie pracując rękami i nogami, rozsiewał wokół bryzgi wody, całkiem już orzeźwiony.

Przewrócił się na plecy i unosił na wodzie, czując prąd odpływu. Widział teraz na tle błękitnego nieba linię piaszczystych wydm i wysokie, postrzępione trawy. Zdawały się tak odległe.

Keith nie mógł oderwać myśli od Irey Wali. Należała do tych spokojnych osóbek, które tak głęboko ukrywały swe seksualne potrzeby, że w końcu niemal o nich zapominały. Niemal. Roześmiał się głośno. Jego gardłowy śmiech zabrzmiał dziwnie wśród morskich fal. Wystarczy umiejętnie odblokować ich opory, a zamieniają się w od-

22

chodzące od zmysłów nimfomanki, które nigdy nie będą miały dość. Choć czasami powodowało to komplikacje. Jeśli mężczyzna dawał im to czego pragnęły, w wystarczająco dobry sposób, wczepiały się w niego jak pijawki i przysięgały, że nigdy nie wrócą do swego mężulka. Ale Keith Baxter brał nogi za pas, zanim osiągały taki stan. Roześmiał się znowu.

Naraz radosny wybuch przerodził się w krzyk bólu. Coś trzymało jego lewą stopę, coś chwyciło ją i ostro cięło.

Poczuł, że jest wciągany w głąb. Wrzaski umilkły jak ucięte nożem, gdy kopiącego dziko wolną nogą i szaleńczo machającego ramionami, pochłonęła woda.

Opadł na nierówną powierzchnię dna. Próbował coś zobaczyć, lecz mroczna głębia ograniczała widoczność. Mimo strachu w mózgu Baxtera kłębiły się całkiem logiczne myśli. Na pewno zaczepił o coś stopą, być może o kadłub jakiejś motorówki. To było... nie, to nie mogło być!

Kształt poruszył się i przesunął, by zacisnąć się na jego drugiej nodze. Mikroskopijny pysk osadzony w pancerzu ogromnego ciała, szczypcy wielkości przemysłowych palników acetylenowych, pilnujące tego, co chwyciły i zamykające się ze złością. Fala bólu wezbrała w ciele mężczyzny. Nadal jednak szarpał się i próbował krzyczeć, choć woda zalewała mu usta. Spienione

23

morze nabrało wokół niego szkarłatnej barwy, stając się wodnym piekłem, w którym męka dopiero się zaczynała.

Baxter wiedział, że stracił nogę, czuł precyzyjne i skuteczne cięcie szczyptic. Nagle wydało mu się, że jest wolny. W panice zaczął przeć w górę ku powierzchni. Zalany oślepiającym blaskiem słońca zaczerpnął powietrza, próbując jednocześnie wołać o pomoc.

Krab, bo potwór ten był nim z pewnością, mimo swych kolosalnych rozmiarów przypląnął za Keithem z niebywałą zręcznością. Poszarpane i pokaleczone ciało mężczyzny było teraz rozgniatane na krwawą miazgę, sparaliżowane bólem, który nie pozwalał walczyć. Jeszcze tylko dłonie zaciskały się na otwartych ranach. Choć trudno w to uwierzyć, to był ten sam Baxter, który zaledwie chwilę wcześniej nadymał się pychą na myśl o Irey Wali.

Keith znalazł się znowu pod powierzchnią wody, wstrząsany konwulsjami i pokonany. Nie próbował już uciekać, lecz nadstawał pod szczypcę kraba to, co pozostało jeszcze z jego ciała, by koniec nastąpił jak najszybciej.

Ohydny krabi pysk, tak blisko jego własnej twarzy, płoń jakby nienawiścią do śmiertelnego wroga. Potwór trzymał Keitha mocno. Obracał nim dookoła w taki sposób, w jaki kot-zabójca

24

igra z okaleczoną, schwytaną myszą. Spójrz i napatrz się, zanim umrzesz!

Baxterowi nagle zaczęło się wydawać, że widzi wokół siebie tuziny pełnych nienawiści fizjonomii. Patrzących. Czekających.

Napawających się obłędnym strachem człowieka.

Na litość boską, zabij mnie!

Klik-klik-klikety-klik. Dźwięk krabich kasta-nietów, symfonia śmierci. Powolnej śmierci...

Wszystko zaczęło się nagle rozgrywać w zwolnionym tempie. Keith, trzymany za krwawy kikut uda, nie mógł już walczyć przeciwko swym napastnikom. Fizyczny ból był z wolna łagodzony przez odrętwienie. Naturalne środki znieczulające przyniosły ulgę okaleczonemu ciału. Krew tryskała z ran, tworząc ponownie to szkarłatne, podwodne piekło. To nie może dziać się naprawdę. Te potworności musiały być wymysłem jego storturowanego umysłu. Na pewno w coś się zaplątał, tak jak mu się początkowo wydawało. W jakieś ostre żelastwo, które obcięło mu kończyny, gdy się na nim oparł. Oczywiście, śmierć była nieuchronna, ale nie wydawała się już tak straszna, gdy stanął z nią twarzą w twarz. Człowiek boi się tego całego życia, choć w rzeczywistości nie jest to takie przerażające.

Poczuł przelotny żal, gdy w jego z trudem już pracującym mózgu pojawił się obraz kobiety. Do diabła, nie pamiętał nawet jej imienia. Żałował,

25

że nie został na wydmach i nie zabawił się z nią. To był wielki błąd. Po co zostawił ją tam i uparł się, aby pójść popływać w tym straszliwym, szkarłatnym morzu? Roześmiał się. Jednego był teraz pewien. Nie będzie już dla niej dość dobry!

Straszne, purpurowe morze powoli przestawało istnieć dla Keitha Baxtera. Nic już nie widział, nie słyszał, nic nie czuł. Nawet wtedy, gdy gigantyczne kraby poczęły się wokół niego cisnąć. Rozdzierały poszarpane ciało z niesamowitą furją, a potem pożerały szczątki w czasie krwawej uczty, w której nad wszelkimi uczuciami dominował głód. Wkrótce potwory odeszły, a woda znów stała się przezroczysta.

Rozdział 2

Piątek wieczorem - Wyspa Muszli

Irey Wali obudziła się drżąc i instynktownie próbowała okryć nagie ciało. Dopiero po chwili przypomniała sobie, dlaczego leży tu rozebrana, a części jej garderoby walają się w nieładzie na piasku.

Przez myśl przemknęły jej wydarzenia minionych paru godzin, rekonstrukcja wszystkiego, co miało miejsce od momentu, gdy opuściła kemping. Jej kochanek... właściwie nie, gdyż jeszcze nic się między nimi nie wydarzyło i być może nawet nie wydarzy - poszedł się wykąpać. Nie wiedziała, jak długo go nie było. Może parę minut albo i godzin. Nie mogła tego sprawdzić, gdyż nie zabrała zegarka.

Podczas snu emocje opadły. Czowała się głupio i gnębiło ją poczucie winy. Dzięki Bogu, że Keith zdecydował się na kąpiel, gdyż inaczej mogłaby mu pozwolić na rzeczy, których później żałowałaby. Nie rozumiała, co ją napadło. Musiała być szalona, zgadzając się na przyjazd tutaj z obcym mężczyzną na cały dzień. Alan popełnił sporo błędów, ale przecież nigdy dotąd nie zrobiła mu

27

czegoś takiego. Lepiej ubierze się, a gdy Keith wróci, powie mu, że zmieniła zdanie i poprosi, by był uprzejmy zawieźć ją prosto na kemping. Przykro jej, jeśli go rozczarowała, lecz...

Nagły hałas, jakby trzaśnięcie suchej gałązki sprawił, że drgnęła, a jej puls zaczął gwałtownie bić. Wyczuła czyjaś obecność, czyjeś niemal bezszelestnie skradające się kroki. Potem usłyszała nieśmiałe chrząknięcie.

Poczuła suchość w ustach. Próbowała sobie wmówić, że to powraca Keith, ale przecież on nie musiałby się skradać. Chyba, że był podglądaczem i chciał ją, nieświadomą tego, poobserwować z bezpiecznego ukrycia. Słyszała o takich mężczyznach, o rzeczach, do jakich są zdolni. Poczuła, że mimo gorąca oblewa ją zimny pot.

Nie byłoby dobrze, gdyby to skradał się Keith Baxter, lecz sprawa przedstawiałaby się znacznie gorzej, gdyby był to ktoś inny! Powinna się zresztą ubrać niezależnie od tego, kto to był.

Drżącymi rękoma odnalazła wśród trawy stanik, podniosła i zaraz puściła. W tym samym bowiem momencie ujrzała badawczo wpatrzona w nią oczy.

Irey Wali nie krzyknęła. Głos uwiązał jej w gardle, zamarł w jęku pełnym wstydu. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa, stały się galaretowate i bezużyteczne. Poruszały się tylko oczy. Straszliwy obraz paraliżował umysł.

28

To na pewno nie Keith Baxter przykucnął tam, obserwując ją zielonymi, świdrującymi oczami. Niemożliwością było odgadnąć wiek intruza. Mógł to być równie dobrze sześćdziesięciolatek, jak i dwudziestoparolatek, którego ciało zestarzało się przedwcześnie. Sylwetka obcego wydawała się od pasa w dół nieco zniekształcona, a chude nogi wyglądały jak zdeformowane przez jakąś chorobę. Być może był ofiarą polio.

Miał na sobie podartą purpurową koszulę, której poły wysuwały się ze spłowiałych drelichowych spodni. Jego stopy były bose, a palce z długimi i połamanymi czarnymi paznokciami miał ściśnięte razem, jakby wbrew zamiarom stwórcy chciały się zamienić w pletwy.

Twarz... o Boże... miała najstraszliwsze rysy, jakie tylko można sobie wyobrazić, częściowo zasłonięte strakami długich, szarawych włosów, które opadały jakby po to, by ukryć przerażające oblicze przed światem. Oczy były ogromne, wylupiaсте, blisko osadzone, co z pewnością ograniczało pole widzenia ich właściciela. Nos był tylko parą nozdrzy na środku twarzy - czarne, zasklepione dziury, z których podczas oddychania wydobywał się śluz. A usta - wąską szczeliną, w której sterczały resztki zębów i jeden ostry kieł, unoszący wargę do góry przy każdym poruszeniu ustami.

- tCim... jesteś? - Irey zdumiała się spoko-

29

jem, z jakim zadała to pytanie, zamiast histerycznie krzyknąć.

- Bar-na-by - imię zostało wymówione tak, jakby inni mieli problemy z wymawianiem go. Możliwe zresztą, że dotąd nikt go o nie nie zapytał.

- Barnaby? Przytaknął.

- Właśnie. Wszyscy tutaj znają Barnabę. Ja przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Widzi rzeczy, które inni przegapiają.

Rozumiesz?

Irey przytaknęła i pomyślała, że to jakiś tutejszy dziwak. Zwarła uda, gdyż nieznajomy wciąż wpatrywał się w przestrzeń pomiędzy nimi.

Poczuła się w tym momencie tak, jakby cała krew spłynęła jej do serca.

- Gdzie twój mężczyzna, pani?

- Jest... jest gdzieś w pobliżu - w każdym razie miała nadzieję, że jest. Teraz trzeba tylko rozmawiać z nim i ubierać się jednocześnie. Możliwe, że jest całkowicie nieszkodliwy, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Wiele młodych dziewczyn robi te rzeczy na wydmach - przemówił głosem pozbawionym emocji, jakby coś recytował.

- Czy teraz też? - starała się, by jej głos zabrzmiał hardo. - Cóż, dla pańskiej informacji, panie Barnaby czy jak tam się zwiesz, rozebrałam się tylko po to, by popływać. Ale zmieniłam zda-

30

nie. Ubieram się i jak tylko mój mąż wróci, jedziemy do domu. Powinien tu być lada moment.

- Ty pani, nie zbliżaj się do wody! - nagle jego sepleniący głos zabrzmiał inaczej, jak ostry szept ucięty odkaszlnięciem flegmy zalegającej w płucach. - Cokolwiek chcesz zrobić, nie zbliżaj się do morza. Jeśli chcesz nadal żyć.

- Słucham? - Drobnie, lodowate dreszcze przeszły jej ciało. On jest szaleńcem. Udawaj więc, że wierzysz w to, co mówi.

- Widziałem je o świcie, dzisiaj, pani. - Pochylił się ku niej i zaczął przewracać oczami. - Tuzin, może więcej. Nie wiem na pewno, bo nie umiem policzyć, jak jest więcej niż kilka. Ale wyszły z morza szukając pożywienia.

- Co wyszło z morza, Barnaby? - Irey gorączkowo usiłowała zapiąć sprzączkę stanika, ale nic jej z tego nie wychodziło. -

Rekiny, jak w "Szczękach"?

- Kraby! - mężczyzna jadowniczo wypluł to słowo.

- Kraby! - powtórzyła Irey niedowierzająco. - Ależ kraby są na wszystkich wybrzeżach Anglii.

- Nie takie jak owe. - Na jego owłosionej twarzy pojawił się strach. Rozwarł ramiona najszerzej jak potrafił, by pokazać ich rozmiary. - Ogromne. Większe niż owca. Wielkie jak krowy.

Coś powstrzymało ją od protestu. Może spr-

31

wił to wyraz jego oczu, a może sposób, w jaki jego głos przerodził się w niezrozumiały charkot.

- Rozumiem - to było wszystko, co powiedziała. Znalazła i ubrała koszulkę.

- Trzymam się z dala od brzegu - ciągnął - a to niełatwe dla mnie, bo żyję z morza, co wyrzuci.

- Czy ostrzegłeś innych?

- Eee - mruknął pogardliwie. - Nie słuchaliby mnie. Dowiedzą się, jak kraby wyjdą znowu na brzeg. Na pewno. Mówię ci, bo... - jego oczy powędrowały znów ku jej udom i pojawił się w nich błysk rozczarowania, gdyż jej nogi przylegały teraz ściśle do siebie - bo cię lubię. Przynajmniej tak myślę.

Zakładając spódnicę Irey niemal straciła równowagę. Postanowiła nie szukać już majtek, gdyż zupełnie nie miała pojęcia, gdzie są.

- Cóż, dziękuję za ostrzeżenie, Barnaby. To było bardzo miłe z twojej strony. Teraz pójdę i sprawdzę, co zatrzymało mojego męża.

- Zrób tak, pani. I nie walęśaj się za długo po brzegu, bo coś mi mówi, że duże kraby nie odeszły zbyt daleko w morze.

Irey drżała, idąc zasypaną piaskiem ścieżką. Wiodła ona przez wydmy. Słońce niemal już zachodziło. Nie zdawała sobie sprawy, że było tak późno. Z pewnością już koło dziewiętnastej. Musiała więc spać na plaży przez kilka godzin. Za-

32

trzymała się na najwyższym wzniesieniu i spojrzała na wydmy i plażę. Było tam dwóch czy trzech plażowiczów, grających w piłkę; między nimi szczekając uganiał się pies. Nigdzie jednak nie zauważyła nikogo, kto choć trochę przypominałby Keitha Baxtera. Co, u diabła z nim się stało?

Ogarnęła ją panika. Przecież na kempingu zostały dzieci. Rodney i Louise będą się zastanawiać, gdzie się podziała - przecież miała być z powrotem o wpół do siódmej. Ogarnął ją gniew. Cholerny Keith Baxter. Przywiózł ją tutaj w jednym tylko celu.

Skrzywiła się na samą myśl o tym, jakie to było wulgarnie. Po prostu chciał ją przelecieć.

Z jakiegoś niewiadomego powodu odszedł nagi, pełen podniecenia i już nie powrócił. Może natknął się na gromadę panienek opalających się gdzieś na wydmach! Roześmiała się na tę myśl. W każdym razie jedno nie ulegało wątpliwości - Keith przywiózł ją tutaj i jego obowiązkiem było odstawić ją bezpiecznie na kemping. A jeśli nie zamierzał tego zrobić, to ona sama znajdzie sposób, aby dotrzeć do domu. Zauważyła, jak chował kluczyki od samochodu pod przednim kołem, a przecież miała prawo jazdy.

W niecałe pięć minut dotarła do samochodu Keitha Baxtera i usiadła za kierownicą. Ostatnie spojrzenie dookoła, zerknięcie na wydmy rozcią-

2 - /ew krabów

33

gające się przed nią i samochód ruszył, zawracając powoli ku drodze.

Skurwiel z tego Keitha. I jeszcze ten lunatyczny Bamaby, ze swoimi fantazjami o gigantycznych krabach. Jeśli chodzi o nią, to ci dwaj mogliby razem spędzić noc na Wyspie Muszli. I nie przejęłaby się specjalnie, gdyby te cholerne kraby ich zżarły!

Irey Wali wcisnęła sprzęgło i samochód potoczył się w dół ku drodze. Miała nadzieję, że szybko wymaże ten koszmarny dzień ze swojej pamięci. Teraz pragnęła tylko powrócić do Blue Ocean.

Rozdział 3

Sobota - Wyspa Muszli

Sobotni świt był, tak jak i poprzednie, bezchmurny i rozświetlony słonecznym blaskiem, łan Wright i Julie Coles zadowoleni z chłodu panującego w ich otwartym czerwonym MG, rocznik 1949, jechali wąskimi drogami wybrzeża. Aż pół godziny tkwili w korku ulicznym w Barmouth, tak więc później, kiedy już się z niego uwolnili, ogarnęła ich niemal euforia na widok drogi Harlech, biegnącej wzdłuż klifu. Jadąc nią, w ciągu dwudziestu minut dotarli do małej wioski Lian-bedr. Tam odnaleźli bez trudu drogowskaz z napisem "Mochras".

- To po walijsku znaczy Wyspa Muszli - łan usiłował przekrzyczeć warkot silnika, skręcając jednocześnie w lewo, na wąską drogę. Nieco dalej nawierzchnia zmieniła się. Jechali teraz po drobnym żwirze, słysząc wyraźnie chłupotanie fal o groble.

- Co to takiego? - Julie wskazała na kilka budynków otoczonych drutem kolczastym, które wyglądały jak pozostałości po obozie koncentra-

35

cyjnym z ostatniej wojny. Zadrżała. Te ohydne zabudowania szpecily krajobraz.

- Departament Wojny - łan zwołnił. - Wuj Cliff opowiedział mi wszystko, kiedy dowiedział się, że przyjeżdżamy tutaj. To baza bezzało-gowych samolotów. Te małe maszyny, które widzisz na pasie startowym, są zdalnie sterowane. Wszystko tu jest ściśle tajne. Musiałabyś mieć przepustkę Departamentu Wojny w trzech egzemplarzach, aby dotrzeć choćby do pierwszego punktu kontrolnego. Wuj Cliff wspominał, że kilku chłopców, którzy obozowali na Wyspie Muszli, wybrało się nocą na "wycieczkę badawczą" i wpadło na strażę. O mały włos nie zostali postrzeleni, a potem długo ich przesłuchiowano, nim pozwolono odejść, naszpikowawszy mnóstwem surowych ostrzeżeń.

- Na samą myśl o tym dostaję dreszczy. - Julie rzeczywiście zadrżała pomimo gorąca. - Mam nadzieję, że nim się ściemni, będziemy daleko stąd.

- Nie musisz obawiać się tego miejsca - łan zauważył, że woda zalała drogę i zwołnił do pięciu mil na godzinę, a potem samochód sam już potoczył się w kierunku wyspy. - Zapomnisz o wszystkim, gdy zobaczysz piękno Wyspy Muszli.

Wyspa Muszli była istnym labiryntem wąskich dróg z obszernymi miejscami do parkowania, wyznaczonymi wśród traw. Drogowskaz in-

36

formował, że przylądek południowy leży po lewej stronie, a północny po prawej.

Łan skręcił w lewo, tuż za znakiem wskazującym drogę ku plaży. Pół mili dalej zjechał z drogi i zatrzymał samochód na szczycie stromego wzniesienia. Zobaczyli wydmy, a poniżej intensywnie złocistą plażę.

- Tu jest cudownie! - Julie odetchnęła pełną piersią, a lekki wiatr rozwiewał jej kasztanowe włosy. - Tylu ludzi tutaj obozuje, a my mamy całą plażę tylko dla siebie. Gdzie podzieli się wszyscy, łan?
- Pewnie kąpali się wcześniej rano, a teraz odsypiają. - łan wyciągnął się na gorącym piasku. - Najpierw zrobimy piknik, a potem zobaczymy jaka jest woda.
Pół godziny później, przebrani w kostiumy kąpielowe, biegli przez mokry piasek ku falom, śmiejąc się i krzycząc, gdy ich stopy zanurzały się w białej pianie.
- Jest naprawdę gorąca - Julie roześmiała się. - Dlaczego nie popływamy?
- W porządku - łan spojrział w dół, na swoje slipy. Julie zawsze doprowadzała go do takiego stanu w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Takie sytuacje bardzo go krępowały. Ale teraz miał ochotę rozebrać się, by stanąć przed nią nago. Obejrzał się. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Mimo to, mógł ich ktoś obserwo-

37

wał z wydm przez lornetkę. Wzruszył ramionami i pobiegł za Julie Coles. Boże, jaką ona miała figurę! Naprawdę fantastyczną. Julie zanurzona już po piersi w wodzie, odwróciła się ku niemu.
- Chodź - krzyknęła. - Co cię zatrzymuje? Pobiegnij na cypel, może znajdziesz tam dla nas jakieś spokojne schronienie...
Roześmiała się kusząco i z prowokującym uśmiechem na piegawatej buzi zanurkowała.
Tak, łan uśmiechał się do siebie, płynąc szybko ku dziewczynie. Może jest gdzieś jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy...
Zaczął płynąć crawl. Tracił narzeczoną z oczu, gdy zanurzał głowę pod wodę. Jego ramiona zaczęły pracować szybciej. Kierował się ku otwartemu morzu. Jeszcze tylko kilkaset jardów, a potem będzie mógł skrócić w ^ lewo i popłynąć wzdłuż brzegu. Może nawet dogoni Julie.
Dziewczyna była również dobrą pływaczką, dorównywała łanowi szybkością i po dziesięciu minutach wciąż jeszcze dzieliło ich dobre pięćdziesiąt jardów. Oczywiście, powiedział do siebie, miała lepszy start. Przyspieszył. Rozgarniając energicznie ramionami słoną wodę starał się zmniejszyć dzielący ich dystans.
Jakieś dziesięć minut później zatrzymał się, usiłując rozejrzeć się dookoła. Kiedy jednak nie zobaczył Julie, zaczął się trochę niepokoić. Niech

38

szlag trafi te fale! Później mignęła mu jej gibka sylwetka. Wciąż płynęła ku otwartemu morzu.
- Niech cholera porwie te fale! - Z trudem złapał oddech, gdy jedna z nich go nakryła. - Zawróć, ty idiotko. Zawróć! Już i tak wypłynęliśmy dość daleko.
Ale ona wciąż sunęła dalej.
- Głupia dziwka - wyszeptał. - Jesteś za daleko...
Następna fala uderzyła w niego. Prąd był tutaj silniejszy. Teraz w ogóle jej nie widział. Przyspieszył desperacko. Dogonienie Julie nie było już tylko zabawą. Od tego mogło zależeć jej życie.
Czasami zauważał ją wśród wznoszących się fal. Nareszcie! Wyrzucił z siebie westchnienie ulgi. Dziewczyna zawracała, płynąc szerokim łukiem.
łan postanowił popłynąć po przekątnej. Chciał przeciąć jej drogę. Odprężył się. Może wkrótce będą razem leżeć na rozgrzanym, złocistym piasku?
Nagły, przeraźliwy krzyk przerwał marzenia. Chłopak zatrzymał się, lecz uderzyła w niego kolejna fala. Ściana wody, która przesłoniła mu świat i zaparła dech w piersi.

łan zaczął szukać wzrokiem Julie, ale nic nie widział. Chryste, pewnie złapał ją skurcz. Jakimi

39

cholernymi głupcami byliśmy, wypływając tak daleko - pomyślał.
- Julie! - krzyknął, a w jego głosie zabrzmiała nuta paniki. - Julie, gdzie jesteś?
Po raz pierwszy w życiu poczuł się całkowicie bezradny. W jaki sposób, u diabła, odnajdzie ją tutaj?
Nagle zdał sobie sprawę, jak płytka była w tym miejscu woda, mimo iż znajdował się w sporej odległości od brzegu. Mógł niemal dotknąć stopami dna. To było coś na kształt wału, usypanego z piasku. Gdzie, do cholery, podziła się Julie?
Rozejrzał się znowu. Pomiedzy coraz wyższymi falami dostrzegł coś. Jakby ktoś, szybko płynąc pod wodą, zbliżał się ku niemu. To musiała być Julie! Co za cholernie głupi, szczeniacki trik! Krzyknęła, aby go przestraszyć, a teraz próbowała niepostrzeżenie podpłynąć do niego pod wodą!
łan stanął na dnem i roześmiał się nieco histerycznie. Z Julie wszystko w porządku, nic innego nie było ważne...
Nagle zachwiał się. Głowa momentalnie zanurzyła się pod powierzchnię, a krzyk strachu został stłumiony przez wodę.
Strasliwy ból wykręcił mu ciało. Instynktownie próbował uwolnić się od czegoś, co trzymało jego lewą nogę. Przypominało to uścisk ogrodowych nożyc o ząbkowatych ostrzach, coraz głębiej wrzynających się w

40

jego ciało. Runął jak długi, z ustami pełnymi brudnej, zapiaszczonej wody. W przerażeniu dziko wierzął drugą nogą.
Zrozumiał błyskawicznie, że nie zdoła uciec. Co więcej, czuł, że musi umrzeć. Wiedział też, że niezależnie od tego, co go zaatakowało, było to na pewno to samo stworzenie, które odebrało życie Julie!
Przed oczami łana rozciągała się czerwona mgła. Nie, to nie była mgła... czuł smak... jak wtedy, w dzieciństwie, gdy przewrócił się na plaży i skaleczył wargę. To była krew!
Nagle poczuł, że strasliwy uścisk zelżał. Uczynił ostatni, rozpaczliwy wysiłek, by się uwolnić, lecz zanim dotarł do powierzchni wody, został gwałtownie ściągnięty w dół za prawą nogę.
Zaczął tracić świadomość. Zdawał sobie sprawę już tylko z tego, co stało się z jego lewą nogą - została odcięta! Teraz to coś odrywało mu prawą kończynę. Na szczęście, w tym momencie utracił świadomość.
Rozpoczęły się łowy.

Rozdział 4

Sobotnia noc - "Ocean Queen"

Miles Manning spoglądał z uczuciem triumfu na zatłoczony pokład swego prywatnego jachtu "Ocean Queen". Pary kołysały się w rytm płynącej z głośników muzyki, czasem chwiejąc się lekko, gdy fala poruszała jachtem. Pod pokładem reszta towarzystwa

popijała coctaille, śmiejąc się przy tym wesoło. Wspaniała noc ekstrawaganckich szaleństw, które dodadzą sławy kempingowi Blue Ocean. Usunie to rywali Manninga w cień. Mężczyzna roześmiał się cicho. Wszystko rozwijało się znakomicie. Miles Manning był wysoki i dobrze zbudowany, a frak zupełnie nie pasował do jego ogromnej sylwetki. Śniada cera sprawiała, iż ludzie, którzy go nie znali, zastanawiali się, jakiej jest narodowości. Błyszczące czarne włosy opadały na kołnierzyk, a mały wąsik nadawał twarzy arystokratyczny wyraz. Powściągliwość Manninga sprawiała, że inni czuli przed nim respekt. Dziś przybył na jacht osobiście tylko dlatego, że była to swego rodzaju premiera. Odtąd takie przyjęcia będą się odbywały co wieczór. "Królewskie przedstawie-

42

nie" - powiedział do siebie. Nie byłoby dobrze, gdyby zbyt często przebywał z urlopowiczami. To by mogło źle wpływać na jego prestiż. Ale dzisiejszy wieczór był szczególny. Musiał puścić w ruch tę nową, produkującą pieniądze maszynę.

Stojąc na mostku i uśmiechając się do tańczących ze swoistą powagą, Manning poczuł nagle przyływ pewności siebie. Strzepnął za burtę popiół z cygara i patrzył, jak szary pył rozsypuje się niby śnieg. Zmrużył oczy, a na jego przystojnej twarzy odbiła się pogarda. Motłoch! Właśnie tym byli ci ludzie. Typowa hałastra, dla której odpowiedniejsze byłyby ryby, chipsy i piwo, niż wyrafinowane coctail party na wodzie. Nie zauważył w tym tłumie ani jednej wieczorowej sukni, tylko dżinsy, podkoszulki i tenisówki. Nie przywykli do niczego innego i nie można ich było za to winić. Ale to psuło atmo.sferę, którą Miles Manning usiłował stworzyć. Miał wrażenie, jakby rzucał perły przed wieprze.

Niewielu gości z kempingu było na pokładzie. Tylko ci szczęśliwcy, których numery zostały wyciągnięte z kapelusza strażnika podczas zabawy w piątkowy wieczór. Można to było zrobić tylko w ten sposób, ale w efekcie na "Ocean Queen" znalazło się więcej nastolatków niż przedstawiciele starszego pokolenia. Zresztą, co za różnica!

- Czy wszystko w porządku, panie Manning?

43

Miles odwrócił się i zobaczył szefa administracji kempingu, jedyne go mężczyznę, oprócz niego, który ubrany był w strój wieczorowy. Lizus, nie mający własnego zdania, ale właśnie to sprawiło, że dostał tę pracę. Był ogromnie zdolny, brakowało mu tylko siły przebiccia i osobowości, która Manninga wyniosła na szczyty. Winterbot-tom zawsze będzie tylko trybem w maszynie, nigdy zaś siłą poruszającą mechanizm.

- Wszystko dobrze - odrzyknął Manning. - Mimo wszystkich minusów, ta impreza da nam spory rozgłos, którego tak potrzebujemy. Czy poinformowałeś prasę?

- Tak - pełen zadowolenia uśmiech. - Powiedzieli, że fotoreporterzy czekać będą na nabrzeżu około północy, gdy przybijemy do brzegu;

- Dobrze. I nie pozwól, by przyjęcie przeciągnęło się dłużej jak do dwudziestej trzeciej trzydzieści. Powiedz barmanowi, by przestał piętnaście minut przed końcem podawać drinki. Nie możemy pozwolić...

Jego słowa zagłuszyła eksplozja poprzedzona błyskiem, który rozświetlił ciemne niebo. Manning drgnął, rozsypując popiół z cygara na przód sztywnej, białej koszuli.

- Co to było, u diabła?

- Nie... nie wiem. Mam wrażenie, że to na brzegu, parę mil stąd. To...

Promienie białego światła krzyżowały się na

44

niebie poruszając się tam i z powrotem. Następna eksplozja, a zaraz po niej kolejna, ogromne słupy ognia rozświetlały poszarpaną linię wybrzeża. Wszystko to działo się tam, gdzie Winterbottom umiejscowił pierwszą eksplozję. Wybuchy, sporadyczne serie z karabinów maszynowych.

- To na Wyspie Muszli - zaszczył Man-ning. - Te skurwiele urządzają sobie nocne zabawy. Nie wystarcza im irytowanie nas dziennymi lotami samolotów, teraz chcą jeszcze być pewni, że nikt dobrze nie będzie spał. Moim zdaniem próbują przegonić urlopowiczów i przywłaszczyć sobie tę część wybrzeża, by prowadzić tu swoje głupie, małe gry wojenne!

Od strony wyspy słychać było odgłosy broni maszynowej, przeplatane wystrzałami ciężkiej artylerii. Tancerze na pokładzie zamarli, pary przyglęły do siebie, rozglądając się wokół z niepokojem. W każdej chwili mogła wybuchnąć panika. Atmosfera stała się nagle napięta.

Miles Manning zareagował błyskawicznie. Odepchnął Winterbottoma, zbiegł z mostka i wpadł do małej kabiny tuż pod nim, gdzie zaskoczony prezydent upuścił stos singli. Manning zignorował go, wyłączył gramofon i chwycił mikrofon.

- Ludzie, mówi Miles Manning. - Głos pełen siły budził zaufanie. Nutę gniewu zagłuszyły trzaski aparatury. - Nie wpadajcie w panikę. Te strzały to po prostu nocne ćwiczenia na Wyspie Muszli.

45

Nie ma się czego obawiać. Nie damy im zepsuć naszego przyjęcia, prawda? Tańczcie, ludzie i pozwólcie żołnierzom kontynuować ich zabawy.

Manning włączył gramofon i otarł pot z czoła. Czuł suchość w ustach. Wyrzucił niedopałek cygara na podłogę i przydepnął go obcasem.

- Puszczaj cały czas jakąś muzykę - rzucił krótko do prezentera, a potem wyszedł, stanął przy nadburciu i patrzył na Wyspę Muszli.

Strzelanina wciąż trwała, może nawet była bardziej intensywna. Oślepiające błyski światła przesuwających się reflektorów tworzyły bezsensowną plątaninę jasnych linii. Obserwatorów dzieliła od wyspy zbyt duża odległość. Nie mogli właściwie zorientować się, co się tam dzieje. Widać było tylko trudne do rozpoznania ruchome obiekty, które mogły być kolumną atakujących czołgów.

Manning chwycił poręcz; desperacko pragnął zrozumieć, co się tam naprawdę dzieje. Takie epizody mogły odstraszyć ludzi, sprawić, że przeniosą się do bardziej zaludnionych kurortów. Jutro napisze osobisty list do Ministerstwa Spraw Wojskowych i zagrozi wniesieniem sprawy do sądu. Kopię wyśle do parlamentu. W tym czasie...

Dzięki Bogu pary na pokładzie znowu tańczyły. No, w każdym razie większość. Kilka osób stanęło przy poręczy, obserwując odległy, gigan-

46

tyczny fajerwerk. Manning nie dopuścił do paniki, ale jego palce muskające wąsik drżały lekko.

- Zaczynj zwiącać interes - powiedział do Winterbottoma. - Spokojnie i elegancko. Zawróćcie ku brzegowi i miejmy nadzieję, że zjawiają się ci cholerni fotoreporterzy.

Silniki ruszyły. Głęboka wibracja sprawiła, że Miles Manning poczuł przyływ wiary w swą potęgę. Stworzył swoje własne

królestwo wśród pól, na których leżał Blue Ocean. Teraz czuł się tak, jakby podbił część morza. To był dopiero początek imperium Manninga.

Tymczasem bar został zamknięty i wszyscy wyszli na pokład. Pary przytulały się do siebie, poddając się dźwiękom spokojnej muzyki. Statek kołysał się teraz mocniej i łatwo było stracić równowagę. Czas na wielki finał. Tę noc trzeba zapamiętać. Prezenter włączył "Ostatni Walc".

Nagle jacht przechylił się; silnemu szarpnięciu towarzyszyła wibracja i jakieś dochodzące z dołu szuranie. Coś jakby rozpruwało kadłub. Rozległy się krzyki, grupa nastolatków skłębiła się na deskach pokładu, starszy mężczyzna upadł twarzą do ziemi. Jacht zdawał się forsować jakąś przeszkodę.

- Co za cholera? - Manning uchronił się przed upadkiem chwytając za poręcz. Po chwili obrzucił stekiem wyzwisk Winterbottoma, kiedy ten wpadł na niego.

47

- Uderzyliśmy w coś, sunąc dnem po mieliż-nie.

- Nie ma tu żadnych melizn. - Oczy Win-terbottoma rozszerzyły się ze strachu. - To najczystszy obszar na tej części wybrzeża.

- Do diabła, przecież w coś uderzyliśmy! - Manning przygnał do poręczy, wpatrując się w zawirowania ciemnej wody. Piana tworzyła się tam, gdzie pracowała śruba, która z trudem pokonywała opór, na jaki natrafiła. Tu było głęboko, Miles nie wiedział nawet jak bardzo. Ale Winterbottom miał rację mówiąc, że nie ma tu żadnych melizn. Więc co to, do cholery, było?

Morze wokół jachtu zdawało się falować, pod powierzchnią tworzyły się gigantyczne zawirowania, jakby coś tamtędy płynęło. Manning zadrażał, czując nagle strach, ale szybko się z tego otrząsnął. To było równie warte śmiechu, podobnie jak wyobrażanie sobie duchów we własnej sypialni w środku nocy. Może przydryfowały tutaj kawałki jakiegoś wraka, zatopionego gdzieś na morzu. Musiało być jakieś logiczne wytłumaczenie. Ale cokolwiek to było, niemal rozpruło dno jachtu.

Jednakże "Ocean Queen" uvolnił się już i wyglądało na to, że nie ma żadnych uszkodzeń. Manning westchnął. Wtem coś uderzyło w dno statku z siłą torpedy, grożąc wywrotką. Pokład przechylił się, ludzie ślizgali się i wywracali, zgubione przedmioty przesuwwały się w nieładzie po

48

deskach. Ktoś zaczął histerycznie krzyczeć. Przewracali się do góry dnem!

Niespodziewanie jacht się wyprostował. Zakołysał, a silniki, które przez moment milczały, ponownie zaczęły pracować, jakby coś ciągnęło je do brzegu.

Manning znów patrzył w wodę. Te fale nie były jego imaginacją.

Muzyka umilkła. Ludzie zaczęli znów wpadać w panikę i Miles Manning wiedział, że już nic nie będzie w stanie ich uspokoić.

On sam nie orientował się w tym wszystkim najlepiej, a w głębi duszy był tak samo przerażony. Ale na Boga

Wszchemogącego, będzie walczył!

- Przybijamy za kilka minut. - W światłach jachtu twarz Winterbottoma była śmiertelnie blada. - Jak pan myśli, co się stało?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - Manning z trudem powstrzymał się od walnięcia go pięścią w twarz. - Uderzyliśmy w coś... a raczej coś uderzyło w nas! Im szybciej wysadzimy wszystkich na brzeg, tym lepiej. A jutro sprawdzimy łajbę i zobaczymy, co to było. Jeśli istnieje tu jakiś związek z tymi cholernymi, głupimi zabawami na Wyspie Muszli, to ktoś za to odpowie. Mogę ci obiecać. Całkiem możliwe, że wpuścili do zatoki zdalnie sterowane łodzie, i teraz się nimi bawią. Założę się o ostatniego dolara, że to .oni są odpowiedzialni za to, co się tu dziś wydarzyło.

49

Kanonada była teraz znacznie silniejsza niż przedtem, nieustający ogień ciężkiej artylerii i karabinów maszynowych wyraźnie docierał do uszu ludzi zgromadzonych na jachcie. Odgłosy bitwy nabrały niesamowitego napięcia, nocne niebo mieniło się ciągłymi pomarańczowymi rozbłyskami artylerii nabrzeżnej.

"Ocean Queen" uderzyła lekko w wysunięty ze skalistej plaży drewniany pomost. Światła lamp znajdujących się na molo mieszały się z kolorowymi sztucznymi ogniami, które wypuszczano na powitanie powracających. Liny cumownicze zostały rzucone, kilka osób ubranych w swetry chwyciło je, przyciągając jacht bliżej. Pasażerowie otoczyli trap, szmerząc między sobą. Ich twarze były blade i spięte. Z oddali wciąż było słychać strzały.

- Co się dzieje na wyspie? - Manning był jednym z ostatnich, którzy opuścili jacht. Pytanie skierował do brodatego mężczyzny, który wiązał liny cumownicze.

- Nie wiem, ale coś musi być nie w porządku. To nie są ćwiczenia. Wygląda na to, że zostali zaatakowani.

- Co za cholerny nonsens! Gdzie jest prasa?

- Nikogo nie widziałem, szefie. Jestem tu tylko ja i Bili oraz parę osób, które wyszły na powitanie swoich przyjaciół.

Miles Manning zakłopotany wściekłości. Najważniejsza chwila w jego życiu, a prasa jest zbyt

50

zajęta, aby się zjawić. Rozejrzał się wokół. Ludzie w pośpiechu oddalali się od pomostu, jakby chcieli uciec jak najszybciej na ląd. Może to i dobrze, że reporterzy się nie zjawili. Kłębilo mu się teraz w głowie mnóstwo pytań, na które nie znał odpowiedzi. Zamierzał wszystko dokładnie wyjaśnić. Pragnął reklamy, a nie antyreklamy.

- Chcę, aby jutro z samego rana sprawdzono jacht - rzucił ostrym tonem. - Dno zaczepiło o coś, a potem to coś w nas uderzyło. Muszę wiedzieć, co to było.

Winterbottom podążył śladem szefa w stronę kempingu. Miles Manning był wściekły, a to mogło okazać się niebezpieczne dla wszystkich, którzy znajdują się teraz przypadkiem w pobliżu. Jednakże Ricky musiał być obok, na wypadek, gdyby szef go potrzebował.

Pomimo północy Blue Ocean wrzało. Piękna noc sprawiła, że ludzie przechadzali się po ulicach, przystawali przy budkach z rybami i chipsami. Na jeziorze kwakała dzika kaczka, protestując przeciwko zakłócaniu spokoju nocy. Dzieciaki rzucały kamienie do wody i ktoś zaczął krzyczeć, by przestały. Mogło się to skończyć awanturą, ale Manning nie miał czasu na takie głupstwa. Przeszedł przez wesołe miasteczko, a potem w dół, obok salonów gry i dotarł do przysadzistego budynku, na którym napisano czerwonymi literami - OCHRONA.

51

Dwóch mężczyzn w zielonych mundurach spojrzęło na szefa, gdy ten wszedł do pokoju.

- O, pan Manning - odezwał się nerwowo starszy jękając niemal. - Próbowaliśmy złapać pana w biurze. Jest ważny telefon.

Pułkownik Goode z Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Miles Manning chwycił z biurka leżącą słuchawkę.

- Mówi Manning.

Mężczyźni próbowali przysłuchiwać się dyskretnie, jednakże nie mogli zrozumieć słów wypowiedzianych po drugiej stronie. Dochodziły do nich tylko niezrozumiałe dźwięki. Zauważyli jednak, że Manning ciężko oparł się o biurko, a jego twarz przybladła.

- Nie wierzę - wycharczał. - To jakieś oszustwo. To cholerne gry tych z Wyspy Muszli. Oni chcą wypłoszyć stąd wszystkich. Pułkownik Goode musiał jednak użyć odpowiednich argumentów, bo nagle protesty szefa umilkły. Manning mruzczał niezrozumiałe, a potem zapytał: - Co możemy zrobić? Mamy na kempingu około pięciu tysięcy osób. Nie powinniśmy dopuścić do paniki.

W kilka minut później Manning odłożył słuchawkę i odwrócił się ku Winterbottomowi i dwóm mężczyznom z ochrony.

- Ta strzelanina na Wyspie Muszli... - jego głos przeszedł w chrapliwy szept, a twarz zbiela-

52

ła; malowało się na niej napięcie i szok. - Wyspa została zaatakowana, a właściwie praktycznie zniszczona. Nie pozostało nic z budynków, ani wyposażenia Departamentu Wojny. Dopóki się nie rozwidni, trudno nawet obliczyć, ilu stracili ludzi.

- Zaatakowana?! - w głosie Winterbotto-ma zabrzmiało niedowierzanie. - Przez kogo?

- Przez setki gigantycznych krabów, tak wielkich jak jakieś pieprzone krowy! Początkowo nie mogłem uwierzyć, ale teraz zmieniłem zdanie. Pułkownik mówi, że poruszają się wzdłuż linii wybrzeża. To one uderzyły w nasz jacht. Przeszliśmy dokładnie nad nimi, szorując kadłubem po ich pancerzach. Boże Wszzechmogący, gdyby tylko chcieli, mogły przewrócić "Ocean Queen" i zrobić z nami to samo, co z wyspą. Ale były zbyt zajęte atakiem, aby zainteresować się nami.

- Należy wszystkim zapewnić bezpieczeństwo. - Ricky Winterbottom czuł, że musi coś powiedzieć. - Musimy ewakuować kemping.

- Tego właśnie nie możemy zrobić. - Manning wyciągnął z pudełka cygaro King Edward. Zdzierając cłofofan i ucinając końcówkę, usiłował zebrać rozproszone myśli. - Znosi się na największą operację wojskową od czasów wojny. Już teraz armia zakłada blokady na drogach i organizuje obronę. Spodziewają się, że kraby w każdej

53

chwili mogą powrócić na brzeg. Ale jeśli rozegramy to dobrze, - możemy uzyskać przewagę.

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to niewiele pozostanie z kempingu, gdy te stwory zaatakują.

- Myślę, że nasza pozycja nie jest najgorsza. - Manning uśmiechnął się wydmuchując dym w sufit. Jego pewnością siebie wracała. - Chroni nas tutaj tama, postawiona w trakcie budowy tego obiektu. Zabezpieczała ona przed wysokimi falami przypyły. Pierwszą rzeczą, jaką rano zrobicie, to ściągniecie tutaj wszystkich robotników do pracy przy umocnieniu mola. Cholera, utrzymamy te diabelskie kraby z daleka, nie ma obaw. A goście będą zachwyceni, bo poczują się bezpieczni. Nasi zwykli Obywatele uwielbiają oglądanie rzezi z bezpiecznego miejsca. Wyrobimy sobie niezłą markę. Podczas gdy wszystko inne ulegnie zniszczeniu, Blue Ocean pozostanie nietknięty. I mimo całego tego zamieszania "przedstawienie musi trwać"! Podarujemy urlopowiczom najpiękniejsze chwile w ich życiu, a oni będą tu powracać co rok.

- Tak! - Ricky Winterbottom obliznął spieczone wargi i spojrzał na mężczyzn z ochrony. - Ale jeśli to się nie powiedzie, to pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zostanie zamkniętych w największym, od czasów Belsen, obozie śmierci. Czy nie możemy pozwolić im odejść, póki jest jeszcze czas?

54

- Już jest za późno! - dwie niebezpieczne czerwone plamy pojawiły się na policzkach Man-ninga. To oznaka zbliżającego się wybuchu gniewu. - Ludzie nie potrafią ewakuować się w ładzie i porządku. Wpadną w panikę, zatarasują drogi i staną się łupem krabów, nie mówiąc już o tym, że będą przeszkadzać wojsku. Nie powiemy im nic. Dopiero jutro usłyszą wiadomości w radiu. Zresztą, nawet wtedy nie będą zdawali sobie sprawy z tego, jak krytyczna jest sytuacja. Na wszelki wypadek jednak zamknijemy główne bramy. Później wytłumaczę wczasowiczom, jaka jest sytuacja, a wszystko rozegram w taki sposób, by przyjęli to jako rodzaj zabawy.

Miles Manning opuszczając budynek zauważył, że tłum dopiero teraz zaczyna rzednąć.

Zatrzymał się nasłuchując. Nie było już kanonady. Kraby wyszły na brzeg, zdobyły bazę i powróciły do swych kryjówek w głębinach. Uznał, że prawdziwą ulgę odczuje wtedy, gdy słabe fragmenty tamy przy molu zostaną wzmocnione. Jeszcze tylko parę godzin i wszystko będzie gotowe. Modlił się, by kraby trzymały się do tego czasu z daleka.

Cała ta historia zdawała się być nocnym koszmarem. Manning wciąż jeszcze nie wiedział, czy ma w to wierzyć, czy też nie. Zresztą, niezależnie od tego, miał zamiar wyciągnąć korzyści z zaistniałej sytuacji.

Rozdział 5

Niedzielny poranek - Blue Ocean

O brzasku rozpoczęły się prace przy umacnianiu tej części tamy, która znajdowała się przy pomoście. Kilkunastu mężczyzn pracownicy nosiło worki z piaskiem. Robotnicy co prawda nie znali celu owej pracy, ale wiedzieli, że zbliża się pełnia księżyca, a wtedy fale przypyły są większe niż zazwyczaj, co całkowicie usprawiedliwiało pośpiech.

Mężczyźni przyzwyczajeni byli do tego, że wzywano ich do przedziwnych prac, zwykle w najmniej oczekiwanych momentach.

Ten Amerykanin Manning był zwariowany, ale nie daj Bóg, by się zorientował, że ktoś tak o nim myślał.

Zresztą co tam, była sobota, a to oznaczało podwójną zapłatę. Wydawało się miejscowym, że na kempingu nigdy nie brakowało pieniędzy, zawsze można było zarobić.

Irey Wali poruszyła się niespokojnie na łóżku. Już od poprzedniego dnia trapił ją taki ból głowy, umiejscowiony tuż nad oczami, że niemal nie pozwalał na ich otwieranie. Nawet krótkie spoj-

56

rzeńie w stronę zasłoniętego okna - przez którego zasłony ledwo sączyły się promienie słoneczne - sprawiało jej ból. O Boże, jeszcze jeden dzień, któremu musiała stawić czoła, i w którym będzie borykać się z wyrzutami sumienia z powodu Keitha Baxtera. Bała się zbliżyć do jego domku, gdyż wiedziała, że go tam nie zastanie. Keitha jednak nikt nie szukał, bo z kempingu zawsze można było zniknąć tak, żeby nikt tego nie zauważył. Poszukiwania zaczynały się dopiero wtedy, gdy powiadamiano kierownictwo o fakcie zaginięcia. A nikt oprócz niej o tym nie wiedział. Keith dał jej do zrozumienia, że nie ma także żadnej rodziny.

Rodney i Louise rozmawiali w drugiej sypialni, oddzielonej jedynie cienką ścianką, a ona mogła wszystko usłyszeć, jeśli tylko

miałaby na to ochotę. Chryste, już zaczynali się klócić, a przecież była dopiero szósta rano! Małe skurczybyki! Poczula się nieswojo, że tak pomyślała. Nie powinna... Dzieci są tylko dziećmi.

Powróciła myślami znowu do piątku, ale uznała, że coraz trudniej jest wspominać. Czuła się winna. O Boże, co przydarzyło się Keithowi Bax-terowi? Jego samochód stał wciąż na parkingu, tam, gdzie go postawiła. Nie wrócił do swojego domku. A więc albo coś mu się stało, albo po prostu postanowił zniknąć. Ludzie robią różne rzeczy, czytała o tym. Wychodzą w tym, co mają

57

na sobie, a w przypadku Keitha było tak dosłownie: chyba, że wrócił on później na wydmy po ubranie. Za takie postępowanie prawo nie karało dorosłych. Policja prowadziła dochodzenie, a potem, w wypadku braku rezultatów wciągała ich na listę zaginionych. W ten sposób kończyła się większość podobnych spraw.

Ale w tym przypadku wszystko było zdecydowanie dziwne i niezrozumiałe. Keith miał przecież powód, by wrócić do niej. Wszak seks to najsilniejszy instykt.

Irey zapadła w męczący półsen. Dopiero o siódmej trzydzieści obudziło ją radio. Naciągnęła prześcieradło na głowę. Nie chciała wstawać. Nic z tego. Nie mogła spojrzeć światu w twarz. Woląca pozostać tutaj, z głową schowaną pod prześcieradłami, jak struś! Dzieciaki uciszyły - się, prawdopodobnie znużone kłótnią zasnęły.

Na wpół drzemała przy nieciekawej muzyce. W sobotnim programie puszczała koncert fortepianowy, co rusz przerywany przez prezentera, który prowadził z jakimś biskupem wywiad na temat moralności i seksu pozamałżeńskiego. Irey okryła się szczerzej prześcieradłem. Na Boga, czy moralność to nic innego tylko seks? Czuła się winna, choć właściwie bez powodu, bo przecież nie robiła tego nigdy z żadnym mężczyzną oprócz Alana. Choć z drugiej strony chciała się kochać z Keithem. Tak, nie miała się co oszukiwać,

58

Baxter dostałby to, czego chciał. A sądząc po tym krótkim spojrzeniu, które jej rzucił rozbierając się, miałaby z tego dużą frajdę. Na myśl o tym Irey przeszły ciarki, ale później powróciło przygnębienie. Nie będzie się kochała z Keithem Baxterem, gdyż nie zobaczy go już więcej. Nie wiedziała, gdzie zniknął, ale jednego była pewna - nie wróci, gdyż musiało mu się przydarzyć coś naprawdę strasznego. A ten nudny biskup wciąż giedził o niewierności. Jakby mówił właśnie do niej, jakby wszystko wiedział. A przecież było to zupełnie niemożliwe.

Krótki akord na elektrycznych organach zakończył audycję. Irey wydała z siebie westchnienie ulgi. Nie musiała już dłużej czuć się winna. Kolejny sygnał zapowiedział radiowe wiadomości.

- Jest ósma rano, mówi do państwa John Harmer...

Irey miała w nosie, kto do niej mówi.

- Na wybrzeżu walijskim prowadzone są działania wojskowe. Gatunek nieznanych dotychczas, gigantycznych krabów zaatakował w nocy Wyspę Muszli i zniszczył tamtejszą bazę Ministerstwa Spraw Wojskowych. Przyпуска się, iż liczba ofiar jest duża, lecz nie podano jeszcze żadnych szczegółów. Wzdłuż wybrzeża ustawia się przeszkody, na wypadek, gdyby kraby znów wyszły na brzeg. Urlopowicze przebywający na

59

tym terenie proszeni są o zachowanie spokoju i unikanie paniki, gdyż armia kontroluje w pełni przebieg wypadków. Drogi zostały zamknięte, a wszyscy są proszeni o pozostanie w domach. Będziemy państwa regularnie informować o przebiegu działań. Amerykańskie Linie Lotnicze mają nadzieję, że uruchomią dodatkowe loty w ciągu następnym dwudziestu czterech godzin, by ci, którzy chcą opuścić teren...

Irey wstała, zrzuciła z siebie piżamę. Gigantyczne kraby, trudno w nie uwierzyć. Z pewnością całe te wakacje upodabniają się do jednego wielkiego koszmaru nocnego. Wkrótce Irey jednak obudzi się znów w domu, u boku Alana, wiedząc, że wszystko to było tylko snem. Chciała, żeby tak było.

Ale niestety - znajdowała się w najkoszmarniejszej rzeczywistości!

Nie mogła już dłużej ukrywać zniknięcia Keit-ha. Oszalałaby! Jej obowiązkiem jest zameldować o tym, co się stało. W trakcie ubierania dostała nerwowych drgawek. Okropnie się trzęsła, naciągając na siebie tę samą pogniecioną koszulkę, wciskając się w spłowiełe, wyświechtane dżinsy, jeszcze bardziej skurczone po ostatnim praniu. Potem otworzyła drzwi prowadzące do przyległej sypialni i zajrzała tam.

Rodney i Louise mocno spali. Irey zastanawiała się przez chwilę, czy ich nie obudzić, ubrać

60

i nie zabrać ze sobą, ale potem doszła do wniosku, że nie jest to zbyt dobry pomysł. Rodney słuchając rozmów dorosłych rozumiał więcej niż można by przypuszczać. Potrafił powtarzać pewne rzeczy jeszcze długo potem, podczas gdy większość dzieci dawno by o nich zapomniała. Będzie musiała powiedzieć władzom kempingu, że spędziła dzień na Wyspie Muszli z Keithem Baxte-rem, a Rodney mógł przecież po powrocie do domu wyrecytować tę informację Alanowi. To nie było warte takiego ryzyka.

Irey postanowiła zostawić dzieci. Nie zabawi przecież długo. Najprawdopodobniej maluchy pośpią jeszcze około godziny, a ona przez ten czas zdąży wrócić. Niechętnie zamknęła drzwi sypialni i po cichu, na palcach opuściła domek.

Czuła jak wali jej serce. Może po raz pierwszy i ostatni powinna zająć do domku Keitha Baxte-ra, żeby sprawdzić, czy jego samochód wciąż stoi na parkingu. Nie, nie miała na to czasu!

Musiała się powstrzymać, by nie zacząć biec. Wydawało jej się, że dookoła jest strasznie dużo ludzi. Rozmawiali przyciszonymi głosami, stojąc w grupach. Mówili oczywiście o krabach. Byli zaniepokojeni, źli i przestraszeni, bo nie mieli teraz możliwości powrotu do domu, a kemping w każdej chwili może zostać zaatakowany tak samo jak Wyspa Muszli.

Irey spieszyła się bardzo, dopóki nie ujrzała

61

obok głównej bramy wejściowej drewnianego budynku, na którego ścianie widniał napis: Ochrona. Na zewnątrz było tłoczno, a przez częściowo otwarte drzwi zobaczyła mężczyzn w zielonych mundurach, którzy odpowiadali na pytania zainteresowanych. Teraz biuro Ochrony stało się najbardziej obleganym miejscem na kempingu.

Irey Wali stanęła niezdecydowanie. Chciała zawrócić, lecz sumienie nakazało jej się zatrzymać. Nie mogłaby żyć ze świadomością, że nie poinformowała nikogo o zniknięciu Keitha Bax-tera.

Stanęła na końcu kolejki.

- Gdzie mama? - Louise weszła do sypialni z zakłopotaniem malującym się na małej twarzyczce.

- Nie wiem. - Rodney już się ubrał, szorty miał założone odwrotnie: tyłem do przodu, ale to nie miało znaczenia. Teraz zmagał się ze sznurówkami, których wiązania nie opanował jeszcze zbyt dobrze, a że nie chciał przyznać się do tego przed swą

młodsza siostrą, wepchnął końce sznurowadeł w buty. - Może wyszła po gazetę.

- Jak długo jej nie będzie?

- Nie wiem, ale nie musimy tutaj czekać. Możemy pójść na plażę.

- Nie chcę iść na plażę - wargi Louise ściągnęły się. - Chcę do mamy.

62

- Mogła pójść nad morze. Chodź, sprawdzimy. Możemy wrócić, jeśli jej tam nie będzie.

- Dobra. - Louise, bosa i odziana tylko w majteczki, niechętnie podażyła za bratem. Słońce świeciło jasno; zapowiadał się jeszcze jeden gorący dzień. Dzień, który można będzie spędzić na plaży, budując zamki i chlapiąc się w wodzie.

Plaża znajdowała się niecałe dwieście jardów od ostatniej linii domków. Można tam było dojechać miniaturową kolejką parową, która wyruszała z parku zabaw. Jednak teraz jeszcze nie kursowała. Rodney szedł przodem, Louise biegła, usiłując dotrzymać mu kroku.

Nagle Rodney zatrzymał się zaskoczony. Tam, gdzie wczoraj znajdował się trzystopowy falochron, łagodnym stokiem opadający ku wybrzeżu, teraz stała sześciostopowa ściana worków wypełnionych piaskiem - brzydka i groźna.

- Kto to zbudował? - rzucił w przestrzeń. Nieco zakłopotany ruszył do przodu i zauważył, że z jednej strony worki ułożono jak stopnie,

tak że łatwo było wspiąć się po nich.

- Możemy tam wejść - krzyknął do swojej siostry zaczynając wspinaczkę. Ale Louise trzymała się z tyłu. Była pewna, że mama nie uczyniłaby tego, co Rodney. Dorośli nie robią takich rzeczy.

- Możesz stąd zobaczyć morze - Rodney dotarł na szczyt i stanął niczym rozbitek wpa-

63

trujący żagla osłoniętymi dłońmi oczami. - A ty...

- A ty, synu, złaź mi stamtąd i to szybko - nakazał gruby głos dochodzący z plaży po drugiej stronie ściany worków.

Rodney drgnął i spojrzął w dół, gdzie brodaty mężczyzna ubrany w czerwoną koszulkę i drelichy ładował piach do worka.

- Czy pan buduje zamki? - Chłopiec pochylił się w dół z uśmiechem. Dorośli z reguły nie budują zamków z piasku, więc ten mężczyzna musiał być kimś, kto - jak mawiał tata - był nie tak dorosły, jak być powinien.

- Słuchaj chłopcze - mężczyzna podniósł głos. - Kazałem ci stamtąd zejść. Rób natychmiast to, co ci powiedziałem. Idź bawić się w jakieś inne miejsce. Jasne? Spływasz!

- Dlaczego? - w głosie Rodneya zabrzmiała taka sama zuchwałość i przekora, jaką uczniowie okazują w szkole wobec nauczycieli. Przecież ten mężczyzna nie mógł go tu osiągnąć.

- Bo złapią cię kraby. Kraby tak duże jak konie, stwory, które zjadają chłopców takich jak ty.

Rodney zaczął się śmiać. Wcale nie bał się tego mężczyzny. - Nie, nie zejść. Spróbuj mnie złapać - zaczął skakać po wierzchołku. Za sobą słyszał płaczącą Louise. Naprawdę była głupim dzieciakiem.

- Zleję ci tyłek! - mężczyzna rzucił swoją

64

pracę i zaczął biec równolegle do Rodneya, chcąc go przepędzić. Brodata twarz była czerwona z wściekłości. Mężczyzna miotał pod nosem przekleństwa, oddychając przy tym ciężko.

Nagle Rodney, podekscytowany zabawą, skoczył. Łacha piasku, na której wylądował, złagodziła upadek. Padł jak długi, lecz natychmiast zerwał się, by uciekać przed swym prześladowcą, który był coraz bliżej. Mężczyzna oddychał ciężko jak otępy byk, próbujący stratować zwinniejszego przeciwnika.

- Chodź tu, ty mały skunksie!

Rodney Wali skręcił w bok, chcąc dostać się z powrotem na falochron. Wbiegł na skały, gdzie z łatwością mógł umknąć robotnikowi, który biegł tuż za nim. Rozentuzjuszony i rozzuchwalony odwrócił się, robiąc ręką ordynarny gest, którego nauczył się w szkole od chłopców Ri-chardów. Zawsze ich po cichu naśladował, lecz nigdy nie zdradził się z tym przed rodzicami.

Dotarł już niemal do ściany, lecz nagle goniący go mężczyzna niespodziewanie przyspieszył i wyciągnął ku chłopcu spracowane ręce. Twarde, zrogowaciałe palce zacisnęły się na barkach Rodneya i odwróciły go.

- Teraz zamierzam zlać ci tyłek, tak że będziesz wrzeszczał jak najęty. Stłukę też twojego ojca, jeśli przyjdzie z pretensjami. Klik-klik.

t - Zew krabów

65

Usłyszeli odgłos, jakby ktoś repetował brzoń:

przerażający dźwięk, po którym następuje śmierć.

Robotnik odwrócił się i zamarł, gdy dostrzegł, skąd pochodzi dźwięk. Mniej niż dziesięć jardów od niego stał olbrzymi krab piaskowego koloru. Miał przynajmniej cztery stopy wysokości, a jego poruszające się szczypce podobne były do stalowych nożyc. Ale najstraszliwiej wyglądał pysk - z niemal ludzkim wyrazem wrogości. Maleńkie czerwone oczka widziały i...

rozumiały. Nie można się było pomylić co do ich wyrazu - pragnęły krwi!

- Chryste! - mężczyzna zbladł i poczuł jak miękną pod nim kolana. Jego sparaliżowany mózg nie próbował nawet walczyć z wszechogarniającym odrętwieniem. Ucieczka lub walka zdawały się być daremne. Można było tylko modlić się, by koniec nadszedł szybko. W przerażonym mózgu mężczyzny zaświtała tylko jedna myśl: raporty mówiły prawdę o małym garnizonie na Wyspie Muszli, który został okrutnie zmasakrowany przez skorupiaki.

Klikety-klik. Kołysząc się niezgrabnie monstrum pełzło wolno i ociężale, ale pomimo tej ogromnej powolności wiadomo było, że nie ma dla niego ratunku. Rodney wciąż uwięziony w uścisku mężczyzny, wrzasnął.

Krzyk sprawił, iż mężczyzna na moment ocknął się. To wystarczyło. Wiedział, że może i mu-

66

si ocalić dziecko. Jego mięśnie napięły się i długie, wyciągnięte w górę ramiona wyrzuciły machającego kończynami Rodneya w powietrze. Chłopiec upadł na szczyt falochronu z głuchym plaśnięciem. Leżał tam zmęczony i obolały, nie ważąc się spojrzeć w dół, na plażę, próbując sobie wmówić, że ani krab, ani mężczyzna nie istnieli.

Robotnik zamknął oczy, wymamrotał "dzięki Bogu", a potem usłyszał, jak krab zbliża się do niego. Morski potwór był wściekły, że umknęła mu część zdobyczy i tym zajadziej rzucił się na swoją ofiarę. Krab najpierw wyrwał prawe ramię;

krwawe ścięgna ciągnęły się jak szkarłatne nitki. Trzaskają łamane kości. Pchnięcie drugiej pary szczypiec rozerwało klatkę piersiową, żłobiąc w niej głęboką ranę.

Krab wyglądał jak gigantyczna maszyna do mięsa, która kruszy i rozłupuje kości, tnie i rwie ciało na kawałki. Później stwór

pochylił się nad swoją ofiarą i zaczął ohydną ucztę, krusząc i polykając zakrwawioną miazgę.

Wszystko skończyło się w ciągu kilku minut. Włokąc się i trzaskając szczypcami, krab zawrócił. Czując zew głębin i zawarte w nim ostrzeżenie, by za dnia nie przebywał na brzegu, potwór szybko zmierzał ku morzu. Z wody wywiódł go rozbudzony podczas ostatniej nocy głód ludzkiego mięsa. Ale choć był wodzem i królem, miał

67

wobec swojego gatunku obowiązki, przed którymi w czasie ataku nie mógł się uchylać. Teraz musiał wracać do siebie, do morza, szedł więc ku falom przypiływu, dopóki woda go nie przykryła.

Rodney, szlochając i drżąc, ruszył chwiejnym krokiem w stronę domku. Próbował wołać mamę, lecz głos uwiązł mu w gardle. W końcu razem z Louise wrócił do domku. Drzwi zastali jednak zamknięte. Na próżno tłukli małymi piąstkami, nikt nie otworzył. Zapłakane dzieci usiadły. Nie zauważali ich mijający ludzie, którzy myśleli tylko o gigantycznych krabach.

Nisko ponad nimi, z hałasem przeleciał czerwono-biały helikopter. Straż przybrzeżna poszukiwała śladów dwojga młodych ludzi, o których zniknięciu poinformowano poprzedniego dnia.

Pilot zatoczył koło nad zatoką Cardigan, aczkolwiek zadanie to uważał za bezsensowne. Wiedział, że nie znajdzie ciała Julie Coles i Iana Wrighfa po tym, co się zdarzyło na Wyspie Muszli ostatniej nocy.

Rozdział 6

Niedzielne przedpołudnie - Blue Ocean

- Ciagle mam uczucie, że to wszystko, co się dzieje, jest jakimś oszustwem. - Gordon Small-wood strzepnął pyłek ze swojego munduru i spojrzal w lustro. Wyraz twarzy Gordona wskazywał jednak, że wcale nie mówił tego, co myśli, że robi to jedynie ze względu na jasnowłosą dziewczynę, która ubierała się z tak przez niego nie lubianym pośpiechem. Nie znosił, gdy Jean Ruddington opuszczała obóz, a dzisiaj denerwował się szczególnie. Podjąłby każdą próbę, byle tylko jej to wyperswadować.

- Jeśli to kant, to przecież nie ma powodu, byś się obawiał puścić mnie do Barmouth, prawda? - rzuciła oschle. - Jesteś cholernie zazdrosny, Gordon. Przecież nie jestem twoją własnością, wiesz o tym. Jesteśmy tylko pracownikami tej samej firmy, na tym samym kempingu.

- Myślałem, że nasze stosunki są bliższe. A może byłem w błędzie?

- To moja wolna niedziela. Poza tym, siostra jest z rodziną w Barmouth na wakacjach i

69

nikt nie powstrzyma mnie od zobaczenia się z nią. Nawet ty!

- Drogi są zamknięte, nie słyszałaś? - w głosie Gordona wyczuwało się ironię zmieszaną z obawą. - W radiu mówili, że pozostanie na miejscu zapewnia bezpieczeństwo.

- Tytko dla samochodów - odparła. - A ja jadę na rowerze.

Zrezygnowany Gordon westchnął tylko. Boże, dlaczego nie wydano rozkazu, żeby nikt nie opuszczał kempingu? - pomyślał. Dziewczyna pojedzie; nikt na ziemi nie będzie w stanie jej zatrzymać, nawet Miles Manning, chociaż tutaj, na kempingu był on niemal bogiem.

- W każdym razie dziś wieczorem znowu ma się odbyć przedstawienie. - To była karta atutowa Gordona. - I gramy w nim oboje, bez względu na to, czy masz wolny dzień, czy nie.

- Zacznie się tuż przed dziewiątą - uśmiechnęła się. - O godzinę później niż zwykle piątkowe przedstawienie. A do tego czasu będę z powrotem.

Pojedzie do Barmouth, nie miał co do tego wątpliwości.

- W porządku - ścisnął jej dłoń - wygrałaś. Ale na Boga, uważaj na siebie. Gdybym tylko mógł, pojechałbym z tobą.

- Ale nie możesz - położyła szcztokę i

70

grzebień z powrotem na toaletkę. - Manning nie może odwołać dni wolnych, ale na pewno nie da ci nic ekstra.

- Mówisz tak, jakbyś nie chciała, żebym z tobą pojechał - w jego głosie brzmiała uraza. - Jakbyś... coś planowała.

- Nie bądź głupi - podeszła bliżej i dotknęła jego dłoni. - Wiesz, że to nieprawda.

Gordon przełknął ślinę, a jego oczy zamgłiły się. W ciągu kilku ostatnich tygodni zrodziło się między nimi coś wspaniałego.

Niedawny rozwód pozostawił w nim uczucie przygnębienia, z którego teraz próbował się otrząsnąć. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Margaret go opuściła. Nigdy się tego po niej nie spodziewał; nigdy nie dała mu odczuć, że coś jest między nią a Wilfem Robinsonem. Było tak do dnia, kiedy wrócił z pracy i zobaczył, że jej rzeczy zniknęły. Na stole znalazł kartkę. Cały jego świat zawałił się. Nawet do dzisiejszego dnia Gordon nie doszedł całkiem do siebie. Nie mógł być pewien Jean. Było zbyt dużo niedomówień - przynajmniej z jej strony. Przytąpywał ją na bezsensownych, niepotrzebnych kłamstwach. Ale oboje trapiło to samo.

Jean była wdową. Jej mąż zginął dwa lata temu w wypadku, kiedy samochód, którym jechali wpadł w poślizg. Jean wyszła z wypadku niemal bez żadnych obrażeń, z wyjątkiem paru skaleczeń i siniaków. Od tego czasu świat zupełnie jej zobo-

71

jętniał, odseparowała się od wszystkich. Wspomniała co prawda coś o siostrze, ale Gordon nie znał nawet jej imienia. A później los rzucił rodzinę siostry do Blue Ocean, gdzie zatrudniano ją przy pracach sezonowych.

To Jean uczyniła pierwszy ruch, przełamując bariery, które Gordon wznosił między sobą a kobietami; to ona osłodziła mu gorzyc samotności. W dwie noce po tym, jak spotkali się po raz pierwszy, zaprosił ją do siebie na kawę. Tylko kawę miał na myśli i może trochę muzyki, ale nic więcej. Marzył o kimś, z kim można porozmawiać, o kimś, w czyich ramionach można się wypłakać.

To dłoń Jean odnalazła jego rękę, opartą na małej sofie, to jej wargi odszukały jego usta, to jej język począł się w nich poruszać. Stopniowo Gordona ogarniało podniecenie. Potem drugą ręką zaczęła go delikatnie gładzić przez cienki materiał mundurowych spodni. I w ten sposób Jean uwiodła go.

- Od dwóch lat nie miałam mężczyzny. Czasami nie mogłam wytrzymać.

To było pierwsze kłamstwo. OK, zrobiła to po to, by go łatwiej zdobyć, by łatwiej wytłumaczyć swoje podniecenie, gdy już byli nadzy. Rozpoczęła się namiętna gra. Jej usta spragnione były pulsującego męskiego ciała. Potem nastąpił szalony orgazm.

Taki był początek ich romansu.

Jean została na noc i od tamtego czasu we własnym mieszkaniu trzymała już tylko swoje rzeczy.

To nie była prawda, że aż przez dwa lata nie miała mężczyzny. U szczytu podniecenia pochwaliła się innymi przygodami z mężczyznami, którzy zaspokajali jej najdziksze fantazje, pragnąc tylko jej ciała. Ale ona ciągle marzyła o czymś innym. Tak przynajmniej mówiła.

Jean była dla Gordona Smallwooda jak narkotyk; gorycz zamieniała w radość, a żądzę w spełnienie. Nie mógł pogodzić się z jej nieobecnością, ale czuł, że próby związania dziewczyny ze sobą - będą początkiem końca. I dlatego wiedział, że musi pozwolić na tę jazdę do Barmouth. Może siostra Jean rzeczywiście spędzała tam urlop? Nie było powodu, aby przypuszczać, że w rzeczywistości w ogóle nie istniała.

- Do zobaczenia wieczorem. - Gordon pocałował dziewczynę. - Będę się martwić cały dzień.

- Nie rób tego - wysunęła się z jego objęć i ruszyła ku drzwiom. - Powiedziałam ci, że wszystko będzie w porządku.

Idąc po trawniku oddzielającym domki obsługi od głównej części kempingu, Jean czuła na sobie spojrzenie Gordona. Czuła jego niepokój o nią i z wrażenia aż zacisnęła zęby. Niech go diabli! Za dużo sobie ostatnio pozwalała! Stał się podobny do innych mężczyzn, których miała w przeszłości...

przed i po śmierci Johna. Może powinna się uspokoić? Jean nie mogła zebrać myśli. Miło mieć koło siebie mężczyznę, ale to powoli ograniczało jej wolność. Znowu pragnęła powrotu do dawnej swobody.

Mała brama obok głównego wejścia była otwarta, a strażnik kontrolował ruch. Przed biurem Ochrony stała długa kolejka.

Wszyscy chcieli czegoś się dowiedzieć. Kiedy będą mogli swobodnie się poruszać? Nie mogą przecież siedzieć tu wiecznie.

Kto będzie płacił za ich przymusowo przedłużone wakacje, jeśli nie pozwala się im wrócić do domu?

- Nie ma autobusów ani żadnego innego transportu, proszę pani - poinformował Jean strażnik przy bramie, sprawdzając kartę identyfikacyjną.

- Niczego takiego nie potrzebuję - uśmiechnęła się. - Idę tylko na spacer w kierunku wzgórz. Powinien pan dostać wolny dzień, aby odpocząć w innym miejscu, bo inaczej pan oszaleje.

- Mów do mnie jeszcze - wyszczerzył zęby i przepuścił ją. Dziewczyna wyszła na główną drogę i zaczerpnęła głęboko powietrze. Spodziewała się, iż zostanie zatrzymana i zawrócona. Sądziła bowiem, że wprowadzono stan wyjątkowy, a wtedy władze mogą zakazać swobodnego poruszania się.

Droga była zupełnie pusta. Urlopowicze pew-

nie zdecydowali się pozostać na kempingu, skoro nie mogli zabrać stamtąd swoich samochodów. Jean zastanawiała się, gdzie ustawiona została pierwsza blokada i punkt kontrolny. Powiedziała wprawdzie Gordonowi, że pojedzie na rowerze, ale potem zrezygnowała z tego pomysłu. W tym momencie zdała się na los: jeśli ma się dostać do Barmouth, to dotrze tam, a jeśli nie, to trudno. Musiała zobaczyć Gerry'ego z wielu powodów. Przede wszystkim nie chciała, aby zjawił się on niespodziewanie na kempingu. Oprócz Gordona, Gerry był jej jedynym zmartwieniem.

Szła już nieco ponad godzinę, gdy usłyszała za plecami warkot samochodu. Pojazd właśnie zwalniał na zakręcie, będąc wciąż jeszcze poza zasięgiem jej wzroku. Zaciekawiona, zatrzymała się. Postanowiła zaczekać.

Ku wzgórzu zbliżał się duży, wojskowy Land Rover. Jean pomachała ręką. Kierowca zwolnił i po chwili zatrzymał się tuż obok niej.

W otwartym tyle samochodu zobaczyła stłoczonych młodych żołnierzy, którzy przypatrywali się jej uważnie. Któryś z nich skomentował sytuację i wszyscy zaczęli się śmiać.

- Dokąd, kochanie?

- Barmouth - oparła się ręką o samochód. - Jadę tam, aby... aby zobaczyć moją siostrę - powiedziała tak, jakby musiała się wytłumaczyć.

- To tak samo jak my. A jeśli twoja siostra

jest taka jak ty, to zabierzemy cię, żeby ją też zobaczyć. - I znowu wybuchli śmiechem.

Jean miała jednak szczęście, los rzeczywiście jej sprzyjał. Pomocne dłonie wyciągnęły się ku niej i pomogły wejść na górę.

Kierowca wcisnął gaz. Ruszyli.

- Będziesz musiała siedzieć na naszych kolanach, kochanie. Przytrzymamy cię, żebyś nie spadła.

Uśmiechnęła się, patrząc na rozradowanych chłopaków. Zachowanie żołnierzy Jean odebrała jak komplement, bo przecież przekroczyła już trzydziestkę. Cieszyła się również i z tego, że znajdzie się w Barmouth szybciej, nie martwiąc się o blokady i punkty kontrolne. Zacznie się nimi przejmować dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas powrotu.

- Dopilnujemy, aby kraby cię nie dostały. - Żołnierz, na którego kolanach siedziała, dyskretnie gładził ją po pośladkach.

- Czy to... rzeczywiście prawda o tych potwornych krabach? - przechyliła się, gdy Land Rover skręcił w lewo. Czyjeś ramię objęło ją w talii, chroniąc przed upadkiem.

- Pewnie, że prawda, ale szybko damy sobie z nimi radę. Udało im się rozbić bazę Departamentu Wojny tylko dlatego, że obrona tego obiektu nie była wystarczająco dobra. Pokonano ich przez zaskoczenie. Ale daję głowę, że jeśli te

skurwiele wyjdą ponownie na ląd, to dostaną za swoje. Ciężkie działa już na nie czekają. Tubylcy tygodniami będą zbierać resztki po tych frajerach.

Jean Ruddington wstrzymała oddech. Czuła na sobie dotyk wielu rąk. Ktoś odważył się wsunąć dłoń pod jej spódnice i gładził teraz wewnętrzną stronę ud. Ci młodzi rekruci nie przejmowali się subtelnościami. Ale ona musiała dotrzeć do Barmouth. Tylko to się liczyło.

- Masz męża? - spytał nagle piegowaty żołnierz. Odniosła wrażenie, iż to jego palce próbowały ją tak niewprawnie pieścić.

Czuła, że pewnie by ją to podnieciło, gdyby mężczyzna wykazał więcej delikatności.

- Nie - potrząsnęła głową. - Już nie.

- Założyłbym się, że nie potrafisz się bez tego obejść. W każdym razie pracując na kempingu. Wybuchli śmiechem. Jean także się śmiała.

- Nie, nie obywam się bez tego. Słuchajcie chłopaki, czy nie będziecie przypadkiem wracać tędy trochę później?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której dziewięciu ubranych w mundury koloru khaki młodzieńców, siedzących na ławkach Land Rovera, wymieniło między sobą znaczące spojrzenia.

- A dlaczego?

- Bo ja będę musiała tędy wracać. Spodziewają się mnie na kempingu o ósmej.

77

- To... dałoby się załatwić - na kościstej twarzy kaprała pojawił się uśmiech. Mężczyzna podrapał się po policzku. - Musimy dziś wieczór wrócić do Nefyn z jakimś ekwipunkiem. To jak, umowa stoi?

- Może - podniecające ciarki przebiegły po jej plecach. Jak większość kobiet, lubiła tak flirtować. Stosunek z kilkoma mężczyznami naraz... Jeśli to zdarzy się naprawdę, będę prawdopodobnie szaleć z radości. Ale tak czy inaczej, muszę wrócić na kemping.

- Wobec tego rozejrzemy się za tobą około siódmej. Będziemy na Marinę Paradę. Na górnym końcu.

- A więc prawdopodobnie tam się spotkamy. - Jean uśmiechnęła się i pozwoliła piegowatemu żołnierzowi robić pod jej spódnicą to, co chciał. To było zupełnie nieszkodliwe - jak dziecięca zabawa.

Mimo słońca ogrzewającego złocisty piasek i błękitne szumiące morze, na Barmouth minął już szczyt sezonu turystycznego.

Nie widziało się kąpiących, a plaże, pozbawione kolorowych krzeseł i parawanów, wyglądały tak, jak w zimie.

Tylko promenada była załoczona. W strategicznych punktach pospiesznie wznoszono wały, z których można było obserwować zatokę i ujście rzeki. Grupy żołnierzy napełniały piaskiem worki

78

i układały je na szczycie falochronu. Policja trzymała ciekawskich z daleka.

Droga Dolgellau była jeszcze otwarta, ale ruch odbywał się tylko w jednym kierunku - wszyscy wyjeżdżali z miasta. Warty pilnowały, aby nic, oprócz pojazdów wojskowych i personelu, nie przedostało się do Barmouth. Cała operacja była doskonale zorganizowana, władze nie chciały ryzykować.

Jean Ruddington oddaliła się szybko od zaparkowanego Land Rovera, wyglądając na sobie ubranie. Małe, hałaśliwe skurczybyki, ale spełnili swoje zadanie!

Po dziesięciu minutach dotarła do wysokich, wiktoriańskich budynków poza miastem. Większość z nich przeznaczona była do wynajęcia sezonowym turystom. Weszła do jednego z nich. Nagle serce dziewczyny zaczęło gwałtownie bić. Już prawie chciała zawrócić.

- Jean! - ciemnoskóry mężczyzna ubrany w podkoszulek i dzinsy otworzył drzwi na jej pukanie. Jego rysy wyraźnie wskazywały na hiszpańskie pochodzenie. - Oszalałem niemal z niepokoju o ciebie po tym, co się stało na Shell Is-land. Zastanawiałem się już nawet nad możliwością dotarcia na kemping, aby cię odnaleźć.

- Zbyt się przejmujesz. - Wsunęła się w jego ramiona i oddała mu namiętny pocałunek. - Jeśli kraby znów się pokażą, to ci żołnierze wyślą

79

je do diabła. Tymczasem możemy spędzić ze sobą parę godzin.

- Nie jesteś... w ciąży?

- Znów się przejmujesz? - roześmiała się.

- Nie, jestem tylko przestraszona. I tak byś nie musiał płacić alimentów.

- Ożeniłbym się z tobą. - Na jego przystojnej twarzy pojawił się grymas. - Nie musiałaś tak stąd uciekać.

- Potrzebowałam czasu, aby wszystko przemyśleć. Potrzebowałam również pracy - rzuciła się na fotel. - Przecież wiedziałeś że wrócę, prawda Gerry?

- Miałem taką nadzieję - odparł poważnie.

- Ale gdybyś nie wróciła, szukałbym cię. Słuchaj, czy nie mogłabyś załatwić mi licencji na sprzedawanie hot-dogów na kempingu?

- Popytam się. - Odwróciła od niego oczy.

- Kłopot z tobą, Gerry, polega na tym, że mi nie ufasz.

- Jak mogę ci ufać?

- Oczywiście, że możesz. - Wyciągnęła ramiona i przyciągnęła go do siebie. - Wiesz, nie robiłam tego tak dawno, że zaczynam wariować. Czy sądzisz, że pokonałabym wszystkie przeszkody, by dotrzeć tutaj, gdybym nie była ci wierna?

Roześmiała się miękko i jego wargi poczęły szukać jej ust.

80

Wyniosły i groźny niszczyciel Królewskiej Marynarki pojawił się w oddali w zatoce. Tłum spacerował po promenadzie w ciszy, przypatrując się przygotowaniom wojska. Napięcie rosnęło, jakby zbierało się na burzę.

A gdzieś w zatoce, pod iskrzącą się powierzchnią morza, przyczaiła się armia krabów. Raz już zaatakowały i pewnie uczynią to znowu.

Rozdział 7

Sobota wieczór - Blue Ocean

Irey Wali nie mogła się zdecydować. Jej niepokój zamienił się w strach. Kolejka zdawała się wcale nie przesuwac. Z wnętrza biura dochodziły podniesione głosy - jedna z wielu gorących dyskusji. Po raz setny tego ranka ktoś stwierdzał, że władze kempingu nie mają prawa przetrzymywać samochodów należących do gości.

O Boże, dzieci już nie mogą zostać dłużej same. Nie było jej tyle czasu, więc na pewno już się obudziły i niepokoją. Irey opuściła kolejkę i niemal biegiem ruszyła do domku. Przepychała się przez tłum zgromadzony przed biurem Ochrony. Ktoś szturchnął ją ze złością, ale go zignorowała.

Przecinające się ulice kempingu zdawały się zbyt hałaśliwe, pełne wrogości. Powietrze przesycone było zapachem smażonych ryb i chipsów. Muzyka drażniła i ogluszała. Grający w bingo krzyczeli, jakby próbowali zagłuszyć zgiełk nieprzyjemnych, podniesionych głosów. A głosy te zdawały się ją oskarżać: nie powinnaś zostawiać swoich dzieci. Mogło im się coś przydarzyć. Już może być za późno!

82

O Boże, nie! Proszę!

Irey teraz już biegła. Wpadła na grupę nastolatków: pomyślała, że będą usiłovali jej przeszkodzić. Te skurczybyki nie chciały,

by znalazła swoje dzieci. Przeklęła ich pod nosem. Identyczne rzędy domków. Z łatwością można było ominąć swój, jeśli nie sprawdzało się numerów. Nagle czarne i białe liczby zaczęły się zamazywać. Irej zwolniła. Zaczęła sprawdzać każdy numer. 16... 17... 18... następny musi być 19. Był.

Oddychając z ulgą wspięła się na stalowe schody wiodące na wyższy poziom. Teraz sprawdzała numery drzwi. 40... 41... 42. Z trudem odnaleziona klucze o mało nie wypadły jej z rąk. Pochwyliła je jednak, a jej palce tak drżały, że dopiero za którymś razem włożyła klucz do zamka. Z całej siły pchnęła drzwi, które z impetem uderzyły o ścianę.

- Rodney... Louise...

- Rod... ney... Lou... ise... - echo brzmiące w pustym domku szczydziło z niej. Nikogo tu nie ma! Odeszły... odeszły... odeszły!

- Nie - stała przez chwilę pozbawiona sił. Ogarnięta paniką, wpatrywała się w otwarte drzwi sypialni. Puste bliźniacze łóżeczka, piżamy porozrzucane po podłodze, atmosfera strasznej pustki. Odeszły.

Odeszły! I już nie wrócą!

Irej sprawdzała wszędzie, czując, że to bezna-

83

dziejne. Ale coś przecież musiała robić. Oczy ją piekły, lecz łzy nie chciały płynąć. Czuła się chora. Prawdopodobnie by zwymiotowała, gdyby nie to, że miała pusty żołądek. Zrozpaczona ściągnęła koce z łóżek, wmawiając sobie, że dzieci są pod nimi i tylko sobie z niej żartują. Wiedziała jednak, że tam ich nie znajdzie. To by było za proste. Poruszała się teraz automatycznie tam i z powrotem przy balustradzie i bolącymi oczami przeszukiwała rojący się tłum. Nigdzie śladu Rodneya i Louise.

Musiała coś zrobić, inaczej oszaleje. Chwiejnym krokiem ruszyła tą samą drogą, którą przed chwilą przybiegła. Oczywiście najpierw powinna sprawdzić Domek Zaginionych Dzieci.

Sprawdziła kolejkę parową, karuzelę, lecz nie było tam ani jednego dziecka.

Uchwyciwszy się płotu, obserwowała huśtawki. Ośmioletni chłopiec bujał się uszczęśliwiony, jakby zapomniał o bożym świecie.

Nikogo więcej, tylko rozłożony na ławce rudowłosy strażnik leniwie przeglądał gazetę. Nic nie wskazywało na to, że kemping znajdował się właściwie w stanie obłędu.

Pytanie o dzieci nie miało sensu. Ani Rodneya, ani Louise tutaj nie było. Właśnie wtedy Irej Wali załamała się ostatecznie.

Oslabiona, bała się zbliżyć do kogokolwiek. Bała się pomocnej dłoni, nic nie znaczących słów,

84

które miały nieść pocieszenie. Przez łzy zobaczyła zamazaną postać mężczyzny w zielonym mundurze. Mógł mieć około trzydziestki, zresztą to było mało istotne.

- Moje dzieci - starała się mówić zrozumiale. - Rodney i Louise... sześć i cztery... zginęły. Nie... nie mogę ich nigdzie znaleźć.

- Wiele dzieci ginie - mężczyzna uśmiechnął się. - Ale zwykle nie na długo. Nic złego nie mogło im się tutaj stać, a terenu kempingu na pewno nie opuściły. To, że ich nie ma, wcale nie oznacza, że coś im się przydarzyło. Prawdopodobnie poszły do salonu gier lub do parku. Pomogę ci je szukać. A przy okazji, nazywam się Gordon Smallwood.

- Dziękuję - Irej przemogła się i uspokoiła nieco. - Jestem Irej Wali.

Pozwoliła, by prowadził ją pod rękę. Wydawało się to całkiem naturalne. Smallwood miał całkowitą rację. Rodneyowi i Louise nic nie mogło się przytrafić i wkrótce ich odnajdą. Zmusiła się, by w to uwierzyć.

Louise i Rodney w poszukiwaniu matki oddalili się od domku. Chłopiec był oszołomiony, ruchy miał niezdarne, jakby mózg nie koordynował jego ciała. Teraz dopiero odczuł szok po tym, co mu się przydarzyło. Znowu wydawało mu się, że widzi brodatego robotnika, który go uratował i

85

gigantycznego kraba, zbliżającego się po to, by zabić. Wtedy Rodney krzyczał, ale teraz już tego nie potrafił. Nie był w stanie nawet normalnie mówić. Przerażony do ostatnich granic obawiał się nawet obecności swojej siostry. Muszą znaleźć mamusię, a wszystko będzie dobrze.

Jezioro. Dzika kaczka która nocą kwakała, protestując przeciwko sztucznemu światłu i ludzkiej obecności, zniknęła. Para gęsi kanadyjskich, przebywających tam od wiosny, zaginęła również.

Pozostało tylko słonawe jezioro, pozbawione wszelkiego życia, z tuzinem kolorowo pomalowanych łodzi, przywiązanych rzędem do betonowego pomostu. Woda zaczynała śmierdzieć od gorąca i wrzuconych lub przywianych z parku śmieci. To było jedyne miejsce na kempingu, do którego armia sprzątaczy nie mogła dotrzeć. Basen wprawdzie trzeba by było osuszyć, a potem dopiero oczyścić. Ale dzisiaj nikogo nie interesowała przyjemność pływania łódkami.

Rodney i Louise, trzymając się balustrady, stali i wpatrywali się w wodę. Pośrodku była wysepka - jakieś pół akra skały i ziemi, gęsto porośniętej wysokimi na sześć stóp sosnami, nadającymi wyspie niezbyt przyjemny wygląd.

- Mamusi tutaj nie ma - przemówiła Louise, chwytając brata za rękę. - Chodźmy sprawdzić gdzie indziej.

Rodney jakby wpadł w trans. Wpatrywał się

86

bezmyślnie w wysepkę. Jego mózg miał trudności z rejestrowaniem tego, co widziały oczy. Znowu ujrzał tego olbrzymiego skorupiaka pełzającego przez skały i trzaskającego szczypcami, tak jak wtedy, gdy rozmyślnie wciągnął brodatego mężczyznę w zasadzkę. Do końca swych dni nie zapomni wyrazu tej okropnej gęby. Wryła mu się w pamięć na zawsze.

Stwór pojawił się znowu. Wyłonił się z cuchnących głębin nieruchomego jeziora, aby odnaleźć Rodneya i wzrokiem przyspilić do miejsca. Raz mi uciekłeś, chłopcze, ale tym razem ci się nie uda. Zamierzam zjeść ciebie i twoją małą siostrę! - zdawał się mówić.

Louise krzyczała, próbując odciągnąć brata od wody. Rodney opierał się zahipnotyzowany widokiem kraba w całej okazałości. Stwór był większy niż osiołki na polu obok salonu gier.

Klik-klik-klikety-klik.

Wzniesione szczytce poruszały się jak anteny. Woda rozpryskiwała się pod naporem cielska, wokół gęstniały obrzydliwe opary. Ale przecież stwór nie mógł być tu naprawdę - powiedziało do siebie dziecko. Krab był wciąż na plaży, musiał być, bo przecież nie mógł przejść przez umocniony falochron. Rodney będzie go widział jeszcze w setkach różnych miejsc, na jawie i we śnie; nocą, pełen strachu będzie wołał matkę. Gdyby tatuś był tutaj...

87

Ktoś krzyczał. Jakiś dorosły. Słychać było odgłosy pospiesznych kroków, gwar zbierającego się tłumu, piski przerażenia.

- W jeziorze jest krab!

To była prawda, ale Rodney Wali przekroczył granice strachu. Ten mały chłopiec był już wolny od przerażenia. Widział i

poruszał się, ale zupełnie oderwany od rzeczywistości.

- Niech ktoś zabierze te dzieci od balustrady.

Krab był bardzo blisko brzegu, jego szczytce wydały metaliczny dźwięk, uderzając o stalową balustradę. Kilka jej podpór wygięło się. Szczytce uniosły się znowu i zadały potężny cios. Dwu-dziesięstopowy fragment bariery wyrwany został nagle z betonu i wyrzucony w powietrze. Po chwili zwałił się z łoskotem do wody.

Właśnie wtedy Rodney i Louise poczuli, że coś ich unosi i porywa; w tym samym momencie stwór zaczął już wypelzać na brzeg. Po raz drugi tego dnia zostali w ostatniej chwili ocaleni.

Gordon Smallwood trzymał dwójkę dzieci, każde pod jednym ramieniem i biegł, krzycząc jednocześnie do Irey Wali, by uciekała, póki czas.

Zgromadzony na skraju parku tłum sprawiał przygnębiające wrażenie. W takich momentach z ludzi wychodzi ich straszna natura: pojawiają się znikąd w miejscach, w których rozgrywają się dramaty, aby napawać się rzezią i znikać, gdy krew wsiąknie w ziemię. Gapie bawili się wido-

kiem strachu i cierpienia tak długo, póki to nie dotyczyło ich samych. Może nawet mieli nadzieję, że krab pożre dzieci, a także strażnika i kobietę usiłujących je ocalić. Niemożliwością było dociec, co myśla.

Gordon i Irey biegli, nie oglądając się, mimo że słyszeli za sobą stukot krabich szczytce. Uciekali w stronę tłumy.

Krab zatrzymał się dziesięć jardów od jeziora. W jego oczach prócz gniewu gorzało coś jeszcze:

strach. Ujrzał betonowe budynki - ten sztuczny świat, który zastąpił naturalne otoczenie - i cofnął się. Po raz pierwszy w swym życiu bał się, lecz mimo to był bardzo niebezpieczny.

Powoli i niezgrabnie stwór odwrócił się i miażdżąc pozostałości poręczy ruszył niespiesznie ku wodzie, by po chwili się w niej pograżyć. Jedynym dowodem obecności kraba były fale na powierzchni, znaczące jego podwodną drogę. A gdy w końcu i one zniknęły, zdawać by się mogło, że całe zdarzenie było tylko nocnym koszmarem. Ale nikt tak nie myślał.

- To niemożliwe - stwierdził Miles Man-ning z pewnością, której- w rzeczywistości wcale nie miał. - Absolutnie niemożliwe.

Nasze wały są nie do przebycia. Jedyny słaby punkt wzmocniłszy dziś rano.

- To możliwe - na orlej twarzy mężczyzny

89

siedzącego naprzeciw Manninga, pojawił się smutny uśmiech. - Ale przypuszczam, że krab dostał się na brzeg wcześniej, pod osłoną nocnych ciemności.

Manning skinął głową. W żaden sposób nie mógł się nie zgodzić z tą teorią. Ścisnęło go w żołądku, sięgnął więc do stojącego na biurku pudełka z cygarami. Ten facet, profesor Davenport, uważany był za jednego z największych botaników w kraju, jeśli nie na świecie. I Manning - który tylko czasami czuł szacunek dla drugiego człowieka - wiedział, że z pewnością należy się on Davenportowi.

- Niewykłuczone - przyznał Manning, wydmuchując w sufit chmurę dymu. - I naprawdę sądzi pan, że ten nasz zaginiony robotnik został zjedzony przez kraba? Chłopiec mógł to sobie wyssać z palca, by zrobić na nas wrażenie.

- Nie - Davenport potrząsnął głową. - Dzieciak był piekielnie przerażony i to, co od niego wydobyliśmy, dokładnie zgadza się z tym, co dotąd wiemy o krabach. Są mięsożerne, Manning. Sam widziałem, jak pożerały na plaży faceta o imieniu Batholomew, żyjącego ze zbierania rzeczy wyrzuconych przez morze. Przyłapały go na piasku, tropiąc jak sfora psów idących za lisem. Po ich uczcie nie pozostał z niego nawet strzęp. To samo przydarzyło się pańskiemu człowiekowi, Manning. Ja... ja... - dolna warga Da-

90

venporta zdrząła - zaginęła też moja... siostrzenica i jej narzeczony. Ich samochód został znaleziony na Shell Island.

Pojechali tam popływać. Obawiam się... nie ma zbyt wielkiej nadziei.

- Ja... przykro mi. - Po chwili głos Man-ninga znów stwardniał. - Ale co stanie się tutaj, profesorze? Jest sezon, na kempingu pełno ludzi, a ten skurczybyk siedzi spokojnie w jeziorze. Czy nie może pan potraktować go bombą głębinową i usunąć w ten sposób?

- Niestety nie. - Profesor próbował zapalić swoją fajkę, którą rzadko wyjmował z ust. - Nie sądzę, by to pomogło. Te kraby wykazują niebywałą odporność na tego typu broń. W każdym razie garnizon na wyspie został wzięty przez zaskoczenie, a tymczasem my jesteśmy przygotowani na odparcie wroga. Oddziały, które okrążają w tej chwili jezi&ro, wyposażone są w pociski przeciwpancerne, które zabijają kraby.

- To nie wpływa dobrze na interesy. - Manning zgrzytnął zębami. - Większość ludzi przebywających tutaj ucieknie do domu, kiedy tylko będzie to możliwe. W chwili, gdy zostaną otwarte drogi, urlopowicze znikną i więcej się nie pojawią. A ja stanę się bankrutem.

- Może to mieć zupełnie odwrotny skutek. - Davenport uśmiechnął się z za chmury tytoniowego dymu. - Tam, na terenach poza blokadami robi się coraz większy tłok. Ma się wrażenie,

91

że zjechała połowa ludności Brytanii, by choć rzucić okiem na kraby. Jeśli obecni goście odjadą, Manning, gwarantuję, że pański kemping natychmiast znów się zapełni.

- Chciałbym w to wierzyć - Miles Manning chrząknął. - Tymczasem zamierzam prowadzić wszystko tak, jak dotąd - pokazy, zabawy - wszystko by odciągnąć uwagę ludzi od krabów.

- To najlepsze, co może pan zrobić. Obawiam się jednak, że będziemy musieli stworzyć dodatkowy system ochrony wokół pańskiego falochronu. Oglądałem go - wygląda nieźle, ale nie możemy podejmować żadnego ryzyka. Na zatoce stoi też niszczyciel Królewskiej Marynarki. Te kraby muszą zostać starte z powierzchni ziemi.

- Jak pan sądzi, skąd się wzięły?

- W tej chwili możemy tylko zgadywać. Krążyły pogłoski o radzieckich eksperymentach z podwodnymi wybuchami jądrowymi, które mogły doprowadzić do mutacji, ale nie mamy na to dowodu. Gdybyśmy mogli zabić choć jednego kraba i dokładnie go obejrzeć, być może doszli-byśmy do czegoś sensownego. Ale na razie naszym zadaniem jest powstrzymać ich inwazję na ląd i zatnie tego kraba w jeziorze, zanim wybuchnie panika. A przy okazji, jak czuje się ten chłopczyk, który widział kraba?

Rozmawiałem z nim

92

przed paroma godzinami i był wtedy w strasznym szoku.

- Nic mu nie będzie. - Miles Manning odsunął krzesło i wstał, co było znakiem, że spotkanie zbliża się ku końcowi. - Jeden z moich strażników opiekuje się nim, jego matką i siostrą. Matka jest bardziej roztrzęsiona niż chłopak. Wie o tym, że jej

dzieciaki dwa razy cudem tylko uniknęły śmierci.

- Tak, to prawda. - Cliff Davenport wyciągnął rękę. - Dziękuję za współpracę, Manning. Teraz muszę wracać do kwatery głównej w Barmouth. Jest już po dziesiątej. Gdyby chciał mnie pan złapać, to tutaj jest mój numer telefonu. Myślę, że oddziały specjalne zajmą się krabem w jeziorze. Jeśli uda im się go zabić, wrócę tu jutro i zrobię sekcję.

Po wyjściu profesora Miles Manning siedział jeszcze długo przy swoim biurku. Może te kraby zrobią mu jednak przysługę i wydłużą czas przebywania gości na kempingu? Ale tymczasem napięcie może wzrosnąć. Jeśli wybuchnie masowa histeria, to on, Manning może mieć sporo kłopotów. Strażnicy i obsługa obozu zostali o wszystkim poinformowani, ale czy dadzą sobie radę?

Manning choć był wyczerpany, wiedział, że nie zaśnie; przynajmniej dopóty, dopóki krab kryjący się w jeziorze nie zostanie zgładzony. Znużony wyszedł z pokoju. Lepiej pójdzie i

93

sprawdzi, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Wschód będącego prawie w pełni księżyca minął praktycznie nie zauważony w blasku sztucznych świateł, dzięki którym na kempingu było niemal tak jasno jak w dzień. W salonach bingo panował hałas i tłok, gdyż goście za wszelką cenę chcieli rozrywki. Wesole miasteczko wciąż było otwarte i oblegane. Przedstawienie właśnie się skończyło i tłumy wychodziły z teatru; wczasowicze stawali w kolejkach po ryby, chipsy i hot-do-gi. Co dziwne, stoiska z morskimi przysmakami nie miały specjalnego powodzenia, ale nie kojarzono jeszcze faktu z krabami.

Jezioro oświetlały reflektory. Rząd opancerzonych samochodów dochodził niemal do linii zdemolowanej poręczy. Żołnierze znali swoje zadania, wszyscy wpatrywali się w wodę. Jak dotąd, na brudnej wodzie nie było nawet jednej fali, która mogłaby zdradzić obecność przyczajonego skorupiaka.

Być może wcale go tam nie było, może nie zauważony przedostał się do morza. Było to pobożne życzenie wczasowiczów, pragnących wrócić do domów.

A jednak krab tam był. Nigdzie indziej bowiem być nie mógł. Młody żołnierz dotknął karabinu. Nie mógł przestać myśleć o zabitych z bazy

94

na Shell Island. Poczut dreszcz emocji. Chodź tu gnojku, pokaż się i skończmy z tym. Zabij mnie, lub zgiń sam.

Z wolna milkły wszelkie hałasy. Bingo i wesole miasteczko zostały zamknięte na noc. Tłum rozprasał się. Pozostali jedynie ci najbardziej "nawiedzeni", którzy zdecydowali się poczekać na jakąś akcję. Wcześniej czy później coś się z pewnością wydarzy. Najgorsza była cisza. Żołnierz nasłuchiwał, próbując wyłowić z niej jakieś dźwięki. Wyraźnie słyszał szumiące nieco poniżej morze i fale rozbijające się o falochron z taką siłą, jakby próbowały go zniszczyć po to, by krabia armia mogła wypelznąć na brzeg, siejąc śmierć i zniszczenie.

Wszystkie spojrzenia utkwione były w ciemnej wodzie. Co chwila komuś zdawało się, że widzi jakieś fale czy kształty, które w rzeczywistości były tylko cieniami rzucanymi przez poruszające się reflektory.

Wszyscy czekali. Kilka mil od portu Bar-mouth wielka grupa krabów także czekała. Niedługo księżyc osiągnie pełnię. To będzie sygnał do ataku, gdyż właśnie księżyc, powoduje powstawanie przypływów. Dlatego jest on bogiem stworzeń zamieszkujących głębinę. To on, gdy wybijie godzina, poprowadzi kraby do walki.

Rozdział 8

Wczesny poniedziałkowy ranek - Blue Ocean

Jean Ruddington naprawdę zamierzała zjawić się na Marinę Paradę około szóstej. Tylko podróż z żołnierzami stwarzała możliwość powrotu na kemping Blue Ocean.

- Nie musisz wracać. - Gerry jeszcze się ubierał; jego spocona i ciemna skóra aż błyszczała. Postanowił, że prysznic weźmie później, a może nawet zrezygnuje z niego, aby zachować ten lekko cierpki zapach, który jeszcze jakiś czas będzie mu przypominał ich miłosne igraszki.

- Muszę - była nieugięta. - Mam pracę i nie mogę sobie pozwolić, aby ją stracić, bo o nową nie jest teraz łatwo. Gram dziś wieczór w specjalnym przedstawieniu, które ma podtrzymać dobry humor gości i odwrócić ich myśli od krabów.

- Zamiast tego mogłabyś tu ze mną zostać.

- Nie masz pracy - odcięła się nagle zirytowana. - Kiepsko by nam się wiodło, gdybyśmy musieli żyć z twojego zasiłku. Nie możesz przecież nazwać pracą twojego wózka z hot-dogami.

96

- Damy sobie radę. Nieźle teraz zarabiam.

- "Damy sobie radę", to bardzo praktyczny zwrot. Dostałam dobrą pracę i zamierzam ją utrzymać. Zarobki w Blue Ocean są o wiele wyższe niż na pozostałych kempingach.

- Pewnie, że są... teraz - zadzwonił - ale poczekaj trochę. Niech tylko Manning poczuje się pewnie, będzie dawał tyle samo, co inni. Ten Blue Ocean staje się cholerną imprezą. Manning nie może wiecznie urządzać darmowych przyjęć na swoim jachcie.

- Cóż, wracam dzisiaj - z zaciśniętymi wargami odwróciła się od niego i spojrzała na drzwi. Już kiedyś Gerry zmęczył ją, ale teraz była nim wręcz znudzona. Był dobry tylko w tym jednym i kiedy już ją zaspokoił, nie był dłużej potrzebny. Zaspokajała tylko swój zwierzęcy instynkt. Powinna mieć jednak więcej rozważli. Teraz znowu tęskniła do Gordona Smallwooda.

- Kiedy znowu cię zobaczę? - Wyszedł za nią na schody i chwycił tak mocno za nadgarstek, że z trudem opanowała się, aby nie odepchnąć jego ręki. Nie znosiła narzucających się i skamlących mężczyzn.

- Niedługo.

- Odwiedzę cię na kempingu.

- Nie rób tego! - w jej głosie wyczuwało się złość.

4 - Zew krabów

97

- Ukrywasz coś - jego uścisk stwardniał. - Myślę, że masz tam faceta. Z wściekłością uwolniła rękę.

- A nawet jeśli, to nie jest to twój interes! Jego przystojna twarz pociemniała.

- Jeśli grasz na dwa fronty, to...

- To nic. Nie jestem twoją własnością. Nie waż się dotknąć mnie po raz drugi.

Gerry uniósł rękę, ale Jean Ruddington była szybsza. Policzek wymierzony wierzchem dłoni trafił w jego twarz, jakby ktoś strzelił z pistoletu. Mężczyzna cofnął się do tyłu, a ona, potykając się i chwytając poręczy, zbiegła po schodach. Wpadła do hallu. Słyszała za sobą ciężkie kroki Gerry'ego, ale strach dodawał jej tylko sił. Bała się, bo wiedziała, jak okrutny potrafi być ten człowiek, gdy ogarnie go furia. Odziedziczył to po przodkach.

Wybiegła z budynku, trzaskając drzwiami. Nie zatrzymywała się ani na chwilę; zwolniła dopiero, gdy drogę zagroził jej tłum zgromadzony na Marinę Paradę. Popychana, przeciskała się przez zbiorowisko ludzi, których jedynym pragnieniem było ujrzeć straszliwe, monstrialne kraby. Wiadomości o skorupiakach zdominowały dzienniki, ale większość czytelników podejrzewała, iż inwazja krabów może być jedynie wymysłem prasy, lub wakacyjnym żartem.

Dopiero teraz Jean Ruddington przypomniała

98

sobie o żołnierzach, którzy obiecali podwieźć ją na kemping. Zaczęła szybciej się przeciskać przez masę ciał, aż dotarła do odległego chodnika. Szła teraz prędko. Spojrzała na zegarek: Boże, już pięć po szóstej! Wpadła w panikę, lecz szybko się uspokoiła, gdy pomyślała, że pięć minut nie stanowi żadnej różnicy. Z drugiej strony armia znana jest z punktualności.

O szóstej piętnaście dotarła na umówione miejsce. Stały tam zaparkowane pojazdy; większość z nich stanowiły ciężarówki i wozy pancerne. Na samym falochronie umieszczono kilka groźnie wyglądających karabinów. Zauważyła tylko jeden Land Rover, inny jednak niż ten, którym przyjechała. O Boże, żołnierzy nie było!

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - spytał wysoki sierżant. Miał na sobie koszulę khaki z podwiniętymi rękawami, a przez ramię przerzucony karabin. Jego ciemne oczy zwrężyły się podejrzliwie; może myślał, że kręciła się przy wozach, by ukraść coś na pamiątkę?

- E... tak - zarumieniła się i przelknęła ślinę. - Szukam kilku żołnierzy w... dużym Land Roverze z płóciennym dachem. Obiecali podwieźć mnie na kemping Blue Ocean.

- Ma pani na myśli inżynierów - potrząsnął powoli głową. - Musieli wracać do Nefyn z ekwipunkiem. Odjechali jakąś godzinę temu, a

99

może nawet jeszcze wcześniej. To było coś pilnego. Nie znam szczegółów, ale...

Jean Ruddington przestała go słuchać. Jej żołądek zbuntował się, i musiała oprzeć się o ciężarówkę, aby nie upaść. Była uziemiona!

- Czy wszystko w porządku, proszę pani?

- Tak, tak. Wszystko w porządku. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Chodzi o to, że pracuję na kempingu i muszę wrócić na przedstawienie, które gramy dziś wieczorem. Ci faceci obiecali mi...

- Obiecaliby wszystko ładnej dziewczynie - roześmiał się. - Obawiam się, że przegapiła pani jedyną okazję. Żaden z naszych wozów nie będzie już dziś jechał w tamtą stronę. A drogi są zamknięte dla ruchu cywilnego. Jeśli naprawdę musi pani wracać, to jest tylko jeden sposób - pieszo! - zaśmiał się. Armia miała już dość kłopotów z cywilami.

Jean odwróciła się; była niemal chora. Gdyby tylko miała swój rower, nie byłoby tak źle. Kręciło jej się w głowie. Manning z pewnością ją wyleje. Był do tego zdolny. Wtedy nie będzie miała ani pracy, ani Gordona Smallwooda. Zrobiła z siebie kompletną idiotkę! Wszystko to przez Ger-ry'ego! Kochał tak dobrze, że gotowa była pójść za nim na krańce świata. Wściekła się na niego tak, jak już nieraz w przeszłości, ale kiedy żądza ją ogarnie, przyjedzie znowu. Kochaj mnie, Ger-

100

ry, proszę. Rób ze mną, co chcesz. Nieważne jak. Popuść wodze fantazji, zgodzę się na wszystko, Gerry!

Nienawidziła siebie. W myśli zaczęła przeproszać Gordona; w jej oczach pojawiły się łzy. Weź się w garść, ty nadpobudliwa dziwko! - postanowiła nie użalać się nad sobą. Musiała teraz podjąć decyzję - czy zostać w Barmouth, czy wyruszyć w długą drogę do Blue Ocean.

Przed wszystkim w Barmouth nie miała gdzie się zatrzymać. Znała tu jedynie Gerry'ego, a on był ostatnią osobą na ziemi, którą chciałaby teraz zobaczyć. Jean nie miała też dość pieniędzy, aby znaleźć sobie jakiś nocleg. Będzie więc musiała wracać pieszo!

Była to straszna perspektywa. W dodatku przez tę nieokielznaną dzikość Gerry'ego bolał ją teraz każdy mięsień.

Pobudzone ciało Jean drżało wciąż; ciągle jeszcze czuła w ustach smak ciała kochanka. Chryste, była nimfomanką! Będzie nienawidziła Ger-ry'ego tylko tak długo, aż znów opanuje ją żądza. A to może się zdarzyć w każdej chwili.

Strome wzgórze - to już było dla niej za dużo. Oddychała ciężko i miała wrażenie, że jej płuca za chwilę przestaną pracować.

Mięśnie nóg bolały, toteż często zatrzymywała się, by odpocząć. Cholera, nienawidzę cię, Gerry!

Wkrótce zobaczyła pierwszą blokadę. Czer-

101

wono-biała, drewniana bariera rozciągała się w poprzek drogi, jakieś ćwierć mili przed nią. Po obu stronach stały ciężarówki i ruchome budki strażnicze. W cieniu pojazdów siedziało trzech żołnierzy, rozluźnionych, lecz czujnych.

Coś przyciągnęło wzrok Jean. Około stu jardów od miejsca, gdzie stała, zauważyła na szosie człowieka zdążającego w tym samym co ona kierunku. Dziewczyna osłoniła oczy przed oślepiającym, południowym słońcem. Z tej odległości mogła rozróżnić tylko zarys postaci, ale miała wrażenie, że widzi chłopaka ubranego w brudne, obdarte dżinsy - prawdopodobnie hipisa. To był kraj hipisów, miejsce, w którym komuny były raczej regułą niż wyjątkiem.

Patrzyła, pełna niepokoju. Dwóch żołnierzy wstało i zdjęło z ramion karabiny. Chłopak gestykułował, coś tłumacząc. Jeden z wojskowych, ubrany w maskującą kurtkę wskazywał hipisowi drogę, którą tamten przyszedł. Po chwili podniósł się trzeci żołnierz i podszedł do rozmawiających. Po kolejnej wymianie zdań młodzik odwrócił się wymachując pięścią i wykrzykując coś, czego Jean z powodu odległości nie dosłyszała.

Hipis odchodził niechętnie, powłócząc nogami, wciąż krzycząc na żołnierzy. Potem przyspieszył, jakby ciesząc się, że może się oddalić.

Jean ścisnęło w żołądku. Dziewczyna poczuła,

102

jak ogarnia ją całkowita rozpacz. Żołnierze zawracali wszystkich, nawet pieszych!

Stała oszołomiona, mając ochotę usiąść na poboczu drogi i rozplakać się. To nie było w porządku. Zaczęła się zastanawiać.

Może spróbuje się z nimi potargować? - Słuchajcie, chłopaki, wasi kumple mieli mnie podwieźć do domu i obiecałam, że im się za to oddam. Słyszycie, pozwoliłabym im zabawić się ze mną, robić wszystko na co by mieli ochotę, bo tak bardzo chciałam wrócić na kemping. I wam, chłopaki, pozwolę na to samo tu, na przyczepie ciężarówki. Chodźcie, czy nie chcecie mnie

przelecieć? - zaczęła głośno śmiać się z tej wizji. Mogła oddawać się na prawo i lewo, ale kiedy chodziło o prawdziwą prostytutkę - a teraz miałyby to miejsce - Jean Ruddington stchórzyła. Wyglupy z żołnierzami w Land Roverze były czymś zupełnie innym.

Zawróciła, nie chcąc nawet, by ją tutaj zauważyli. Postanowiła wrócić do Barmouth, przespać się tam i próbować zabrać się jakąś okazją następnego dnia.

Szła powoli i płakała. Łzy trochę pomagały;

pozwalają choć odrobinę rozładować napięcie. Jean nie słyszała kroków za sobą i zaskoczona cicho krzyknęła, gdy ktoś ujął ją za ramię.

- Cześć - rozczochrana broda skrywała niemal połowę twarzy mężczyzny o ostrych rysach, a jego długie włosy nie wyglądały na świeżo

103

umyte. Również ubranie miało tak wyblakłe i wytarte, że miejscami wyglądało przez nie opalone ciało. Chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Był gibki i atletycznie zbudowany;

mówił z lokalnym akcentem. Prawie na pewno był hipisem. Uśmiechnął się; całe jego oburzenie na żołnierzy z punktu kontrolnego ulotniło się.

- Nie przepuścili cię - otrząsnęła się z zaskoczenia i zwolniła kroku. Niespodziewane towarzystwo ucieszyło ją.

- Skurwiele! - Chłopak splunął na drogę.

- Powiedzieli, że mają dość turystów, próbujących przedostać się na wybrzeże. Odpowiedziałem, że wracam do komuny i wszystko, czego chcę, to dostać się do domu, ale nie słuchali. Myślę, że wrócę do Barmouth na noc, a jutro może coś wymyślę. Przy okazji - nazywam się Pete.

- Jean - odpowiedziała. - Chciałam wrócić do Blue Ocean, gdzie pracuję, ale jeżeli nie przepuścili ciebie, to i moje próby na nic by się nie zdały. Ja też wracam do Barmouth i zamierzam popróbować jutro.

- Myślę, że powinniśmy trzymać się razem

- uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie do jutra.

Jean zmarszczyła nos: chłopak tak śmierdział, jakby stałe chodził i spał w tym samym ubraniu. I jeszcze ta woń czosnku! To normalne u hipi-

104

sów. Ale wszystko to nieważne, wszak oboje byli w takim samym, trudnym położeniu.

- Odbywałem karę. - Pete był przynajmniej uczciwy. - Wsadzili mnie na trzy miesiące za włamanie do domku letniskowego. Tak naprawdę, to włamałem się do tego pustego domku tylko po to, by mieć gdzie spać podczas zimy. Nigdy bym nie przypuszczał, że w śnieżną, styczniową noc pojawi się właściciel. Anglik, rozumiesz - znów splunął na drogę. - Kilku moich kumpi z komuny podpaliło ten jego domek w tydzień później. Zrobiliby lepiej pozostając w Anglii. Mogłem przecież przespać tam te parę nocy. Niczego bym nie zabrał. My nie kradniemy... w każdym razie nie zabieramy nic, co dla innych ma jakąś wartość.

Jean spojrzała na hipisa, czując, że ten mówi prawdę. Prosta uczciwość; reguły moralne, których nie mogli zrozumieć zwykli ludzie.

- Jesteś mężatką? - minęło prawie dziesięć minut, zanim Pete odezwał się ponownie. W jego głosie brzmiało coś więcej, niż tylko prosta ciekawość.

- Jestem wdową. Mój mąż zginął w wypadku samochodowym.

- Fatalnie. A czy masz chłopaka?

- Jednego, lub dwóch. W każdym razie nikogo specjalnego - kłamstwo, któremu Jean nie mogła się oprzeć. Nigdy nie mogła zdobyć się na

105

powiedzenie innemu mężczyźnie, że w jej życiu jest ktoś, kto wiele dla niej znaczy.

- Nie będziesz więc miała nic przeciwko memu towarzystwu? - Pete odwrócił głowę i popatrzył na dziewczynę tak, jakby chciał sprawdzić jej reakcję.

- Oczywiście, że nie. - Jean odwróciła oczy. - W każdym razie nie teraz.

- Więc postanowione - chłopak chrząknął i nie odzywał się, dopóki nie znaleźli się koło przystani w Barmouth.

- Myślę, że przesadzają z tymi krabami - Pete przysiadł obok kawiarni noszącej nazwę "Davy Jones' Locker". Przystań pełna była zacumowanych łodzi i motorówek. Prom - który odbywał niezliczone kursy do Fairbourne i z powrotem - kołysał się teraz na falach. Nie był używany od czterdziestu ośmiu godzin. Wszędzie spacerowało mnóstwo ludzi. Urlopowicze przechylali się, aby obejrzeć oddziały wojska i policji. Kilku smarkaczy zdradzało wyraźne zainteresowanie ciężką artylerią. Tak mogło wyglądać też w roku 1940, gdy Brytania oczekiwała inwazji hitlerowskich Niemiec.

- Nie możemy zapomnieć o tym, co się stało na Shell Island - rzekła Jean po chwili. - Wielu ludzi straciło życie.

- Musi być w tym coś więcej, niż by się to zdawało na pierwszy rzut oka. - Pete żuł kos-

106

myk włosów z nieobecny wyrazem twarzy. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby byli w to zamieszani Rosjanie. Moim zdaniem ludziom w Rosji powodzi się lepiej. Nikt nie głoduje, wszyscy mają dach nad głową. Czego więcej wymagać?

- Być może, ale jeśli powiesz coś nieprawo-myślnego, zostajesz zesłany do Górki, lub innego takiego miejsca i słuch po tobie ginie - odpowiedziała dziewczyna.

- Zrobimy lepiej, jeśli poszukamy jakiegoś dachu nad głową, zanim się ściemni - zignorował odpowiedź. - Teraz wszyscy są na dworze, ale gdy tylko zajdzie słońce, zaczną szukać schronienia. Zobaczmy, czy tam nie znajdziemy jakiegoś pokoju.

"Tam", to były szopy na łódzie ratunkowe, ustawione dookoła dziedzińca wychodzącego na Marinę Paradę. Teraz w tym miejscu nie było nikogo, gdyż wszyscy tłoczyli się w okolicach mola. Pete chwycił Jean za rękę i pociągnął za sobą. Niemniej jednak - pomyślała dziewczyna - to, co powiedział Pete, miało sens. Potrzebowali jakiegoś schronienia na noc, i był już najwyższy czas, by je znaleźć.

Dziwnie - duża, pusta szopa była otwarta. Jean nie znała się zbyt dobrze na łodziach, lecz zorientowała się, że w miejscu, w którym teraz się znajdowali, budowano lub naprawiano sprzęt pływający. W szopie znajdowały się dwa kadłu-

107

by, oparte na mocnych, stalowych koźlach i stoły do pracy, z narzędziami porzucanymi na blatach. Aż dziwne, że takie miejsce pozostawiono niestrzeżone, szczególnie w takiej chwili, jak obecna.

- Spójrz. - Pete zdawał się czytać w jej myślach. - Ktoś wróci tu pewnie przed zmrokiem, by zamknąć drzwi. Schowajmy się za tą stertą żaglowego płótna. Nic się nie stanie, jeśli zostaniemy tu zamknięci. Najwyżej ktoś pomyśli, że jakieś dzieciaki weszły tu przez okno.

To nie było uczciwe - Jean wspinała się na stertę płócien z poczuciem winy. Znaleźli obszerne, całkowicie niewidoczne miejsce w rogu szopy. Zlamali prawo. Jej towarzysz dostał już wcześniej wyrok sądowy za niemal takie samo przekroczenie. Ale nie było innego wyjścia.

Cienie na ścianach były coraz dłuższe. Nagle Jean i Pete usłyszeli zbliżające się kroki. Ktoś był w szopie, przesuwał jakieś narzędzia, coś brzęknęło. Po chwili zaczął mocować się z drzwiami, aż w końcu je zamknął. Coś trzasnęło. Kłódka. Potem znów kroki, coraz dalsze i wreszcie cisza.

Jean nagle poczuła ogromne przerażenie, z trudem wstrzymywała się, by nie krzyknąć.

Klaustrofobia. Gdyby była tu sama, natychmiast doskoczyłaby do tych ogromnych drzwi, kopnęła je i biła w nie pięściami, dopóki ktoś nie

108

przyszedłby i nie wypuścił jej stąd. Nie zrobiła tego z jednego tylko powodu - bo był tu Pete.

Śmierdział potem, zionął zapachem czosnku, może nawet miał wszy. Ale na Boga, nie dałaby sobie rady bez niego. Położyła głowę na jego wyciągniętym ramieniu i stało się ono najbardziej miękką, najwygodniejszą poduszką, jaką miała w życiu.

Tymczasem ściemniło się. Błyski sztucznych ogni kreśliły na ścianach dziwne wzory - dla Jeane były to krzepiące znaki tego, że na zewnątrz są tysiące innych ludzi. Gdyby dobrze się wsłuchać, można by rozróżnić gwar ludzkich głosów i szum zbliżającego się przypływu. Jedyna nadzieja w żołnierzach i ich ogromnych karabinach - kraby zostaną rozwalone na kawałki, gdy tylko wyjdą z wody.

Jean Ruddington leżała wygodnie, rozluźniona po wszystkich przejściach. Powieki zaczęły jej opadać. Oddech hipisa był ciężki i rytmiczny. Dziewczyna była pewna, że Pete już zasnął. Chłopakowi zdrętwiało ramię, na którym leżała, ale go nie cofnęła. Całe życie znosiła takie niewygody.

Jean zdrzemnęła się, lecz dosyć szybko ocknęła się zdezorientowana, próbując przypomnieć i sobie, gdzie jest i dlaczego.

Lampy na zewnątrz dawały dość światła, aby mogła rozróżnić znajdujące się dookoła przedmioty. Wciąż leżała na ramieniu Pete'a. Jego druga ręka wsunęła się pod

109

jej ubranie. To właśnie ją obudziło. W jakiś sposób udało mu się rozpiąć jej stanik, a teraz szorstkie palce pieściły jej piersi.

Zmartwiła zaszokowana i przerażona. Zaszokowana, gdyż jej sutki były twarde i czuła w nich przyjemne mrowienie, a to znaczyło, że Pete pieścił ją od dłuższego czasu. Przerażona, wszak w tym zamkniętym pomieszczeniu mógłby zrobić z nią wszystko, co zechciał - z jej zgodą lub bez! Nie skończy się tylko na dotknięciach.

Dziewczyna nie poruszała się, po prostu leżała, podczas gdy palce Pete'a szczyptały i gładziły delikatnie jej ciało. Powinna go nienawidzić za to intymne dotykanie, ale było to w jakiś sposób podniecające. Jestem teraz jak dziwka - pomyślała.

- Podoba ci się to, prawda? - Pete musiał zauważyć, że się obudziła. - Nie masz nic przeciwko temu, co?

- Nie - głos dziewczyny był jak szept. Raz jeszcze spotykało ją coś, na co nie miała wpływu. Życie obfitowało ostatnio w takie niespodzianki. - Myślę, że nie mam nic przeciwko temu.

- To dobrze, taką właśnie miałem nadzieję, Jean.

Przez głowę dziewczyny przemknęła myśl. - A gdyby to był Gerry? Jeśli się opierała, to pewnie zareagowałby bardzo gwałtownie. Pete może okazać się taki sam, a obecna sytuacja była

110

bez wątplenia bardziej groźna. "Udużona dziewczyna znaleziona w szopie na łodzi. Policja ściga mordercę". Takie nagłówki mogłyby widnieć na tytułowych stronach gazet, a właściwie na ich dalszych szpaltach, jako że na czołowiec znajdował się temat gigantycznych krabów. Jean zadrżała. A może Pete'owi wystarczy, gdy pobawi się jej piersiami? Lecz ona i tak nie mogłaby nie pozwolić mu na coś więcej - to byłoby niebezpieczne; bardzo się bała.

Kilka sekund później nadzieje Jean rozwiały się. Dłoń leżącego obok mężczyzny zsunęła się w dół. Rozpiął jej zamek od spódnicy. Dziewczyna czuła, jak wali jej serce; czuła, że zaraz zemdleje. Woń czosnku działała jednak jak sole trzeźwiące.

Twarze leżących dotykały się niemal. Pete szeptał dziewczynie do ucha.

- Czy jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko, Jean?

- Nie, nie mam. Naprawdę nie mam. - Lekko uniosła biodra, tak, by mógł zsunąć jej majtki poniżej kolan. Rozchyliła uda, gdyż właśnie tam podążyły sondujące palce chłopaka. Następny szok - była tak wilgotna, jakby dotykał ją Gerry czy Gordon, albo jakiś inny mężczyzna, którego lubiła. Może w jakiś sposób lubiła i Pe-te'a? Czasem nie potrafiła zrozumieć samej siebie.

Chłopak wciąż pieścił Jean i ta poruszała się, jęknąwszy. Każdy nerw jej ciała drżał gwałtownie-

111

nie. Ogarnęło ją podniecenie i nie mogła się już powstrzymać. To wszystko stało się nieoczekiwanie wspanialsze, niż to, czego dotąd doświadczała. Szorstkość palców nowego partnera sprawiała jej niewiarygodną rozkosz.

Było to uczucie proste, wręcz prymitywne - takie, które towarzyszy ludziom od zarania; zupełnie jakby to neandertalczyk brał swą samicę i robił, z nią wszystko, co tylko mogło zaspokoić jego palące pragnienie. Zwierzęca kopulacja...

Czosnkowe pocałunki o mało nie zadusiły dziewczyny, gdy język Pete'a wpychał się w jej usta. Była to dopiero zapowiedź tego, co nastąpi. Niezgrabne w swojej gorliwości ręce ściągały teraz ubranie z Jean. Po chwili obydwójce byli już zupełnie nagi, a jego palce drapały nagą skórę dziewczyny wciąż wzmagając jej podniecenie.

Później Pete rozłożył jej nogi. Jean czuła jak usiłuje znaleźć do niej drogę, próbowała mu pomóc, ale chłopak zbyt ją krępował swym ciężarem. Kiedy w końcu mu się udało, pchnął tak mocno, że Jean zaczęła kopać i drzeć jego skórę, drapać nagie plecy paznokciami. Dziewczyna chciała wysunąć się spod partnera. Zakręciła dziko biodrami, ale Pete ciągle na niej leżał. Mięśnie jego ud i bioder pracowały jak tłoki parowe, gdy wbił się w nią, pomrukując jak dzikie zwierzę.

Jean nie potrafiła się już powstrzymać, straciła kontrolę nad swoim ciałem; ogarnęły ją fale

112

zbliżającego się orgazmu, aż w końcu porwały ze sobą.

Oderwana od rzeczywistości, nie bacząc na nic, pragnęła, by trwało to wiecznie, aby mogła zatopić się w wiecznej rozkoszy.

Jakby przez mgłę usłyszała hałasy, grzmoty eksplozji, ludzkie krzyki, pospieszne kroki i głuche drżenie wstrząsające całym budynkiem. Przez jej zamknięte powieki przeniknęły oślepiające błyski.

Powoli do świadomości Jean dochodziło, że Pete już na niej nie leżał, lecz ciągnął ją, próbując postawić na nogi. Krzyczał coś,

lecz nie mogła zrozumieć słów. Jean chwyciła chłopaka, próbując pociągnąć go znowu na siebie, ale zabrakło jej siły.

Ostry policzek w twarz gwałtownie zniweczył ten wspaniały, pełen zmysłowości stan. Uczucie rozkoszy znowu zamieniło się w paraliżujący strach. O Boże, ten skurwiel dostał to, co chciał, a teraz zamierza ją zabić! "Udużona dziewczyna znaleziona w szopie na łodzi. Policja poszukuje mordercy."

Jean próbowała się wyrwać, ale Pete trzymał ją bardzo mocno. O, jakąż była idiotką! A teraz jest już za późno! Kopnęła chłopaka mocno bosą stopą. Spoliczkował ją znowu; potrząsnął wyraźnie zirytowany.

- Zbierz się do kupy, ty mała idiotko! - te słowa już rozumiała. Drżąc poddała mu się,

113

gdyż walka była bezsensowna. Zabije ją, a ona nic na to nie poradzi.

- Musimy stąd wiać - w głosie Pete'a była panika; odór czosnku zdawał się być silniejszy niż przedtem. Podziałał znów jak sole trzeźwiące. - Słuchaj, to pewnie te kraby zaatakowały miasto.

Gdzieś w pobliżu ciężka artyleria otworzyła ogień; do kanonady wkrótce dołączyły się serie z karabinów maszynowych. Ludzie szaleli w panice, tłum ogarnięty autentycznym strachem rozpierzchł się we wszystkich kierunkach, próbując uciekać.

Pete zapamiętał szamotał się z oknem. Nagle szopa stała się śmiertelną pułapką dla dwojga uwięzionych w niej, nagich ludzi. Jean i Pete byli zdani na łaskę gigantycznych krabów, mogących przecież przełamać wojskową obronę przy nabrzeżu i falochronie.

Inwazja na Barmouth rozpoczęła się o pierwszej dwadzieścia pięć. Słabe światło księżyca sprzyjało krabom - Bóg ich niestety nie opuścił. Kilka nocy wcześniej stwory zostałyby zauważone szybciej - co wcale jeszcze nie znaczy, że rezultat ich ataku byłby inny.

Żołnierze z czołgu stojącego na nabrzeżu pierwsi spostrzegli kraby.

- Patrzcie! - strzelec potrząsnął swym towarzyszem, budząc go nagle. - Są tutaj!

114

Skierowanie działa na najbliższego kraba - to była kwestia sekund. Celownik był wyregulowany i z takiej odległości nie można było chybić.

Działo wypluło łuskę po wystrzelonym pocisku.

Krab przewrócił się na grzbiet, kawałki pancerza rozprysły się na wszystkie strony.

- Dostał! - strzelec krzychał jak na wiwat. - Niepokonane? Gówno prawda! To je przetrzebi.

Gdy załadował działo ponownie i skierował je na pełznące, zbliżające się kraby, nagły ruch odwrócił jego uwagę. Żołnierz znieruchomiał.

- Cholera - wycharczał - ten skurwiel znowu wstaje!

Stwór rzeczywiście szamotał się, próbując się podnieść. Kilka innych krabów mu pomagało, pchając, dopóki nie odzyskał równowagi. Jego oczy gorzały złością i prócz paru łusek odłupanych z pancerza, nie widać było żadnych ran. Może trochę go to oszłomiło, ale żył.

- To niemożliwe - kapral sapał z niedowierzaniem. - Nic nie powinno oprzeć się temu pociskowi - w każdym razie nie z takiej odległości!

- A jednak - warknął strzelec biorąc na cel następnego skorupiaka. - Widzicie tego wielkiego skurwiela? Tego, wielkości konia.

Cóż, zobaczymy, jak to na niego podziała!

Nabrzeżem wstrząsnęła eksplozja.

115

Wielki krab został odrzucony w tył, ale nawet się nie przewrócił. Przez kilka sekund kiwał się otumaniony, później znów ruszył naprzód. Koło setki lub więcej monstrów podążało za nim, jak falująca, pełzająca linia. Łomot szczypiec był o-głuszający, przeraźliwy, niemożliwy do wytrzymania.

Krab idący na czele zatrzymał się; poruszył ogromnymi szczypcami i wskazał na czołg. Nie można było nie zrozumieć tej komendy.

- Zamknąć właz! - krzyknął strzelec. - Idą na nas!

Właz szczęknął, zamykając się. Żołnierze wydali westchnienie ulgi. Wróg był zbyt blisko, by mogli oddać jeszcze jeden strzał. Będą musieli poczekać, póki nie przybędą posiłki. Kapral zapalił papierosa; jego ręce drżały.

- Tutaj nas nie dostaną - w zamkniętej przestrzeni jego śmiech zabrzmiał nienaturalnie. - Pamiętacie, jak kiedyś nasza maszyna się zepsuła? Nie mogli nas odholować i musieli naprawiać na miejscu. Zabrało im to dwa dni.

- Zamknij się! - nerwy sierżanta były napięte do ostatnich granic. Oczami wyobraźni wciąż widział te kraby na zewnątrz: To były żywe czołgi, silniejsze niż wszystko, co człowiek dotąd wynalazł.

Nagle, słysząc metaliczny chrobot, drapanie gigantycznych szczypiec po stali, żołnierze zamarli.

116

- Chodźcie, wy skurwiele! - krzyknął histerycznie kapral. - Spróbujcie nas podnieść. Z tym sobie nie poradzicie!

- Na rany Chrystusa, zamknij się! - strzelec wkroczył do akcji, a jego pięść trafiła kaprala w szczękę. Uderzony walnął głową o stalową ścianę z głuchym odgłosem. Oczy mu się zaszklily i opadł na swoje miejsce.

- Przestańcie! - krzyknął sierżant. - Czy chcecie... -• urwał. Stracił nagle równowagę. Czołg poruszył się, przesunął o parę jardów, a potem zatrzymał. Po chwili znów się poruszył.

To było niemożliwe; tylko dźwig mógł unieść czołg. Sierżant rzucił się ku wizjerowi, spojrzął weń i zobaczył scenę, której makabryczność podkreślał widmowy blask księżyca. Tuziny skorupiaków zebrały się wokół ruchomej, stalowej fortecy. Żołnierz otworzył usta, by wykrzyknąć ostrzeżenie, ale głos uwiązł mu w gardle. Czołg poruszył się znowu - w górę!

- One... one nas podniosły! - wyszeptał sierżant zbielełymi wargami. Chwycił się podpórki, by nie upaść. Wyciągnął ramię, próbując potrząsnąć leżącym bez zmysłów kapralem.

- Obudź się! - krzyk prawdziwej paniki. - Te skurwiele nas niosą!

Czołg trząsał się i kołysał, gdy jedne kraby wczołgiwały się pod niego, a inne podnosiły go swymi olbrzymimi szczypcami, z siłą równą sile

117

kilku dźwigów. Pancerze krabów znajdujących się pod czołgiem spełniały rolę platformy. Posuwając się niezgrabnie, zaczęły zmierzać wraz ze swym ciężarem ku falochronowi.

Sierżant krzychał, policzkując wciąż swojego nieprzytomnego towarzysza, ale głowa kaprala odskakiwała tylko bezwładnie w prawo i w lewo. Miał szczęście, zostały mu oszczędzone ostatnie, pełne męki chwile.

Nagle zatrzymali się. Czołg przechylił się do przodu, na ułamek sekundy zawisł jakby w powietrzu, by po chwili zwałić się w dół. Wpadając do wody spowodował falę, która o mało nie wyrzuciła mniejszych łodzi zacumowanych w pobliżu, a potem zniknął pod powierzchnią ciemnego morza. Głucho uderzył w dno, zagłębiając się głęboko w mule.

W środku panowała cisza; trzej mężczyźni byli już martwi.

Siły zbrojne wkroczyły do akcji po pierwszym wystrzale z działa czołgowego. Echo nie zdążyło jeszcze umilknąć, gdy dwie pełne żołnierzy ciężarówki gnały w dół Marinę Paradę. Dotarcie do portu zabrało im trzy minuty. Krabom wyłączenie czołgu z akcji zajęło jeszcze mniej czasu.

Kierowca pierwszej ciężarówki zahamował w chwili, gdy zobaczył kraby. Były wszędzie; tłoczyły się na drodze - rojąca się, pelzająca masa. Czerwone oczy osadzone na czułkach odbijały

118

promienie reflektorów. Wszystkie stwory posuwały się w kierunku miasta!

Kierowca próbował cofnąć pojazd, ale druga ciężarówka zagradzała mu drogę. Nie było nadziei na omińnięcie kolumny nadchodzących krabów.

Z obu samochodów wysypali się żołnierze, do akcji wprowadzono ręczne granaty i karabiny.

Promenada i przystań drżały od eksplozji, a błyski ożywiały nocne niebo. Nad płonącymi zabudowaniami przy plaży kłębił się dym.

Gigantyczne kraby bezlitośnie parły do przodu, siejąc śmierć i zniszczenie. Ich droga wiodła przez płonące rumowiska, ale płomienie nie czyniły im żadnej krzywdy. Były nieczułe na ogień, kule i pociski przeciwpancerne!

Kapitan Oliver z Piechoty Królewskiej wsunął dymiący pistolet do kabury. Jego twarz była osmalona. Chryste, jego armia przegrała; to było oczywiste i nie miał zamiaru poświęcać niepotrzebnie swoich ludzi. Dał sygnał do odwrotu, przekrzykując panujący zgłęb.

Ruszyli natychmiast, porzucając ciężarówki. Za nimi leżało wesołe miasteczko z salonami gier, samochodzikami elektrycznymi i stoiskami z jedzeniem. Żołnierze kierowali się tam, by zająć bezpieczniejsze pozycje.

Cywilie uciekali w panice; mężczyźni w piza-

119

mach wyciągali swoje rodziny z domków przy nabrzeżu.

Kapitan Oliver obserwował, jak dwie ciężkie ciężarówki spotyka taki sam los, jak czołg. Kraby z łatwością uniosły samochody i cisnęły je za falochron.

Ogień rozszerzał się, rzędy budynków wyglądały jak płonące pochodnie. Światło warsztatów szkodliwych jeszcze przez chwilę przebijalo się przez płomienie, a potem wchłonęła je ściana ognia.

Płonąca belka spadła na jakiegoś kraba, ale ten otrząsnął się tylko i pełtł dalej.

- Nawet ogień ich nie zatrzyma - mruknął Oliver. - Tak jakby przychodziły z piekieł!

Od północnej strony Marinę Paradę nadjechały posiłki. Żołnierze ustawili moździerze i trafili już pierwszym strzałem, lecz zwarte szeregi zwierząt rozdzieliły się tylko na moment, by niemal natychmiast zejść się ponownie. Nie było nawet jednej ofiary!

O trzeciej trzydziści monsturalny przywódca krabów trzaskiem szczypiec zasygnalizował odwrot. Niewiarygodne, jak doskonale była zdyscyplinowana ta armia. Stworzenia odeszły ku przystani i w ciągu paru minut zniknęły w głębinach.

Bitwa była skończona, jeden z najpiękniejszych kurortów wybrzeża praktycznie przestał ist-

120

nieć. Nadjechały wozy strażackie. Powoli powracali ludzie, których domy ocalały.

Wszyscy zastanawiali się, kiedy kraby powrócą. A uczynią to na pewno.

Świtało, a strażacy wciąż jeszcze walczyli z ogniem. Pociemniałe ruiny wesołego miasteczka szpeciły Marinę Paradę. Od strony przystani dochodziły głośnie eksplozje. Jakby chcąc dokuczyć obserwatorom, płonący kadłub zadrżał na stalowych podporach, które wytrzymały gorąco po czym uniósł się jak łódź Wikingów powracająca z przeszłości. Wydawało się, że załoga stoi na pokładzie, w ogniu. Widmowy statek przełamał się i powoli zaczął zapadać, by po chwili zniknąć wśród chmur popiołu.

- Jezu, dobrze, że nikogo tam nie było - mruknął strażak i skierował strumień wody z węża na zgliszcza.

Rozdział 9

Poniedziałkowy ranek - Blue Ocean

Miles Manning dołączył do żołnierzy, którzy oczekiwali nad brzegiem jeziora. Pełen zniecierpliwienia spojrzał znowu na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej. Ten cholerny krab na pewno pokaże się wkrótce.

- Żadnego śladu? - zwrócił się szorstko do wysokiego kapitana, stojącego przy pojeździe. W jego głosie wyczuwało się rozdrażnienie i zmęczenie.

- Nie, ale jest tam z pewnością.

- Wciąż twierdzą, że moglibyśmy użyć bomby głębinowej.

- Panie Manning - rozpoczął kapitan nieco zniecierpliwiony, z oczyma zwróconymi w stronę jeziora. - Nie możemy tu robić podwodnych eksplozji. Bomba zdolna do unieszkodliwienia potwora takich rozmiarów nie może być użyta w tak małej przestrzeni wodnej. To sztuczne jezioro uległoby zniszczeniu, a olbrzymia fala spustoszyłaby kemping. Możemy tylko siedzieć i czekać na pojawienie się kraba.

Manning chrząknął i zapalił cygaro, odgryzł-

122

szy uprzednio koniuszek. Smakował gorzkawy dym z przyjemnością, choć wiele palił w ciągu minionej doby. Musiał się zresztą czymś zajmować. Rzadko spotykał się z problemem, którego sam nie umiałby rozwiązać. Chryste, dłużej tego nie wytrzymam!

- pomyślał.

O pierwszej dwadzieścia pięć na powierzchni jeziora pojawiły się najpierw zawirowania, które uformowały się po chwili w kręgi. Wyglądało to tak, jakby ktoś rzucił do wody kamień. Potem kolejne, coraz większe kręgi pokryły całą powierzchnię, która w końcu zmieniła się we wrzącą kipiela.

- Nadchodzi!

Napięcie osiągnęło szczyt, gdy krab, jak potwór opuszczający głębinę, wyłonił się na powierzchnię, tworząc wysokie, spienione fale, które ruszyły ku brzegowi z niewiarygodną szybkością.

Manning patrzył zaciekawiony, żując odruchowo niedopałek cygara. Nareszcie sam się przekonał, że to, co inni mówili o rozmiarach tego skorupiaka, było prawdą. Był większy od ostów stojących w zagrodzie, a jednocześnie pełen wściekłości do ludzi. Ale gdy spojrzano się uważnie na straszliwe rysy, dostrzec można było coś jeszcze - strach zwierzęcia złapanego w pułapkę. Lęk czaił się w małych, czerwonych oczkach - krab był wyraźnie przerażony.

- Ognia!

123

Ogłuszający huk towarzyszył wystrzeleniu pocisku z karabinu. Kawałki skorupy rozprysły się na wszystkie strony, ale kula, chociaż osiągnęła cel, odbiła się tylko.

Krab nie zwolnił nawet, jego odnóża szaleńczo tłóczyły wodę, zmieniając ją w pieniającą się kipieli. Parł prosto ku linii pojazdów wojskowych!

Ogień nasilił się; karabiny maszynowe strzelały, odłupując i rysując piaskową skorupę, wgniały pancierz, lecz nie mogły go przebić. Na przerażającym pysku stwora malowała się wściekłość i nienawiść do człowieka, którą mogła zaspokoić tylko ludzka krew.

Tak jak oddziały w Barmouth, zmuszone przez atakujące kraby do opuszczenia ciężarówek i pospiesznego wycofania, tak i żołnierze nad jeziorem rozproszyli się i zaczęli cofać, wciąż strzelając.

Krab dopłynął do brzegu, wciągnął się ociężale na beton i zatrzymał, próbując złapać równowagę. W jego niewielkim mózgu rodziła się jakaś decyzja. Nowy grad kul wyrwał stwora z odrętwienia. I właśnie wtedy wybuchła cała jego wściekłość - wpadł w szal.

Pierwszą, na szczęście bezkrawną ofiarą stał się pusty, opancerzony samochód. Potwór natarł nań dziko szczypcami, gwałcił i ciął, rozbijał kuloodporne szyby. Wyładowywał swą wściekłość na martwym przedmiocie, walił w pojazd tak

124

długo, póki nie zaczął on przypominać wraka samochodu po zderzeniu czołowym z ciężarówką. Superwytrzymałe opony zapaliły się. Wyglądało to tak, jakby stwór odpowiadał na strzały.

Żołnierze skoncentrowali ogień; fragmenty pancerza spadały nadal, odbite kule świszczały, mknęły jakby ku niebu. Kapitan patrzył z niedowierzaniem. Zaschło mu w ustach i miał wrażenie, że za chwilę zymiotuje.

Uczono go wydawania rozkazów w czasie bitwy, ale szkolenie nie uwzględniało działań wojennych przeciwko koszmarnym, niepokonanym stworom - takim jak ten. Kapitan z rozpaczy zagryzał wargi, na których pojawiły się krople krwi.

Miles Manning wycofał się wraz z żołnierzami. Jego zmęczona twarz była śmiertelnie blada, a usta zacisnęły się w cienką, bladą linię. Nigdy nie nienawidził niczego tak, jak tego kraba, ale ani przez chwilę nie mógł wzbudzić w sobie pragnienia zemsty. Ogarnął go strach, nie o siebie, lecz o imperium, które tutaj zbudował. Skorupiak wciąż jeszcze wyładowywał wściekłość na wojskowych pojazdach, ale co będzie potem? Czy podąży na kemping, niosąc śmierć i zniszczenie? Czy będzie zaspokajał apetyt pożerając ludzi, tak jak to zrobiły kraby na Wyspie Muszli?

Następna ciężarówka została przewrócona, stwór przeszedł przez nią w przerażający i dzi-

125

waczny sposób, zgniatając karoserię i tłukąc szkło. Ludzie krzyczeli gdzieś w ciemnościach, biegnąc w szalonej panice.

A krab podążał dalej. Szedł teraz równoległe do pierwszego szeregu domków. Niezgrabnie uderzył w stoisko z jedzeniem, przewrócił je i przestał zwracać nań uwagę. Nie zadał sobie nawet trudu, by je całkowicie zniszczyć. Zdawał się mieć teraz jakiś inny cel, był zdecydowany. Man-ningowi przeszły ciarki po plecach.

Stwór przedzierał się dalej, szedł drogą prowadzącą wzdłuż sklepów, a jego szczypce wydawały niesamowite dźwięki. Ludzie zatrzymywali się; wszyscy patrzyli teraz na sunącą bestię.

Karabiny, których bezużyteczność była oczywista, zamilkły. Poruszały się tylko reflektor, złowieszczy krąg światła podążał cały czas za krabem. Trzasnęła rozłupana szczypcami balustrada. Uderzony samochód dostawczy wygiął się i został zepchnięty na bok. Krab nie zwolnił nawet.

- Gdzież on idzie, do diabła? - Miles Man-ning wykrzyczał to pytanie, ale nikt mu nie odpowiedział. Nikt po prostu nie wiedział. Możliwości były zbyt straszne, by o nich myśleć. W każdej chwili potwór mógł dokonać nowych zniszczeń.

A potem zrozumieli! Poza zasięgiem światła reflektorów majaczył, wzmocniony workami z piaskiem, falochron.

126

Krab zwolnił. Przez jedną straszną sekundę ludzie myśleli, że zawróci. Jednak nie! Zbliżył się do worków i chwytając je szczypcami, zaczął się wspinać. Część umocowania osunęła się pod jego ciężarem, lecz jemu to nie przeszkadzało. Przyłgął do worków, zrobił następny krok, potem kolejny. Mimo że oparcie usuwało mu się spod odnóży, kontynuował wspinanie, aż dotarł na szczyt.

- Wraca... wraca do morza! - Miles Man-ning wypowiedział głośno to, z czego wszyscy zdali sobie nagle sprawę. - Na Boga, ten bydlak wraca do morza!

Potwór zatrzymał się w oślepiającym świetle reflektora. Odwrócił się, spojrzał, a w jego wzroku czaiła się niechęć, a może również i ulga. Trudno to było stwierdzić z takiej odległości.

A potem spadł. Uderzył głuch w piach poniżej falochronu, słychać było chrzęst szczypiec i odgłosy podobne do drapania, szybsze niż którykolwiek z jego dotychczasowych ruchów.

Klik... klikety... klik... klikety... klik... - szuranie i łomotanie po skalistym brzegu rozpląnęło się w huku fal. To, co powiedział Miles Man-ning, było prawdą: krab wrócił do domu, w głębinę.

Zapanowała kompletna cisza. Ludzie stali nieruchomo, milczeli, spoglądając na siebie z wyraźną ulgą.

127

A potem w oddali rozległy się wystrzały i eksplozje. Nikt nie miał wątpliwości, co to oznacza. Krabia armia wyszła gdzieś na brzeg. Rozpoczęła się następna inwazja.

Goście Blue Ocean pojęli, że tym razem ich oszczędzono. Dziś kraby wyszły gdzie indziej, lecz jutro mogą zjawić się tutaj i przejść przez obronę tak, jak to uczynił ten jeden samotny. Była to myśl mrożąca krew w żyłach.

- Są jakieś wiadomości o twojej dziewczynie? - Irey Wali podniosła wzrok na wchodzącego właśnie Gordona Smallwooda. Nie zapukał i to jej się spodobało. Nigdy w życiu nie potrzebowała przyjaciela tak, jak teraz. Rodney i Louise spali w przyległej do pokoju sypialni, mogła więc swobodnie rozmawiać z Gordonem.

- Nie - jego rysy ściągnęły się. - Myślę, że słyszałaś przez radio, co wydarzyło się w Bar-mouth ostatniej nocy?

Skinęła głową. To było straszne. Gdybyż to mogła być pomyłka, jak wówczas, w Nowym Jorku, kiedy ludzie włączali radia w trakcie słuchowiska według "Wojny światów" Wellisa i myśleli, że cała ta fikcja dzieje się naprawdę. Niestety, kraby były rzeczywistością.

- Nie ma żadnego kontaktu z Barmouth - jego głos zdrzął. - Myślę, że linia telefoniczna została zniszczona.

128

- Na pewno nic się nie stało • - to były niemądre, nieprzekonywujące słowa, które jednak trzeba było powiedzieć, gdy o kimś nie było informacji. - Jak to się mówi? Brak wiadomości - to dobra wiadomość!

- Chciałbym być tego pewien - usiadł i ukrył twarz w dłoniach. - Gdybym tylko wiedział...

- Może niedługo otworzą drogi. Mogła po prostu utknąć tam, podobnie jak ludzie tutaj, nie wolno im przecież opuszczać kempingu.

- Może - uniośł głowę, a w jego oczach widoczne było zdecydowanie. - Zamierzam ją odnaleźć. Nie dbam o to, jak daleko będę musiał iść, by obejść blokady na drogach. Idę do Bar-mouth!

- Ale pomyśl, może ona jest właśnie w powrotnej drodze? To się może dziwnie skończyć:

Jean będzie tutaj, a ty uwięziony w Barmouth.

- Muszę podjąć to ryzyko - wstał. - Dasz sobie radę, prawda? Nie będziesz mnie potrzebowała? Jest wielu innych strażników, możesz się do nich zwrócić z prośbą o pomoc.

- Wszystko będzie dobrze - w jej głosie brzmiała jednak niepewność. Chciała mu powiedzieć: "Gordon, zostań", ale przecież nie miała prawa wpływać na jego decyzję. - A przy okazji, to co ci powiedziałam o Baxterze...

- Im mniej będziesz o tym mówić, tym lepiej

5 - Zew krabów

129

- ujął jej dłoń i ścisnął uspokajająco. - Nawet jeśli cokolwiek mu się przydarzyło, to nie jest to twoja wina. Wiele osób zostało zabitych. Na pewno nie wszystkie ciała zostaną odnalezione. Nie ma sensu, abyś cokolwiek mówiła. Po tym wszystkim mnóstwo osób zostanie uznanych za zaginione. Policja nie będzie więc interesować się specjalnie panem Baxterem. Spróbuj o tym zapomnieć.

- Spróbuję - obiecała i poczuła, że jej oczy zwilgotniały. - Jeśli musisz iść, to przynajmniej uważaj na siebie.

- Będę uważał. Wkrótce się zobaczymy. Uśmiechnęła się, nie mówiąc nawet: "Do widzenia". To mogłoby zabrzmieć tak...

ostatecznie. Zewnętrzne drzwi zamknęły się i usłyszała oddalające się kroki. Siłą musiała się powstrzymać, by nie podbiec do drzwi i nie krzyknąć:

"Nie kochałam się z Keithem Baxterem, Gordon! Przysięgam!"

Ale to pewnie nie obchodziło Smallwooda. Zresztą, dlaczego właśnie to miałyby go interesować? Był bardzo zakochany w swojej dziewczynie, inaczej nie poszedłby do Barmouth.

Kliles Manning stał w oknie swego biura. Mógł stąd obserwować główne ulice, słyszeć o-krzyki protestującego tłumu. Obok stało pięć samochodów, silniki pracowały na wolnych obro-

130

tach. Wichrzyciele! Ten wielki facet wyglądał jak prowodyr nieprzyjemnych zajęć w jakiejś tam fabryczce. Grubiańskim tonem zmuszał innych do słuchania, czy mieli ochotę, czy nie.

- Otwórzcie te pieprzone bramy, słyszycie? Trzech umundurowanych policjantów dołączyło do sił porządkowych kempingu.

Wszyscy stali teraz przy dużej, żelaznej bramie. Kilku żołnierzy przyjechało właśnie Land Roverem. Zaparkowali na poboczu, po zewnętrznej stronie bramy. Wyskoczyli z wozu, zdejmując z ramion karabiny.

- Nikt nie opuści obozu - powiedział spokojnie jeden z oficerów policji - ani samochodem, ani piechotą. I tak nie dotarlibyście daleko. Wszystkie drogi są zablokowane.

- Do cholery, nie możecie nam tego zabronić. Mamy prawo odjechać, jeśli chcemy. A teraz natychmiast z drogi i otwórzcie bramy. W przeciwnym razie staranujemy je.

W ciszy szcęknięły zamki gotowych do strzału karabinów. Lufy skierowane były ku ziemi, ale w ułamku sekundy mogły zostać wycelowane w tłum.

- Nikt nie wyjedzie - powtórzył policjant. - A teraz wracajcie do swoich mieszkań. Drogi zostaną otwarte, gdy tylko będzie to bezpieczne.

- A tymczasem jesteśmy uwięzieni tutaj i gdy kraby nadejdą, będziemy zamknięci jak

131

szczury w pułapce - głos mężczyzny zdradzał brak zaufania.

- Zostańcie tam, gdzie jesteście, a będziecie bezpieczni.

Manning pocił się. Bał się tego typu kłopotów. W tej chwili ci ludzie byli mniejszością, ale większa liczba krzy kaczy, takich jak ten wielki mężczyzna, mogła, sprawić sporo problemów. Wtedy pół tuzina żołnierzy, garstka policjantów i kilku strażników nie wystarczy.

Niemal wszyscy na kempingu widzieli kraba, opuszczającego jezioro. Widzieli, jak pokonał falochron w drodze ku morzu.

Oczywiście - wspinaczka była łatwiejsza od tej strony, ponieważ worki z piaskiem nie były ułożone równo, ale trudno byłoby to wytłumaczyć ludziom. Wszyscy byli bliscy paniki; masowa histeria mogła wybuchnąć w każdej chwili. Takie było prawo tłumu zamkniętego w małej przestrzeni.

Manning otarł czoło i odetchnął z ulgą, gdy zobaczył rosnącego mężczyznę wracającego do samochodu. Inni podążali za nim. Szli na parking.

W ciągu pięciu minut zgromadzeni rozeszli się, a żołnierze wrócili tam, skąd przyjechali. Jutro może to wyglądać zupełnie inaczej. Nerwy były napięte do granic możliwości.

Rozdział 10

Poniedziałkowe popołudnie - Barmouth

Rodzina Thompsonów spędzała wakacje w Blue Ocean w celu stworzenia pozorów. Wypoczynek tutaj był im potrzebny po to, aby przekonać znajomych, iż spędzają ekskluzywny urlop na kontynencie, z dala od zwykłych ludzi. Miało to pomóc w utrzymaniu dotychczasowego statusu, na którym bardzo im zależało.

Przyzwyczajali się już do swoich kłamstw; w rzeczywistości całe ich życie było pełne fałszu, nie uchronili przed tym nawet wzajemnych, bliskich kontaktów. Na przykład Fay nie wiedziała, że Arthur był tylko asystentem menadżera w olbrzymim domu towarowym w Birmingham. Dobrze skrywana tajemnica nie wydała się ani przed żoną, ani przed znajomymi. Arthur ubierał się elegancko, zawsze nosił krawaty i podpisywał dokumenty w imieniu firmy, gdy menadżer był nieobecny, a to zdarzało się bardzo często. Na szczęście bowiem Capstick szef Arthura, często grał w golfa i chętnie się bawił, więc nawet perso-

133

nel zaczął uważać Thompsona za menadżera. Ale to była tylko mała część snobizmu małżonków.

Spadek umożliwił im wspięcie się na wyższy szczebel drabiny społecznej, choć jednocześnie skomplikował finanse. Ten niespodziewany uśmiech losu pozwolił na wyrwanie się z nieciekawej dzielnicy i przeniesienie do bardziej ekskluzywnego przedmieścia. Opłaty hipoteczne były przerażające i Fay musiała pójść do pracy. Studiowała prawo w college'u... i oblała dyplom! Ale doradcy prawni potrzebowali maszynistek, nikt więc dokładnie nie wiedział, co właściwie Fay robiła w biurze Goodnoughta i Waybridge'a? Chodziła z jakimiś papierami w ręku i starała się wyglądać, także przed klientami, na kogoś ważnego. Te pozory można było zachowywać tak długo, póki ktoś nie stwierdzi, że przygotowuje głównie kawę i ostrożnie puka do drzwi pana Waybridge'a. Na razie jednak nikt dokładnie nie wiedział co Fay rzeczywiście robi.

A poza tym, oczywiście, był Benjamin. Począł się przez przypadek, w jednym z rzadkich momentów uniesienia, gdy Fay się zapominała. Samo w sobie było to fatalne, ale znacznie gorsza okazała się diagnoza lekarska. Chłopiec miał uszkodzony mózg, co prawda niezbyt poważnie, ale wystarczająco, by rodzice czuli się tym zażenowani. Wtedy piętnaście lat temu, nie było to takie ważne. Teraz jednak stało się okropne.

134

Rozważali ewentualność umieszczenia go w domu dla dzieci upośledzonych umysłowo, ale w ich trudnej sytuacji materialnej okazało się to niemożliwe. Trudno było kochać takie dziecko, ale jak Fay ciągle powtarzała Arthurowi, by uśpokoić sumienie, próbowali. Czyż nie?

Nie mogli też zamykać chłopca w pokoju, kiedy chcieli się pobawić. Jeśli to zrobili, walił w drzwi i krzychał swoim własnym, niezrozumiałym językiem. To dość koszmarnie. Normalnie bawił się w szopie na tyłach ogrodu, ale zawsze znajdował pretekst by się pokazać w trakcie przyjęcia. Mogli uciszyć go na jakiś czas szklanką lemoniady czy koktajlem. Kiedy jednak zaspokoił pragnienie, zaczynał być dokuczliwy. Pewnego razu rozmyślnie włożył rękę pod spódnicę pani Wai-te-Gardner (Arthur z trudem wytłumaczył bliskiej hysterii pani, że nie miało to żadnego seksualnego podtekstu, a było jedynie psotą).

Ale Benjie miał już seksualne pragnienia. Stało się to widoczne w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Przede wszystkim Fay zauważyła plamy na jego prześcieradle.

- Myślę, że znowu zaczął się w nocy moczyć - powiedziała Arthurowi, a on zgodził się, z westchnieniem. Oboje potrafili rozpoznać plamy po spermie, aJe trudno się było przyznać do tego w tym przypadku. Szukali więc wyjaśnień nie związanych z seksem.

135

Pewnego wieczoru jednak prawda wyszła na jaw, Fay dokonała tego przykrego odkrycia. Ben-jamin zniknął, nie pokazywał się od paru godzin. Arthur sprawdził szopę, ale i tam go nie znalazł. Pozostało mu jedno miejsce, w którym chłopiec mógł się ukryć, lecz było zbyt wcześnie, by Benjie położył się do łóżka.

- Zajrzę do jego pokoju - Fay westchnęła i ruszyła ku schodom, cmokając z irytacją. - Może ma migrenę. Ostatnio zbyt często mu się to zdarza i jestem pewna, że doktorzy mogliby coś zrobić. Mówią, że nie mogą, bo po prostu nie lubią, jak im się przeszkadza.

Z nawyku podeszła do pokoju Benjie'go na palcach i delikatnie otworzyła drzwi. A' potem pchnęła je gwałtownie i zakryła usta ręką, by stłumić narastający krzyk. Prawie zemdląta, jak wyznała potem Arthurowi. O Boże, to było okropne, odrażające! Nie zapomni do końca życia. Benjie robił to co robi większość normalnych piętnastolatków. Leżał zupełnie goły na pościeli, trzęsąc się i drżąc z podniecenia, oczy miał zamknięte, palce jego prawej ręki poruszały się szybko, mruzczał z zadowoleniem.

Gdyby tylko mogła go powstrzymać, zanim osiągnie ostateczne zaspokojenie. Próbowwała krzyknąć: "Benjie, przestań", ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Chłopiec miał nadal zamknięte oczy. Fay słyszała jego zmęczony, świ-

136

szczący oddech, a potem zobaczyła, jak napięte mięśnie rozluźniają się, a na twarzy pojawia się pół-uśmiech rozkoszy.

Cofnęła się na widok jego wytrysku, ale nie oponowała.

- Benjamin! - miało to zabrzmieć surowo (przestawała mówić Benjie, gdy była zirytowana). Zdołała jednak wydobyć z siebie tylko pisk. Drugi okrzyk zabrzmiał jeszcze bardziej przenikliwie niż pierwszy.

- Benjamin!

Otworzył oczy i spojrzał na nią z zachwytem. Nie był nawet zakłopotany! Równie dobrze mogła mu przeszkodzić w jednej z ulubionych dzieciennych zabaw wojennych w szopie. Wtedy zazwyczaj mówiła: "Zostaw to, Benjie. Herbata jest już gotowa i nie chcemy, żeby wystygła, prawda?"

- Benjamin, czy ty wiesz, co robisz? Kiedy zadała pytanie, o mało nie ugryzła się w język. Było to bowiem najgłupsze, co mogła powiedzieć! Palce jego prawej ręki bezwstydnie zaczęły się znów poruszać. Uśmiechnął się nie speszony.

- Przestań. Słyszysz mnie, Benjaminie? Natychmiast przestań! - Postąpiła naprzód i uniosła rękę by go uderzyć. Opamiętała się jednak. Ty podły chłopcze! - Ostry krzyk pełen gniewu ściągnął z wygodnej kanapy Arthura, który szurając nogami podszedł do schodów.

137

- K.to... kto cię nauczył... tego? - wyciągnięty oskarżający palec Fay drżał.

- Richie Marston - głos Benjie'go był dziwnie pozbawiony emocji, niemal normalny, co przeraziło Fay, przyzwyczajoną do jego głupawych chrząkań i niewyraźnej wymowy. - Robi to każdej nocy w łóżku. Zresztą, reszta chłopców Marstonów też.

- Będą mieli do czynienia z policją - powiedziała i poczuła się nagle niesamowicie głupio, więc dodała - a w każdym razie nie pójdą do nieba, jeśli Bóg się o tym dowie.

- Nie chcę iść do nieba - sposepniał. - Tam jest nudno,

- Oślepniesz od tego - zgrzytnęła zębami. Benjamin spojrzał z niedowierzaniem. Fay poczuła się znów naprawdę głupio. Cóż, jej rodzice zwykle tak mówili bratu. "Sam, ci którzy to robią, ślepną". Nagle poczuła, że stoi za nią Arthur, usłyszała jego denerwujące odchrząkiwa-nie. Ojciec Benjaminia nie był nigdy wystarczająco stanowczy.

- W czym problem? - Arthur Thompson oddychał ciężko. Zawsze tak robił, gdy się czegoś obawiał. Chrząknął znowu.

- W tym problem! - Odstąpiła na bok. Nie chciała wdawać w szczegóły owej rozmowy. Obowiązkiem ojca jest zajmowanie się

takimi sprawami.

Patrzyli na siebie. Tylko Benjie wydawał się

138

spokojny i nieporuszony tym wszystkim. Arthur wciąż miał flegmę w gardle. Spojrzał niemal błagalnie na Fay.

- Nie robiłeś takich rzeczy, gdy byłeś chłopcem, prawda Arthurze? - Patrzyła na męża, zmuszając go nieomal do powiedzenia, że robił.

- E... nie. Oczywiście, że nie. - Niezdecydowanie spoglądał na swoje stopy, jakby przypominając sobie, że musi wkrótce kupić nową parę kapci. Jeden z palców wylaził prawie na wierzch.

- Nie wyszłabym za ciebie, gdybyś tak robił - warknęła. - To jest niezdrowe. Ci chłopcy Marstonów napchali głowę Benjamina głupimi pomysłami. Będziesz musiał porozmawiać o tym w szkole. Nigdy nie robiłam czegoś takiego, gdy byłam dziewczynką. Nie śniłabym o takiej... profanacja.

Rzeczywiście, pomyślał, i nie robiłaś nic więcej od tamtego czasu, poza narzekaniem i obgadywaniem innych.

- Cóż, może powinniśmy zejść na dół Fay. Musimy porozmawiać.

Odwrócił się, słyszał jak podąża za nim, czuł niemal jej świdrujący wzrok na plecach. Ale niefortunnym pomysłem była rozmowa o tym, gdyż na pewno milczałaby tylko, odmawiając dyskusji na temat czegoś "brudnego": to twoja działka, Arthurze. Ty jesteś jego ojcem.

I nagle Arthur poczuł dziwną dumę i radość.

139

W jednej przynajmniej sprawie Benjie okazał się normalny. I to już tego wieczoru, gdy włożył rękę pod spódnicę pani Waite-Gardner. Arthur nie mylił się w podejrzeniach. Ich niedorozwinięty syn rzeczywiście miał pragnienia seksualne. Ale mogły się one stać niebezpieczne. Benjie potrzebował dozoru.

A teraz byli na wybrzeżu walijskim, w Blue Ocean. Wynajęta agencja dopilnuje wysłania pocztówek z południa Francji; każdy z sąsiadów, z którymi utrzymywali kontakty, otrzyma jedną. To była obsesja Fay. Arthur zgadzał się z jej dziwactwami, gdyż nie miał wyboru, ale czaił się w nim zawsze strach. Bał się, że Fay pewnego dnia odkryje, iż jest on tylko asystentem menadżera w domu towarowym.

Widzieli wyjście kraba z jeziora z okien swego mieszkania. Benjie drżał z podniecenia, wybałuszył w zachwycie duże, okrągłe oczy. Jego ręce zmieniły się w pistolety i chłopak zaczął naśladować strzelaninę.

- Pif... pif-paf... pif - Benjie wydawał piskliwe dźwięki, które imitowały jakby w westernowym stylu świst kuli. - Pif... pif-paf... pif... Ale skorupiak był niepokonany. Widzieli, jak omijał dziecięce karuzele i szedł ku sklepom. Dwa ostatnie wystrzały Benjie'go i stwór zniknął z pola widzenia.

- To... straszne. - Fay, blada i drżąca, osu-

140

nęła się na łóżko. - Och, Arthurze, co możemy zrobić? Jesteśmy uwięzieni na tym kempingu z tysiącami innych, zwykłych ludzi. Wiedziałam, że fotoreporterzy z prasy kręcący się tutaj cały dzień, zrobili nam jakieś zdjęcie, które pójdzie do gazet. Ludzie mogą nas rozpoznać. Jak wyjaśnimy to naszym sąsiadom?

Arthur westchnął. To rzeczywiście byłaby katastrofa, ale przecież może się zdarzyć rzecz jeszcze gorsza - gigantyczne kraby zaatakują kemping.

- Trafiłem go - Benjie sapnął od okna. - Widzieliście te wszystkie, opadające z niego kawałki skorupy?

- To były kule żołnierzy, ty głupi chłopcze! - odparła Fay. - A nawet oni nie mogli go zabić.

- Były moje - Benjie odwrócił się, twarz pociemniała mu nagle z gniewu i Arthur musiał szybko interweniować. Ta głupia krowa Fay może z łatwością wpędzić chłopca w jeden z jego agresywnych nastrojów i to bez sensownego powodu.

- To były twoje kule, Benjie - przemówił Arthur uspokajająco. - Widziałem, jak trafiły w kraba. Następnym razem próbuj celować w te odrażające mordy. Nie ma na nich pancerza i możesz dobrze trafić. Skorzystaj w przyszłości z mojej rady.

141

Benjie odwrócił się z powrotem do okna. Patrzył na zewnątrz. Cisza. Nie można było zgadnąć, nad czym się zastanawia. Mógł nawet zupełnie zapomnieć o krabie.

Ale Benjie nie zapomniał. W snach, które miał tej nocy, przeżywał ów epizod na nowo. Olbrzymi stwór wylał się z wody. Był większy, dużo większy niż na jawie; grad kul wyszczerbiał jego pancerz, ale nic poza tym. Żołnierze uciekali, pozostał tylko on. Słyszał gdzieś głos matki:

"Uciekaj, Benjamin. Słyszysz mnie, uciekaj, nim cię ten potwór dostanie. On cię zje".

"Spieprzaj!" - Benjie nie czuł strachu. Krab zatrzymał się patrząc na niego niepewnie. Zdawał sobie widocznie sprawę z siły ognia rąk-pistoletów. Wiedział też pewnie, że był on inny niż pozostali ludzie. Stawał się nadczłowiekiem. Teraz krzyczał.

Nawałnica plugawych stów, których nauczył się od Marstonów, przeplatała się z gradem strzałów i świstem kul. Celując dokładnie tam, gdzie mu doradzał ojciec, posyłał swe wyimaginowane kule w tę groteskową, niemal podobną do ludzkiej, twarz. Krew! Ciekła z rozwartej gęby, zalewała szkarłatem oczy tak, że skorupiak nic nie widział. Chwiejąc się walił na ślepo szczypcami. Woda dookoła pieniać się, zabarwiała się na purpurowo. Pif-paf... pif-paf... Przewrócił się, zanurzył częściowo, machał i uderzał szczypcami. Słabł coraz bardziej.

142

Benjie zbliżył się ku niemu, wciąż słysząc krzyk swojej matki: "Benjamin, wracaj natychmiast". "Zamknij się, ty głupia krowo". Zanim dotarł, krab był martwy. Z pewnym trudem Benjamin Thompson wspiął się na pancerz, utrzymał równowagę i wznosił ręce-pistolety w górę, we własnym zwycięskim salucie. Reflektory oślepiły go tak, że nic nie widział. Zresztą nie musiał, gdyż słyszał wiwatujący tłum. Byli tu teraz wszyscy wczasowicze, burzliwe okrzyki głużyły cholerne protesty jego matki. Benjie-Zbawi-ciel był oklaskiwany; tam gdzie zawiodła armia, on triumfował. Poziom adrenaliny we krwi wyraźnie wzrósł i zaczęło mu się kręcić w głowie.

- Benjamin, czy wszystko w porządku? "Spieprzaj, ty krowo!" - Powrócił do rzeczywistości. Sylwetka matki rysowała się w drzwiach sypialni.

- Uh-huh - wydał pomruk niezadowolony. Nie zabił kraba. Jeszcze nie. Strzelał tylko we śnie.

- No, zaśnij teraz i nie myśl o krabach. Jak tylko będzie to możliwe, wyjedziemy stąd do domu. I nie próbuj... robić czegokolwiek! - Zamykane drzwi stuknęły.

Ogarnął go gniew. Jeszcze się odegra. Gdy wszyscy będą oklaskiwać jego zwycięstwo, jej nie będzie obok. Nie będzie dzieliła

jego sławy. Jest bez szans. W jego dziwnym mózgu skryzystalizował

143

się już plan. Dostanie kraba, rozwali go na kawałki swymi groźnymi pistoletami. Pif-paf... pif-paf...

Podniecenie zaczęło powracać, a wraz z nim następne, bardzo przyjemne uczucie. Ręce powędrowały pod prześcieradło i w ciągu kilku sekund Benjamin zapomniał o gigantycznym krabie. Nie zamierzał jednak jeszcze spać.

Gordon Smallwood obserwował w tłumie, jak zatrzymuje się mała kawalkada wojskowych samochodów. Poczł się załamany, a ogarniał go coraz większy niepokój. Ci uzbrojeni żołnierze byli przedstawicielami prawa. Otworzą ogień, jeśli protestujący będą próbowali wydostać się z kempingu. Ustalono wojenne reguły.

Gordon był ubrany w sztruksy i nylonową koszulkę. Najprawdopodobniej ludzie z ochrony nie poznają go, a nawet gdyby, to i tak nie miałyby wpływu. Z Blue Ocean nie wypuszczono nikogo, nawet na piechotę!

Zrezygnowany włóczył się bez celu. Po jakimś czasie dotarł na główny parking. Spacerował leniwie wśród rozgrzanych stojących pojazdów, które mogły stać się ruchomą sauną, jeśli komuś przyszłoby do głowy wsiąść do któregoś z nich. I właśnie tutaj spotkał tego rosnego faceta.

Przywódca tłumy, który próbował staranować bramy wejściowe stał przy swoim samochodzie,

144

starym, rdzewiejącym roverze. Kilkunastu innych mężczyzn, którzy mu w tej próbie towarzyszyli, było tu również. Gniew i przynębnienie malowały się na ich twarzach. Cisza. Jakby czekali, aż odezwie się ich przywódca. Ale to Gordon Smallwood przemówił pierwszy.

- Niezły początek - zauważył. - Ale sądzę, że nie damy rady uzbrojonym żołnierzom.

- Sądzisz? - Postawny mężczyzna wyglądał teraz jeszcze potężniej, z odsłoniętą piersią, pokrytą masą czarnych włosów. Tylko pozornie wydawało się, że jest otyły, bowiem gdy poruszał się, widać było falujące mięśnie. Mężczyzna, z którego nie oplać się żartować. Arogancki, gwałtowny. Wichrzyciel siejący niepokój dla /zasady.

- Cóż, tak to wygląda - Gordon czuł, jak mężczyzna świdruje go wzrokiem, jakby przypominał sobie, gdzie go wcześniej widział. Pewnie przypuszczał, że strażnik musi być szpiegiem nastanym przez ochronę do wykrywania ogniska buntu na kempingu.

- Mam tego dość, mówię wam. Moja dziewczyna poszła wczoraj do Barmouth i nie wróciła. Chcę ją odnaleźć.

- Chcesz, he? - spojrzenie stało się bardzo badawcze. - A jak zamierzasz to zrobić?

- Wymyślę coś.

- Czyżby?

145

- Myślę nad tym.

- Tak samo jak my. Chcesz się przyłączyć? Gordon wstrzymał oddech. Nie chciał odpowiadać od razu. Kilku pozostałych mężczyzn podeszło bliżej; widział, jak przełykają ślinę i oblizują wargi.

- Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać

- powiedział.

- Twoją twarz już gdzieś widziałem - mężczyzna postąpił krok, wysunął masywny podbródek, a jego oczy zwężyły się tak bardzo, że nieomal zniknęły w oczodołach. Chyba spotykałem cię ostatnio właśnie tutaj.

- Jestem strażnikiem. - Gordon poczuł ucisk w żołądku. Wyjście z tej sytuacji stawało się coraz trudniejsze. Fałszywy krok może drogo kosztować.

- Rozumiem. Nie chciałbym być na twoim miejscu, jeśli próbujesz nas wykołować. Chociaż nie widzę powodu, dla którego miałbyś to robić.

- Olbrzym zamrugnął oczami, a potem mięśnie jego twarzy rozluźniły się. - Wyruszamy dziś w nocy, my wszyscy tutaj i także ci, którzy jeszcze do nas dołączą, więc nie widzę powodu dla którego nie miałbyś... jeśli jesteś szczerzy.

- Dziś w nocy?! - nadzieje Gordona Small-wooda jakby się rozwiały. - Ale ja chcę iść już teraz, by dotrzeć do Barmouth przed zapadnięciem zmroku.

146

- Bez szans. Nigdy tego nie dokonasz. I nie wyobrażaj sobie, że ci żołnierze nie użyją broni, jeśli będą do tego zmuszeni.

Zrobią to. Dlatego właśnie zrezygnowaliśmy. Rozumiesz? Jest tylko jedna droga, którą można się stąd wydostać. Wojsko pilnuje drogi i falochronu sąsiadującego z kempingiem, więc trzeba iść na wschód przez pola, a potem zawrócić na wybrzeże, gdy-już ominie się żołnierzy. Kapujesz?

- Droga przez plażę! A co z krabami?

- To ryzyko, które musimy podjąć. Będzie odpływ i pełnia księżycy, więc spróbujemy trzymać się z dala od wody. Poza tym kraby robią piekielny hałas, który nas ostrzeże zawczasu. Więc albo zrobimy tak, albo zostaniemy na kempingu, czekając aż nas te stwory dostaną, a z pewnością do tego dojdzie. Nie sprzedam tanio swojej skóry i dotyczy to tutaj wszystkich. - Machnął olbrzymią, pobrudzoną olejem ręką ku grupie mężczyzn.

- Im więcej ludzi, tym weselej i większa szansa na wydostanie się stąd. Do diabła, ci cholerni żołnierze nie odważą się przecież strzelać do tłumy. Wszystko czego potrzebujemy, to ludzi zdolnych do przejścia przez pola, a potem przez wybrzeże.

- Jak Wielka Ucieczka - Gordon zaśmiał się cicho. - Cóż, sądzę, że nie mam wyboru,

147

muszę iść z wami. Policzcie więc i mnie. A przy okazji, mam na imię Gordon.

- Ja jestem Charlie - uśmiechnął się mężczyzna i splunął w kurz. - Spotykamy się przy miniaturowej kolejce o jedenastej.

Możemy iść wzdłuż torów, aż dojdziemy do pól. Przejdziemy przez płot i wtedy już każdy będzie się martwił o siebie. Nie wracamy po rannych i nie zabieramy zabitych. - Zaśmiał się złowrogo i odwrócił. - A teraz rozejdźmy się. Do zobaczenia o jedenastej, chłopaki.

Gordon stał i patrzył na nich zastanawiając się, jak spędzi resztę dnia. W końcu postanowił wrócić do Irey.

To był telefon od Cliffa Davenporta, dlatego Miles Manning podniósł słuchawkę. Wszystkie linie na kempingu były przeciążone, gdyż krewni próbowali uzyskać wiadomości o swoich najbliższych. Kolejki do kempingowych budek telefonicznych stawały się z każdą chwilą dłuższe;

wkrótce pojemniki na monety zapełnią się i wtedy jedyna droga komunikacji ze światem zewnętrznym przestanie istnieć.

- Słyszę, że pański krab uciekł - głos Davenporta był zmęczony, jakby nie spał przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

- Rzeczywiście, udało się skurwielowi - nerwy Manninga były napięte do ostatnich gra-

nic. Nie przywykł jeszcze do tego, że nie mógł sam rządzić kempingiem. Żołnierze nawet go trafili, ale doszedł do falochronu i wrócił do morza.

- Czy nie wysłałby pan robotników, by podwyższyli trochę tę część ściany? - zapytał Da-venport. - Sądzę, że to może być słaby punkt.

- Zrobię co w mojej mocy. - Milles Man-ning sięgnął do pudełka z cygarami. Było puste. - Na kempingu panuje niepokój. Mała grupa próbowała się wydostać przez główną bramę. Żołnierze musieli ich powstrzymać, grożąc użyciem broni. Ale jest wiele innych miejsc, przez które można się przedostać na piechotę. Sądzę, że kilka osób spróbuje jeszcze ucieczki po zapadnięciu zmroku.

- Jeśli dojdzie do tego, to narobią tylko zamieszania - odparł Davenport. - Armia i policja są przeciążone do granic wytrzymałości. Boże, powinien pan zobaczyć Barmouth! Kraby zniszczyły cały teren nad morzem, a część ruin jeszcze płonie. Posiłki nadeszły, ale obawiam się, że artyleria niewiele zdziałała. Pracuję całą dobę próbując wymyślić coś bardziej wyrafinowanego. Chryste, te potwory muszą mieć jakąś swoją piętę Achillesową. Znalezienie jej - to jest właśnie problem. Im wcześniej dostanę martwego kraba, nad którym będę mógł popracować, tym lepiej. W każdym razie jeżeli pański uciekł, nie ma sensu żebyśmy przyjeżdżał. Będę w kontakcie.

149

Manning odłożył słuchawkę, podszedł do okna. Kolejka przed biurem ochrony ciągnęła się aż do jeziora. Wszystko to takie bezsensowne. Wciąż to samo pytanie: "Kiedy będziemy mogli jechać do domu?" I nie było na to żadnej odpowiedzi. Dziś w nocy kilku desperatów będzie próbowało znów się stąd wyrwać i może im się nawet uda. A niech tam, baba z wozu, koniom lżej.

Podszedł do wewnętrznego telefonu, wykręcił numer biura rozrywek.

- Dajcie dziś wieczór jeszcze jedno przedstawienie. Otwórzcie kina o piętnastej trzydzieści i puśćcie trzy filmy. Podwyższcie stawki w bingo.

Cokolwiek się stanie, Blue Ocean ma nadal funkcjonować. Jeśli ma to być koniec kempingu, niech odbędzie się on z fantazją. Ludzie będą wtedy pamiętać Milesa Manninga może dłużej nawet niż historię z krabami.

Rozdział 11

Poniedziałek wieczór - Blue Ocean

Jean Ruddington czuła, że minuty wlokły się jak godziny. Na zewnątrz wielkiej szopy panował ogłuszający hałas. Echo potęgowało eksplozję tak, że Jean myślała, iż popękają jej bębniaki w uszach. Spostrzegła najpierw oślepiające, pomarańczowe światło, potem poczuła gryzący zapach dymu. Wiedziała już, że zapaliła się szopa.

O Jezuu, powinna była zostać z Gerrym! Lepiej pełzać w niewoli seksu, niż usmażyć się za życia z tym szalonym hipisem, który zaspokoił już swoje pożądanie. Widziała teraz, jak szarpie się z oknem, które zaklinowało się tak, że musiał użyć łomu. Szybko pękła, wypadła i potłukła się na drobne kawałki. Jak szalony wybijał pozostałe w ramie szkła. Ten skurwiel nie zwracał na nią żadnej uwagi!

- Hej! - krzyknęła i dostała napadu kaszlu. - Pomóż mi!

Zignorował jej prośbę. Dostał się na górę do okna, raniąc sobie rękę tak, że zaczęła obficie krwawić, lecz zdawał się tego nie zauważać. Prze-

151

cisnął swe silne ciało przez wąski otwór i nagle zniknął. Była zupełnie sama! Bała się panicznie, --ale opanowała się szybko. Jeśli ten skurwiel wyszedł tamtędy, ona też to potrafi. I musi to zrobić szybko.

Fale niemal ją oślepiły. Macając wokół rękoma szukała okna, a gdy wyczuła coś ostrego dłonią wiedziała, że je znalazła.

Futryna znajdowała się mniej więcej na wysokości jej głowy. Gdyby ktoś jej pomógł, wspięłaby się z łatwością, ale i tak powinna dać sobie radę. Desperacko podwoiła siły i po chwili przeciągała ciało przez wąski otwór, czując tylko, jak ostre krawędzie kaleczą jej skórę, ale w tej chwili nie zwracała na to uwagi. Wreszcie wydostała się na drugą stronę, amartyzując upadek rękoma. Od uderzenia o ziemię nieomal straciła oddech. Leżała teraz na piasku, próbując się pozbierać.

O Boże, tak właśnie musiało wyglądać piekło Dantego. Dookoła tańczyły płomienie, gorąco paliło jej nagie ciało, a przez łzy nie widziała nic. Musiała ponownie zwalczyć ogarniające ją zmęczenie. Taki skok na ślepo mógł się okazać fatalny w następstwach. A przecież musiała znaleźć drogę przez ścianę ognia.

Jakieś piętnaście jardów dalej zauważyła przejście, którego nie dotknęły jeszcze płomienie swymi ognistymi jezorami. Wokół niej zawałały się belki, wzniecając dookoła miliony iskier.

152

Jean Ruddington biegła, a potem nagle zatrzymała się, gdy zobaczyła po raz pierwszy kraba. O Boże Wszchemogący, to musiał być sen albo halucynacja, a może wyszły niesamowite cienie, wywołane z nicości przez ogień! Nie, kraby były rzeczywistością. Zatrzymały się, gdyż pochwyciły ofiarę. Ich przysmakiem było ludzkie ciało i krew.

Krzyknęła, a może tak jej się zdawało, ale dźwięk jej głosu był nikły w tym niezziemskim hałasie. Rozpoznała nagą, szamoczącą się postać w chwili, gdy została ona uniesiona w górę przez miażdżące kleszcze skorupiaków, walczących o najlepsze kąski.

Siła tego człowieka była niczym wobec siły potworów. Trzymane za rękę i nogę ciało zostało rozciągnięte na całą długość, a wolne kończyny gwałtownie poruszały się w powietrzu. Czuła niemal, jak rozrywają się ścięgna, jak członki są odrywane od korpusu. Trzeci krab zbliżył się i chwycił ofiarę za tors. Wyglądało to tak, jakby olbrzymie nożyce rozwarły się, by przeciąć cienki materiał. Ciało zostało podzielone, porwane na strzępy, a krew tryskała jak woda z gejzera.

Przez kilka "sekund Jean stała jak sparaliżowana. W świetle kolejnego wybuchu płomieni zobaczyła twarz. To był z pewnością Pete. Jego głowa zwisała na kawałku skóry, kołysząc się jak jo-jo, a otwarte martwe usta jakby przekazywały

153

ostatnie ostrzeżenie: "Uciekaj, zanim dostaną również ciebie!"

Biegła, choć nie wiedziała, jak zdołała zmusić do tego swe nogi, ale były posłuszne, pomimo jej skrajnego przerażenia.

Widziała przejście i musiała tam dotrzeć zanim kraby lub ogień nie odetną ostatniej drogi.

Coś spadło i potoczyło się pod jej nogi. Z wrażenia niemal nie zwymiotowała, bo Pete patrzył na nią ponownie krzyżąc:

"Uciekaj!"

Ocalała ją ta straszna śmierć. Zdawało się, że kraby zajęte ucztą nawet nie zauważyły ognia. Płomienie parzyły jej nagie ciało, gdy zanurzyła się w kłęby dymu, aby potem znaleźć się po drugiej stronie. Teraz poruszała się po wąskiej ulicy pełnej cieni i pustych domów. Ani żywej duszy. W zasięgu wzroku nie pojawiał się żaden człowiek. Upadła na kolana, próbując złapać oddech. Nie wolno jej zostać tutaj, bo ogień rozszerzał się, a kraby mogły nadejść w każdej chwili. Z wielkim wysiłkiem wykonywała ostatnie polecenie Pete'a: "Uciekać, cały czas uciekać".

Zobaczyła nagle tłum ludzi, ale nikt z tej rozkrzyczanej i przerażonej gromady nie zwracał na nią uwagi. Każdy myślał tylko o ocaleniu własnej skóry. Jej nagością nie zainteresowali się mężczyźni, a na jej ciało ochotę miały tylko kraby. W pewnym momencie zorientowała się, gdzie jest i skierowała swe kroki w zadymiony, poma-

154

rańczowy mrok. Po przeciwnej stronie ulicy mieszkał Gerry. Wahala się jeszcze i niezdecydowana cofnęła się w cień. Za nią szalała krwawa śmierć i buchające morze płomieni, a przed nią miejsce na prawdopodobne ocalenie. Przelknęła ślinę, pamiętając o tym, co zdarzyło się tego popołudnia i dlaczego spotkała się z Petem. Próbowała obejrzeć w ciemności swoje ciało. Było straszliwie brudne. Przesunęła dłońmi po płaskim i twardym brzuchu, nienawidząc siebie i swoich namiętności. Przypomniła sobie Gordona Smallwooda, jego rozumne, taktowne, wybaczące postępowanie, jakby chciała zadać sobie większy ból. A potem przeszła przez jezdnię. Przeszłość stała się zupełnie nieważna, teraźniejszość przypominała piekło, a o przyszłości nie śmiała nawet pomyśleć.

Drzwi były otwarte. W pustym hallu świeciła się tylko jedna żarówka. Powoli zaczęła wspinać się po schodach. Po chwili upadła i wstała dopiero wtedy, gdy skorzystała z poręczy. Była bardzo słaba, pragnęła tylko, żeby położyć się i spać.

Spojrzała na drzwi do mieszkania Gerry'ego, które teraz były podobne do więziennej kraty. Przed nimi uciekała tylko po to, żeby w końcu znowu tu wrócić jak niewolnica. Chciała być zamknięta w bezpiecznym miejscu, obiecując, że nie będzie już nigdy próbowała stąd uciec.

Oparła się o drzwi i położyła dłoń na klamce. Przez chwilę stała cicho, ale nie usłyszała żadne-

155

go dźwięku. Brak odgłosów nic nie oznaczał. Gerry mógł leżeć w łóżku, spać. Pomyślała, żeby zapukać albo zadzwonić, ale zamiast tego nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się do wewnątrz, skrzypiąc głośno.

Po omacku szukała kontaktu, a gdy go znalazła oświetliła złotym światłem nieuporządkowany pokój. Było dla niej oczywiste, że Gerry'ego nie było w domu. W pokoju panował nieład;

resztki jedzenia wały się na stole, a kupione paszteciki i chipsy, których nikt nie tknął, już dawno wystygły. Niedaleko stołu leżało przewrócone krzesło. Wiedziała, że nie ma go też w sypialni, ale zajrzała tam. Łóżko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy stąd wychodziła. Na powrót poczuła się winna, gdy ujrzała wilgotną plamę na zmiętym prześcieradle. Spojrzała na pootwierane szuflady, widziała części garderoby, które wały się porozrzucane na podłodze. Nie trzeba było być detektywem, aby domyślić się, że Gerry opuścił mieszkanie w piekielnym pośpiechu. Tak jak inni uciekł, gdy kraby nadeszły. Ona również powinna wynieść się stąd do diabła, ale nie miała już na to siły. Nie chciała nigdzie iść, nie martwiła się o to, czy będzie żyła, czy zginie. Podała się.

Dygotła cała i szpatycznie szlochała po szoku, który dopiero teraz mijał. Nogi odmówiły posłuszeństwa, więc padła na łóżko jak podcięty

156

kwiat, próbując odsunąć się od mokrej plamy, aby nie myśleć o tym, co zdarzyło się wcześniej. Wszystko, co nastąpiło po tym, było gorsze od krabów, gdyż straciła teraz resztki szacunku do siebie, które do tej pory jeszcze się w niej tliły. Ulotniły się jak mieszkańcy tej części miasta. I znowu pojawił się Gordon. Nie męcz mnie Gordonie, proszę! Trzymaj się z daleka, bo nie wiesz, jaka jestem naprawdę. Oszukiwałam cię, tak jak i wielu mężczyzn w przeszłości. Jestem niczyja. Jestem brudną, pospolitą dziwką. Śmiejąc się histerycznie ułożyła się na mokrej plamie i rozłożyła bezwstydnie nogi. "Jestem niczyja i gwizdę na to. Chodźcie, chłopaki. Leżę tutaj i czekam na was!"

Ale nikt się nie pojawił. Budynek wibrował od eksplozji, a ciągły ogień ciężkiej artylerii zagłuszał okrzyki tłumu. A jednak słyszała dźwięk, który brzmiał jak odgłosy ciągłego ognia z karabinów maszynowych: klikety - klik - klik - klikety - klik.

W końcu wyczerpana zapadła w tak głęboki sen, że nic nie docierało do jej świadomości.

Irey Wali wiedziała, że daremnie przekonuje Gordona, aby nie opuszczał kempingu. Co mogła, zrobiła rano i teraz na pewno nie zmieni już postanowienia. Zagotowała wodę i zaparzyła kawę w

157

dwóch kubkach, nieświadomie próbując zatrzymać go jak najdłużej. Potrzebowała go bardzo.

"Kraby praktycznie zniszczyły Barmouth" - usłyszała w odbiorniku tranzystorowym, który dostał na urodziny Rodney.

- To znaczy, że będą szukały nowego celu - powiedział Gordon.

- Skąd wiesz?

- Cóż, nie wróciły na wyspę. Moim zdaniem uderzą teraz na dolne wybrzeże i prawdopodobnie pojawią się w Południowej Walii.

- Chciałabym w to uwierzyć - Irey przytapała się na tym, że nasłuchuje, czy Rodney i Louise już śpią. Po odejściu Gordona prawdopodobnie otworzy drzwi ich sypialni i spędzi pół nocy na czuwaniu. Po ostatnich wydarzeniach z pewnością będą im się śnić koszmarnie stwory, a wszystko to może spowodować niepowetowane szkody w ich psychice.

- Przypuszczam, że jutro o tej porze będzie już po wszystkim - Gordon Smallwood spojrzał na zegarek - za dziesięć minut będę musiał wyjść. Drogi w tym rejonie zostaną otwarte i każdy będzie mógł jechać do domu.

- Może Keith Baxter żyje - powiedziała to, bo jej sumienie trapiły wciąż zdarzenia z ostatniego piątku. Teraz wydawało się jej, że wszystko zdarzyło się przed wiekami, ale poczucie winy nie

158

minęło. - Może chciał po prostu zniknąć i pragnął, aby ludzie myśleli, że się utopił - dodała.

- To możliwe - uśmiechnął się do niej - ale i tak nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Może lepiej przyjąć, że doskonale wszystko przygotował, świetnie zaplanował szczegóły. Potrzebował też kogoś, kto wiedziałby, że zniknął, więc zabrał cię ze sobą.

- Tak - powiedziała bez przekonania. Ujrzała znów silne, nagie ciało Baxtera. Jeżeli zamierzał zniknąć, to mógł chociaż przespać się z nią przedtem. Żaden mężczyzna nie opuszcza kobiety w ten sposób. - Wiesz Gordon, gdyby nie dzieci, wysłabym z tobą dziś wieczorem.

- Po szlabyś? - spojrzał na nią zastanawiając się, czy się nie zarumień!. A jeśli nawet, to i tak nie miało to żadnego znaczenia.
- Byłabym twoim cieniem i nic by mnie nie powstrzymało - powiedziała i jej twarz zarumieniła się. - Mój mąż prawdopodobnie nawet nie przypuszcza, że ten kemping jest oblężony. On wędkuje i o niczym innym nie myśli. Gdyby nie dzieci, nie wróciłabym do domu. Prze... przepraszam - zająknęła się i odwróciła wzrok. - Ja... nie powinnam tak mówić, gdy ty nieomal odchodzisz od zmysłów ze strachu o swoją dziewczynę.
- W porządku - pociągnął ostatni łyk kawy i odstawił kubek. Wstał. - Kto wie, co przyniesie nam przyszłość. A ja nawet nie wiem, czy

159

Jean naprawdę coś do mnie czuje. To może być po prostu wakacyjny romans, który skończy się wraz z nadejściem jesieni. Twoje małżeństwo rozpada się, dlatego pakujesz się w taką sytuację.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Każde z nich chciało tyle powiedzieć, a czas uciekał.

- Być może nie wrócę na kemping - powiedział Gordon. - Myślę zresztą, że i tak zostanę zwolniony. Manning nakazał, by znów odbyło się przedstawienie, ale jak, do diabła, możesz stać na scenie i opowiadać głupie dowcipy, których i tak nikt nie chce słuchać? Poprzedniego wieczoru miało to jeszcze sens, ludzie na chwilę zapomnieli o krabach. Ale dziś wszystko zmieniło się zupełnie. Panika szerzy się teraz jak zaraza i nie czas na rozrywki.

- Może już cię nie zobaczę - jej głos zdrzął. - Słuchaj, coś ci powiem... - odwróciła się, znalazła kawałek papieru i kredkę, którą Rodney i Louise zostawili na telewizorze. Potem trzęsącą się ręką pisała przez kilka sekund ledwo czytelne gryzmoły. - Weź, to mój adres.

Złożył skrupulatnie kartkę i schował ją do kieszeni dzinsów.

- Dzięki. Może cię odnajdę.

A potem odszedł, zamykając za sobą drzwi, prowadzące na galerię. Nie mógł tego stanu przerwać, bo nie miał silnej woli.

Nagły niewytłumaczalny niepokój sprawił, że nieomal zrezygnował

160

z wcześniejszych planów. Już szedł w stronę teatru i wtedy pomyślał, że tam nie znajdzie odpowiedzi, a musiał dowiedzieć się, co przydarzyło się Jean Ruddington. W jego życiu było zbyt wiele niedokończonych rzeczy. Wzruszył ramionami wiedząc, że prawdopodobnie za tydzień zapomni o Irey Wali. W trudnych sytuacjach ludzie stawali się sobie bliżsi i nawet wydawało się, że są sobie nawzajem potrzebni. A potem...

Śpieszył się teraz, pełen obawy, że Charlie i inni już poszli. Zdawało się, że teraz zatracą swą indywidualność. Będzie szedł z tłumem, podążając tam, gdzie oni go poprowadzą. Pozwoli innym podejmować decyzje. Tak jest o wiele łatwiej.

Jakiś dziwny niepokój nakazał mu iść wolniej i obejrzeć się za siebie. Ktoś go obserwował. Na pewno nie było to przypadkowe spojrzenie. Jego wewnętrzny system ostrzegawczy nigdy nie zawiódł. Gordon spojrzał na cień, który rzucał blok mieszkalny i wyłowił wzrokiem jakiś kształt. Po grzbiecie przebiegły mu ciarki. Na kempingu pełno było ludzi. Więc dlaczego...

Nieznajomy człowiek nie poruszał się teraz i tylko go obserwował. Jego niepokój wzrósł. Ruszył, próbując o nim zapomnieć, ale w jego głowie wciąż odzywały się ostrzegawcze sygnały, szarpiąc jego nerwy.

Po przejściu kilku jardów odwrócił się. Zobaczył chłopca. Rozzłościł się na siebie, gdy stwier-

6 - Zew krabów

161

dził, że jego niepokój nie miał uzasadnienia. Ten chłopak na pewno przyczał się w cieniu, a potem szedł za nim, skradając się jak kot. Zobaczył go w jasnym świetle ulicznej latarni. Stał, patrzył i czekał. Chyba coś z nim było nie w porządku...

Gordon przełknął ślinę. Przesunął się o krok, by przyjrzeć się mu dokładniej. Widział już wcześniej tego chłopca, pamiętał rysy na beznamiętnej twarzy i duże szerokie oczy bez wyrazu. Wiedział, że ma krótko obcięte włosy, i że jest silny.

Pif-paf... pif-paf... jakby bzycał trzmiel siadając na kwiat. Pif-paf. Palce chłopca ułożyły się jak pistolet, a potem schował je do niby-kabury. Ale nieruchome oczy wciąż były utkwione w Gordonia.

- Obserwowałeś mnie, siedłeś za mną - Gordon próbował mówić z gniewem. Głos jego jednak zabrzmiał niepewnie, nieomal jak przeprosiny. Cofnął się o krok i zwilżył językiem suche wargi.

Pif-paf, pif-paf. Po podwójnym wystrzale pistolety schowały się znowu.

- Dobra synu, już mnie przestraszyłeś. A teraz idź do swoich kolegów i baw się z nimi. Okay?

Nie było żadnej odpowiedzi, a nawet nie zauważył błysku w oczach. Pamięć Gordona Small-wooda przywoływała obraz, tak samo jak magiczna latarnia. Przypomniał sobie, że już widział

162

chłopca kilka dni temu przy jeziorze, gdy pokazał się tam wielki krab. Poczuł wtedy sympatię do upośledzonego dziecka chyba dlatego, że siedział on zwyczajnie pomiędzy rodzicami na ławce, pokazywał kaczki i kwakał jak one. Kobieta, z pewnością matka, przemówiła ostro i dzieciak zamilkł na długo.

Życiowe nieszczęście, o którym zapominamy, gdy sami jesteśmy szczęśliwi. Postawa nieszkodliwa, ale dokuczliwa.

- Przestań iść za mną - warknął Gordon. Był to krzywdzący zakaz, spowodowany tylko jego zdenerwowaniem. Na terenie kempingu chłopiec mógł chodzić, gdzie chciał. Prawdopodobnie bawił się w detektywa i zabawa ta była dla niego bardzo ważna.

Gordon odwrócił się i odszedł szybko. Nie mógł dalej marnować czasu. A jednak czuł wciąż ciarki na grzbiecie i o mało co nie zaczął uciekać.

Dotarł do miniaturowej kolejki. Połyskujący silnik parowy wyraźnie rysował się na tle nocnego nieba, a lokomotywa stała z pół tuzinem wagoników. Kolejka przez siedem dni w tygodniu, od kwietnia do października, wykonywała dwadzieścia kursów dziennie, do plaży i z powrotem. Teraz odpoczywała.

Potem Gordon zobaczył ludzi wyłaniających się z mroku, cały zwarty tłum stał na drewnia-

163

nym peronie, jakby w oczekiwaniu na odjazd kolejki.

- To strażnik - powiedział z sarkazmem w głosie Charlie, wywołując pomruki. - Jeśli to pułapka, to będziemy wiedzieli, kto jest winien.

Gordon nie odpowiedział; nie była to odpowiednia pora na kłótnię.

- Chodźmy - wielki facet odwrócił się, a reszta ruszyła za nim wzdłuż toru; przygarbiali się czasami, aby ich sylwetki nie były widoczne zbyt wyraźnie na horyzoncie.

Wszyscy milczeli, ale Gordon czuł, że idą spięci i przestraszeni, bo jemu również te uczucia nie były obce. Przyczajeni żołnierze i policjanci mogli przecież czekać na nich, żeby otworzyć ogień. Mogły ich także zaatakować kraby.

Bez ostrzeżenia skręcili w bok, pozostawiając za sobą tory i zaczęli schodzić po stromym zbocz. Później teren wyrównał się i pod nogami mieli teraz ostrą trawę wysuszoną przez słońce. Za nimi światła kempingu oświetlały niebo sztucznym blaskiem, a przed nimi panowała ciemność. Księżyc nie wszędzie jeszcze przynajmniej przez godzinę. Szli gęsiego. Wpadali na siebie, jeśli ktoś niespodziewanie przystanął. Modlili się, by Charlie był wciąż na przedzie. A potem wszyscy zatrzymali się; dotarli do ogrodzenia otaczającego kemping. Mieli wrażenie, że wędrują już godzinami.

364

Było tak cicho, że słyszeli, jak ci z przodu przechodzą przez siatkę. Trzeszczała ona pod naporem ludzi, a w pewnej chwili dotarł nawet odgłos prującego się czyjś ubrania, gdy przechodzący zawadził o wystający drut.

Za chwilę kolej na Gordona; przyspieszył więc, by dogonić mężczyznę idącego przed nim.

Nie było tu ani policji, ani żołnierzy. Wszystko poszło tak łatwo. Ludzie stopniowo się rozluźnili. Już nie oczekiwali na rozkaz zatrzymania się, albo ostrzegawczy wystrzał. Gordon próbował się zorientować, w jakim miejscu się znajdują. Musieli być na rozległej łące, nazywanej przez tubylców "wspólną". Szli jednak dalej i skręcili teraz w prawo, na drogę, która prowadziła do wybrzeża. Stamtąd ścieżką biegnącą wzdłuż wybrzeża dojdą aż do Barmouth.

Po chwili Gordon znów poczuł niepokój, a zimne ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Obejrzał się. Było jednak zbyt ciemno, by mógł kogokolwiek dostrzec. Zaczął nasłuchiwać, ale wyłowił tylko odgłosy stąpania wielu stóp po suchej trawie.

Wszystkiemu winna była wyobraźnia. Ten dzieciak nie mógł iść za nimi aż do tego miejsca.

A może jednak?

Rozdział 12

Poniedziałek, noc na wybrzeżu

Benije stał i obserwował, jak Gordon Small-wood odchodził pośpiesznie w ciemność, która spowijała kemping. Do diabła, ten facet coś kombinował! Zauważył coś podejrzanego w jego ruchach i przeczuwał, że dzisiejszej nocy wydarzą się jakieś nieprawdopodobne rzeczy.

Benije nie zamierzał tego przegapić. Co więcej, chciał zabić swoimi pistoletami choć jednego kraba, żeby pokazać tym cholernym żołnierzom, jak należy z nimi walczyć, chciał udowodnić, że nie jest taki głupi, jak myśleli.

Wydostać się z mieszkania nie było łatwo. Z jakiegoś powodu jego rodzice położyli się później niż zazwyczaj. Przyczał się przy drzwiach i czekał, aż ich oddechy staną się spokojne i równe. Uśmiechnął się do siebie w ciemności, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zabawiali się ze sobą tak, jak mówił Richie Marston. Benije nie mógł wyobrazić sobie, że oni robią takie rzeczy. Chyba jednak musieli w ten sposób zajmować się sobą przynajmniej szesnaście lat temu, żeby mógł się urodzić. Jeśli zdawało się im, że samogwałt jest

166

obrzydliwy, to to, co oni robili ze sobą, było jeszcze gorsze. Benije przyrzekł sobie, że pewnego dnia on także zabawi się z jakąś kobietą. To musi być naprawdę fajne, bo inaczej chłopcy w szkole nie mówiliby o tym cały czas.

Przekradł się przez sypialnię rodziców i wyszedł z mieszkania. Na kempingu wrzało nocne życie. Jemu nawet zdawało się, że rozpoczyna się ono wtedy, gdy on musi iść do łóżka.

Zwolnił dopiero w salonie gier. Zatrzymał się przy modelu wspaniałego rewolwerowca naturalnych rozmiarów. Był jak prawdziwy i musiał aż dwa razy zaglądać ponad wahadłowymi drzwiami do salonu, aby się zorientować, że to figura, a nie człowiek. Za dziesięć pensów, które wrzucił do maszyny, mógł wyjąć z olstrów colta Peace-maker i zmierzyć się z rewolwerowcem, który poruszał ustami, a z ukrytej gdzieś taśmy dochodziły słowa: "Strzelaj, kiedy powiem już".

Dobiegał skądś nagrany wystrzał i rewolwerowiec, jeśli się go trafiło, dostawał drgawek i sztywniał, a jeśli nie, obrzucał delikwenta przekleństwami: "Nie • trafiłbyś nawet byka w drzwiach, ty dupku. Spróbuj jeszcze raz albo wynoś się z miasta!" Oczywiście, kolejna próba kosztowała następne dziesięć pensów. Ale Benije był zbyt bystry i wolał swój własny pistolet niż Peacemakera z plastyku. Jego własne kule trafiały celniej w kow-

167

boja. Za strzały nie płacił, choć martwił się, że nikt nie dawał mu premii za dobre trafienia. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż dziś w nocy mógł dokonać znacznie więcej. Jeśli zastrzeli kraba, ludzie poznają się na nim, a matka i ojciec będą podziwiać. Postanowił zaufać intuicji i pójść za tym facetem. Całe jego życie oparte było na przeczuciach, które najczęściej się sprawdzały. Domyślił się wszystkiego, gdy mężczyzna, za którym szedł, przyłączył się do oczekujących przy kolejce.

Przeczuwał, że zamierzali polować na kraby, bo jakież inny cel miałyby ta nocna wyprawa. Prawdopodobnie pistolety ukryli w ubraniach. Zezłościł go ten fakt i niemalże nie ruszył z powrotem, ale zatrzymał się, gdy pomyślał, że może tylko ci faceci znają miejsce, gdzie ukrywają się skorupiaki. I pewnie tam zamierzali na nie zapolować. Dreszcz emocji przebiegł po ciele Benije'go Thompsona, a poziom adrenaliny w jego krwi wzrósł gwałtownie. I wtedy postanowił, że pójdzie za nimi wszędzie.

Trzymał się z dala, ale oni robili tyle hałasu, że bez problemów mógł się skradać. W ciemności celował palcami i poruszając wargami naśladował strzelanie: pif-paf. Była to mała wprawka. Ale wkrótce będzie mógł strzelać naprawdę.

Szli jeszcze jakiś czas \ głąb łądu. a potem skręcili znowu v» kierunku morza Srehr^MJ t^r-

168

cza księżycyca w pełni pojawiła się na szczycie odległych gór.

Benije nie miał żadnych wątpliwości, że uczynił dobrze i wyruszył za tymi ludźmi.

Gordon Smallwood był zdumiony, że księżyc tak szybko wschodzi. W ciągu dziesięciu minut nikła poświata zmieniała się w świecąca kulę, która wspinając się wciąż po nocnym niebie, zalała wszystko pięknym i groźnym srebrym światłem. Przed nimi znajdowało się wybrzeże. Byli na długiej, szerokiej i skalistej plaży, która ciągnęła się aż do następnej krzywizny brzegu, o jakąś milę w dół, a może jeszcze dalej. Tak jak przypuszczali, był teraz odpływ. To rozwiązywało wiele problemów. Tylko w kilku miejscach będą musieli wchodzić w głąb łądu. Przed nimi stała otworem droga do Barmouth.

- Jak dotąd, nieźle - Charlie czekał, aż wszyscy zbiorą się wokół niego. - Najgorsze za nami, ale czeka nas długa droga i musimy zachować ostrożność. Dojdziemy wkrótce do brzegu, dotrzemy do następnego klifu i zobaczymy, co leży za nim. A teraz chodźcie za mną.

Było oczywiste, że Charlie lubi wydawać rozkazy. Chciał prowadzić i Gordon był z tego zadowolony. Szedł znów z tyłu.

Zastanawiał się nawet nad tym, czy nie oddzielić się od nich i iść

osobno, ale stwierdził, że to bez sensu, gdyż w dużej grupie było bezpiecznie.

Gordon powrócił myślami do Irey Wali. To zabawne, powinien raczej myśleć o Jean Rud-dington, ale przecież nie mógł panować aż tak nad sobą. A może nie chciał.

Było w Irey coś, co go ekscytowało w niewytłumaczalny sposób. Była tylko gospodynią domową z przedmieścia, miała męża, z którym męczyła się, ale go nie opuszczała ze względu na dzieci. Może nie doznała zaspokojenia seksualnego jak miliony kobiet. Nauczyły się one żyć bez tego, wmawiając sobie, że w rzeczywistości nie jest im to potrzebne i że nic nie tracą. Wiele z nich angażowało się w związki pozamałżeńskie. Ale nie Irey. A jednak pojechała z tym facetem, Baxterem, w miniony piątek na Wyspę Muszli. A kiedy kobieta zgadza się na randkę z mężczyzną to wie, w co się pakuje, chyba że jest niewiarygodnie tępa. A Irey nie była ograniczona.

Gordona ukłuła zazdrość, bo zrozumiał w tym momencie, że ta kobieta nie jest mu obojętna. Czy przed zniknięciem Baxtera...? Ta myśl podnieciła go i w tym momencie poznał lepiej samego siebie. Było to odkrycie. Myśl o możliwej zdradzie Irey była bulwersująca. Tak samo było z Jean i z jego byłą żoną, choć dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeśli jakiś facet śpi z twoją żoną, to właściwie powinieneś czuć wściekłość,

170

ale gdy pomyślisz, że nikt prócz ciebie nie chce się z nią zabawić, to przestaje ona być dla ciebie wyzwaniem. Możesz ją mieć, kiedy tylko zapragniesz i z nikim nie musisz współzawodniczyć. Wszystko staje się wtedy nudne i zaczynasz szukać seksu poza małżeństwem. Szalone to wszystko i pomieszane, ale przecież Gordon zrobił co mógł, by zorientować się co z nim się dzieje i nawet takie półodkrycie było fascynujące.

Dotarli do skał. A raczej dotarł tam Charlie, gdyż grupa bardzo się rozciągnęła. Były tam olbrzymie, gładkie głazy, które leżały obok siebie tak zwarcie, że łatwiej było wspiąć się na nie niż je ominąć.

Gordon pozostał w tyle. Wciąż myślał o powrocie na kemping. W ten sposób mógłby zachować pracę i zbliżyć się do Irey, choć prawdopodobnie nie opuści ona swojego niewydarzonego męża i będzie do końca życia "rybią wdową". To byłoby najprostsze rozwiązanie.

Gordon drgnął i zdał sobie sprawę, że wciąż czuje na plecach dziwne dreszcze, które sprawiają, że dostaje gęsiej skórki. Nie, to było niemożliwe! Ten zwariowany dzieciak nie mógł iść za nim aż tutaj.

Chryste, a jednak tak było! Gordon Small-wood zamarł w bezruchu i aż otworzył usta, gdy zobaczył chłopca, który śledził go już wcześniej na kempingu. Schodził on cicho ze stoku ku pla-

171

ży, a poruszał się z taką zwinnością, że trudno było wierzyć, iż jest upośledzony. Ich oczy spotkały się i po raz drugi tej nocy Gordon przestraszył się... bał się nieznanego, niezrozumiałego umysłu.

Stali w odległości dziesięciu jardów od siebie, twarzą w twarz i milczeli. Inni niczego nie zauważyli, zajęci przeprawą przez olbrzymie głazy.

- O co chodzi, chłopcze? - Gordon zapytał szeptem, szorstko i nieprzyjemnie, a głos jego zdawał się odbijać w balsamicznym, nocnym powietrzu jak echo, które nie chciało umilknąć. - Nie masz tu nic do roboty.

Benije Thompson patrzył bez zmużenia powiek i pewnie trzymał swoje pistolety, aby wypróbować je na Gordonie. Żadnych pif-paf czy świstu kuł, tylko jeden groźny gest.

- Niech pan nie próbuje mnie zatrzymać, bo chcę zabić kraba. A teraz z drogi albo...

Pojedynczy okrzyk przeciął ciszę i Gordon nagle wszystko zaczął widzieć w zwolnionym tempie. Odwrócił się i nie chciał uwierzyć w to, co zobaczył na własne oczy.

Te gigantyczne skały i głazy ożyły!

Widział to, co wedle niego było wytworem jego napiętej wyobraźni i strachu, który nad nim zapanował. Najpierw pomyślał, że oszalał, bowiem zdawało się, że cała plaża ożyła nagle, a monstrialne głazy powstały, aby zrzucić ludzi,

172

którzy się wspinają, a potem zaczęły wyciągać ramiona, by chwytać ich i miażdżyć.

Klik - klik - klik.

W ciągu sekundy Gordon zrozumiał, że to kraby... O Jezu Chryste, to nie były wcale skały, lecz kraby leżące na plaży, znakomicie zamaskowane w delikatnym świetle księżycy!

Stał jak sparaliżowany. Znajdował się w makabrycznym teatrze cieni, w którym groteskowe sylwetki odgrywały przerażającą sztukę. Słychać też było okropne jęki, krzyki i wrzaski, które nagle ucichły. Teraz docierały tylko odgłosy cięcia i chrupania ciał, rwanych i przeżuwanym w ohydnych szczękach. Od czasu do czasu rozlegały się także trzaski łamanych kości. Po raz ostatni zobaczył człowieka o imieniu Charlie. Złapał go krab o wiele większy od wszystkich innych i trzymał wysoko w górze, zupełnie jak chuligan, który na placu zabaw wyrwał torbę słodczy i drażni inne dzieci. Potem rozległ się obrzydliwy chrzęst i ciało rosnącego mężczyzny zostało zmiażdżone, a pozbawiona życia powłoka zawisła bezwładnie. Podniecone kraby zaklekotały, cofnęły się i zdyscyplinowane czekały.

Ten największy to był z pewnością ich przywódca, Król Krabów, który przez jakiś kaprys natury przerósł inne mutanty i rządził nimi dzięki swej sile.

Nagle ciało Charlie'go zostało rzucone tak,

173

jak rzuca się sługom królewski podarek. Zdawało się, że najpierw przez kilka sekund zawisło ono w powietrzu, aby później upaść bezpośrednio na czekające już szczypce. W zamieszaniu potwory gwałtownie walczyły o zdobycz, którą raczył podarować przywódca. Wyglądały teraz jak kury dziobiące rozsypane ziarno. A potem nie było już Charlie'go.

To Benije wyrwał Gordona z transu. Chłopiec ruszył naprzód, jak myśliwy podchodzący do ofiary, trzymając pistolety na wysokości bioder. Kroczył dumnie.

- Zostań tam, gdzie jesteś - Gordon z szeroko rozłożonymi ramionami skoczył, by zagrozić mu drogę. Ten dzieciak był szalony, szedł na pewną śmierć.

- Niech pan zejdzie z drogi. - Takie słowa mogły paść tylko z ust makiety rewolwerowca w salonie gry.

- Jesteś szalony. Te kraby rozerwą cię na kawałki. One idą okrężną drogą. Chcą zaskoczyć od strony lądu, gdzie nikt nie będzie ich oczekiwał. Musimy wracać i ostrzec wszystkich na kempingu.

Benije zdawał się nie słyszeć, posuwając się naprzód jak robot, który trzyma znowu pistolety w groźnym geście. Zdawało się, że woskowy model ożył, opuścił salon gry, aby znaleźć krwawą

174

śmierć. Trzeba go było zatrzymać i był na to tylko jeden sposób...

Gordon Smallwood skoczył szybko, próbując chwycić Benije'go, gdy ten znalazł się przy nim. Nie powinien mieć żadnych problemów. Wystarczy chłopca silnie chwycić, pociągnąć do tyłu i ewentualnie skrępować, gdyby się szarpał.

Ale Gordon nie docenił wrodzonego sprytu tego, którego mózg pracował zupełnie inaczej niż jego własny. Benije robiąc unik, skoczył szybko, a jego pistolety zamieniły się w tym samym momencie w zaciśnięte pięści. Prawy prosty trafił Gordona w spłot słoneczny, a cios lewej ręki wyładował na jego szczęce. Przed oczami zamigotały czerwone gwiazdy, potem ogarnęła go ciemność.

Gordon ocknął się z takim uczuciem, jakby miał kaca; pulsowało mu w skroniach i nie chciał nawet otwierać oczu. Stracił świadomość na jakieś dziesięć sekund, nie dłużej, bo kiedy udało mu się przemóc ból i odetchnąć zbolalymi płucami, zobaczył Benije'go idącego w stronę kraba.

Gordon Smallwood leżał bezradny i musiał patrzeć na tę scenę. O Chryste, ten mały głupi gnojek chciał walczyć przeciwko całej armii skorupiaków!

Nieustraszony chłopiec szedł do nich powolnym, rozważnym krokiem, z palcami uniesionymi groźnie w powietrze. Kraby zauważyły go dopiero teraz, na ich przerażających krwawych gębach

175

malowało się coś, co mogło być tylko zachwytem. One również - jak Gordon - czekały i patrzyły. .

Benije otworzył ogień.

Pif-paf... pif-paf... Jego wyimaginowane kule trafiały w cel, odbijały się rykoszetem, a chłopak wyglądał jak ktoś, kto tylko morduje. Wszystkie kraby spotka ten sam los. Zginą z jego ręki. Pif-paf... pif-paf...

Ale Król Krabów również chciał go mieć. Dlatego właśnie pozostałe bestie odsunęły się na bok, by zrobić miejsce groźnemu, ogarniętemu gniewem przywódcy. Klekocząc od niechcenia szczypcami, potwór szedł ku chłopcu i Gordon wiedział, że ich spotkanie skończy się strasznie.

Teraz Benije Thompson musiał zacząć strzelać celniej. Pif-paf, pif-paf, pif-paf... Strzelał teraz szybciej i wciąż nie odczuwał strachu, tylko na jego twarzy malowało się zdziwienie, że potwór jeszcze się nie przewrócił, a kule nie powodują żadnych uszkodzeń pancerza.

Jedno pełne złości uderzenie olbrzymich szczypiec ostrych jak brzytwa, trafiło z brutalną siłą w cel. Gordon czuł, jak dławi go w gardle, aż w końcu zwymiotował. Głowa Benije'go została oddzielona od reszty ciała tak starannie, jak gdyby została zgilotynowana i potoczyła się, podskakując na nierównościach gruntu. Ciało było nadal wyprostowane i wciąż posuwało się naprzód,

176

podobne do koguta pozbawionego głowy, który porusza się jeszcze dzięki ostatnim drganiom nerwów. Chodząca śmierć.

Bezgłowy Benije sunął w objęcia oczekującego nań kraba. Kolejny cios uszkodził korpus, a krew zaczęła tryskać jak z fontanny. A potem Król Krabów rozpoczął swą ucztę, szarpiąc ciało i krusząc kości, mlaskając i chrupiąc, a inne stwory wpatrywały się w niego jakby z przyzwyczajenia.

Gordon otrząsnął się z szoku i przerażenia, dźwignął na kolana, próbując zmusić obolały mózg do pracy. Mężczyźni zginęli, a chłopiec został rozszarpany. Tutaj kraby już dokonały rzezi, ale mniej niż dwie mile stąd znajduje się znacznie więcej ludzi, którzy również zginą, jeśli ich nikt nie ostrzeże. Słaba armia z niemal bezużyteczną artylerią, spodziewa się ataku z wybrzeża, gdy tymczasem przebiegłe kraby wywiodą wszystkich w pole.

Od czasu ataku na Wyspę Muszli i Barmouth nabrały doświadczenia i ciągle uzyskują przewagę. Wyszły na brzeg tutaj, by napaść na kemping od strony lądu...

Gordon zerwał się, próbując opanować zawroty głowy. Jeżeli uda mu się stąd wydostać, ocaleje. Może nawet ostrzeże innych i Irey. Nade wszystko ją musiał ocalić.

Klik - klik - klikety - klik!

177

Wielki krab zauważył go i machając szczypcami zaczął dawać innym sygnały, aby łapały tego człowieka.

Gordon zmusił się do ucieczki. Musiał przebiec z pięćdziesiąt jardów po skalistej plaży, aby potem gnać w głąb lądu. A przecież nikt nie wiedział, jak szybko poruszają się kraby. Cóż, on wkrótce sam się o tym przekona.

Teren był nierówny, a jeden nieostrożny krok oznaczał śmierć, o której nie chciał nawet myśleć. Spojrzał w tył. O Jezu Chryste, kraby zbliżały się szybko, bo plaża była podobna do dna morza. Bolały go płuca i kręciło mu się w głowie. Modlił się do Boga, aby mu się udało uciec, ale one były już niecałe pięćdziesiąt jardów za nim i zbliżały się coraz bardziej! Musiał jeszcze pokonać ostatni kawałek drogi, coś w rodzaju ostrogi sterczącej z falochronu. Potem wszystko będzie w porządku.

Księżyc oświetlał płaską i śliską powierzchnię. Dotarł do czarnej, zacienionej szczeliny, tej samej, którą mijali idąc tędy niedawno z całą grupą.

Zawahał się i obejrzał. Wielki krab był jeszcze bliżej, teraz już w odległości nie większej niż trzydzieści jardów. Zdawał się być bardzo pewny zdobyczy.

Gordon Smallwood czuł przez kilka sekund, że czas stanął w miejscu. Podobno tonącemu człowiekowi całe życie przesuwa się błyskawicznie przed oczami, ale Gordon zobaczył tylko kilka

178

zdarzeń. Wszystko wskazywało na to, że nie uda mu się uciec. Kraby poruszały się niewiarygodnie szybko. Żałował, że już nigdy nie zobaczy pewnych ludzi, a szczególnie Irey. Chciał jej tak wiele powiedzieć, a nie zdążył. Dlaczego? Bo był cholernie przestraszony, a prawda mogłaby go tylko zranić. Obawiał się, że Irey odpowie taktownie i uprzejmie: "Bardzo mi pochlebia, że czujesz do mnie coś takiego, Gordon, ale ja jestem mężatką. To nie byłoby w porządku, prawda?" Do cholery, byłoby, ale ona o tym nigdy nie będzie wiedziała.

I Jean. Z nią powinien porozmawiać szczerze. Masz innego, prawda? Wyłóżmy karty na stół. Przestańmy się oszukiwać.

Powiedz mi to wprost, a nie tylko: "Wydaje ci się, Gordon. Jesteś zazdrosny."

I dalej nic nie wiadomo.

Te dwie kobiety różniły się szczerością. A czasami lepiej zostać zranionym, niż o niczym nie wiedzieć.

Kraby były teraz już bardzo blisko. Znajdowały się piętnaście jardów od niego. Ten największy prowadził, widział jego zakrwawioną mordę ziejącą nienawiścią. Był pewny siebie, bezlitosny. Gordon napiął wszystkie mięśnie i skoczył. Wtedy też ponownie ujrzał rój jaskrawych, różnokolorowych gwiazdek, które zamazywały mu widoczność i nie pozwalały dobrze ocenić sytuacji.

Spiął się w sobie oczekując na gwałtowny upadek i modlił się, by stracić przy tym przytomność. Nie chciał doświadczyć okrutnego losu, bo przecież krab zrobi z nim pewnie to samo, co zrobił z Charlie'em i z tym małym debilkiem. Zaciśniętą mocno oczy i poczuł zawroty głowy. Wciąż spadał. Boże, ziemia nie była aż tak daleko! Ostre światła przeszły w głęboką czerwień, a w końcu ogarnęła go ciemność. Uderzył i potem już nic nie czuł.

Rozdział 13

Wczesny wtorkowy ranek - Blue Ocean

Edna i Lucy zarezerwowały miejsca w Blue Ocean z jednym, jedynym zamiarem, znalezienia sobie facetów. Edna była niska, ciemna i niezbyt atrakcyjna. Mogła znaleźć chłopaka, jeśli ten nie wymagał zbyt wiele: ot, dziewczyna, z którą można było spędzić wieczór, gdy nie miało się nic lepszego do roboty. Lucy była nieco inna niż przyjaciółka, ale nawet ścisła dieta nie miała wpływu na jej grubo-kościłą budowę. Mogłaby natomiast zrobić coś z przyszłymi na twarzy, choćby wycisnąć parę z nich. Ale nie zwracała na nie uwagi. Włosy myła raz na tydzień, więc ciągle układały się jak szczurze ogonki wokół jej szyi. Paliła bardzo dużo, a ostatnio nabrała zwyczaju trzymania tłącego się papierosa w ustach, dopóki się nie wypalił. Była źle wychowana, ale nie robiła nic by to zmienić. Niezbyt czarująca parka. Żeby zdobyć chłopców musiały się naprawdę napracować. W domu zyskały przezwisko "hetki-pętelki", ale nie przejmowały się tym. Teraz uważały, że przyjemnie

181

było znaleźć się na nowym terytorium, poza kontrolą rodziców.

W poniedziałek wieczorem wybrały się na dyskotekę. Niedziela spędzona w Peari Dance Hali nie była zbyt udana i wróciły rozczarowane. Ale tym razem parkiet był pełen; w większości nastolatki, które wydając pieniądze, chciały się dobrze zabawić. Kraby zepsuły wszystkim wakacje, a więc do diabła z nimi! Nie zaatakują chyba kempingu. Niebezpieczeństwo traktowały jak straszenie bombami, co zdarzało się od czasu do czasu, a przyjmowane było zazwyczaj jak kiepski żart. Jak groźba wojny nuklearnej, która i tak przecież nigdy nie wybuchnie, więc po co zamartwiać się tym. Trzeba żyć dniem dzisiejszym i nie myśleć o niepewnej przyszłości. Tylko wapniaki panikowały i chciały jechać do domu, ale nie młodzież.

Edna i Lucy znalazły trochę miejsca na parkiecie i zaczęły tańczyć ze sobą, tak jak to zwykle robiły. W ten sposób można się było rozejrzeć, sprawdzić czy jest ktoś interesujący na widoku.

Tańczyły rytmicznie, tłok zmusił je, by zbliżyły się do siebie, a ogromny biust Lucy omal nie wyskoczył ze stanika, gdy muzyka stała się szybsza. Były coraz bliżej siebie. Przez mózg Edny przebiegła myśl, która wywołała na jej ustach uśmiech. Cholernie zabawne. Cienkie wargi Lucy poruszyły się w niemym pytaniu: "Z czego się

182

śmiejesz?" Edna potrząsnęła głową, było zbyt głośno by odpowiedzieć, a jeśli przyjaciółka zapyta ją później, powie, że zapomniała. Cholernie zabawne. Były jak lesbijki. Cycki Lucy ocierały się o Ednę. Może to i wstrętne, choć z drugiej strony i trochę zabawne.

Piekielnie gorąco. Lucy otarła spoconą twarz dłonią mając nadzieję, że nowy gatunek dezodorantu działa skutecznie. Nic tak nie odstraszało facetów jak odór spoconego ciała.

Błyskały światła: białe, czerwone, zielone, rozplývając się w końcu w różowoliliową poświatę. Romantyczne. Podniecające. Lucy pragnęła, by prezenter zwolnił tempo, traciła już niemal oddech. Wkrótce będzie musiała zacząć się odchudzać. Ale dopiero po wakacjach, gdyż jedzenie było nieodłączną częścią urlopu. Jedzenie i...

Znalazła faceta. Prawdopodobnie tkwił tam już od pewnego czasu, mimo że zauważyła go dopiero teraz, po prostu jeszcze jedno ciało w tłumie. Uśmiechnął się do niej i spostrzegła, że brakuje mu zębów. Długie włosy sterczały podobnie jak jej. Nie mogła zgadnąć czy próbował zapaść brodę, czy też po prostu nie był ogolony. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Fałda tłuszczu wylewała się z nad paska džinsów.

- Hej - poruszył bezgłośnie ustami i Lucy odsunęła się od Edny. Edna musiała teraz zadbać sama o siebie. Rozpoczęły się ływy.

183

Na parkiecie było coraz więcej ściśniętych, zgniecionych ludzi. Lucy przyciskała ogromne piersi do partnera. Chłopak kołysał się rytmicznie, sugestywnie trącając ją udami. Poczula coś sztywnego na wysokości podbrzusza, poruszyła się w odpowiedzi na tę wyraźną zachętę i spostrzegła znowu uśmiech. To właśnie nazywało się "językiem ciała".

Lucy dostała wypieków. Nie były one spowodowane tylko duszną, zadymioną atmosferą dyskoteki. Rozejrzała się szybko dookoła, by sprawdzić, jak powodzi się Ednie, ale jej nie zauważyła. Nie było problemu, czasami rozdzielały się, a czasami tworzyły zabawową czwórkę.

Rytm muzyki stawał się wolniejszy i partner Lucy przyłgął niezgrabnie. Deptali sobie po palcach, ale to nie przeszkadzało. Musiała się nachylić, by twarze się zbliżyły. Chłopak był również rozgrzany i spocony. Pocałował ją. Jej usta otworzyły się, pozwalając, by wsunął język do środka. Boże, pchał go niemal do gardła. Po grzbiecie przeszły ją ciarki. Była to doskonała zapowiedź dalszej zabawy. Cały czas obejmowali się, wymieniali francuskie pocałunki i ocierali się o siebie.

- Gorąco tutaj! - musiał krzyknąć dwa razy, nim go zrozumiała. Przytaknęła i otworzyła oczy. - Czy chciałabyś stąd wyjść?

Nie Lii-h szata końcówki, ale dobrze rozumiała ocz\wi^ta -»ugesue

- Okay.

Zeszli z parkietu objęci, z rękoma splecionymi w uścisku. Rozejrzała się ostatni raz w poszukiwaniu Edny. Nie widziała jej, ale była pewna, że przyjaciółka skryła się gdzieś w tłumie. Zresztą nie interesowało ją to zbyt. Trzy noce straciła, by znaleźć faceta i nie zamierzała przepuścić tej okazji.

Na zewnątrz panował odświeżający chłód. Zdała sobie sprawę, jak bardzo była spocona: sukienka przyłgnęła ściśle do obfitych kształtów. Ale nie pot był powodem wilgoci między udami.

- Jestem Johnny - mruknął.

- Lucy.

- Mieszkasz sama?

- Nie - zawahała się. - Jest ze mną przyjaciółka... może siedzi właśnie w mieszkaniu. Nie wiem. - Nie miała teraz ochoty spotykać się z Edną.

- Możemy pójść na to pole, gdzie trzymają osiołki.

- Okay.

Konwersacja nie była ich mocną stroną, więc pozostali przy pieszczołach. Wędrowali wolnym krokiem, jakim zwykle chodzą pary całujące się na drodze. Ludzie najczęściej omijają ich, ale niekiedy zajęci sobą, \\\ padają na innych, jakb\ m-ko2o me zauv.az:'J

Lucy i Johnny opuścili już oświetlony teren. Za nimi reflektory wydobywały z mroku falochron, ale pole, na które zmierali, ogarnięte było ciemnością. Wybrali dobre miejsce.

Brama była zamknięta, więc Johnny przeszedł przez płot i z trudem pomógł przedostać się Lucy, dotykając przy tym jej ciała. To wywołało chichot.

- Co to jest? - zeszywniała, gdy usłyszała że coś porusza się w ciemnościach. Natężenie i tempo odgłosów zwiększyło się, jakby ktoś uderzał mocno w bęben, a potem zamarło w oddali. - Co to jest, Johnny?

- Osły - mruknął. - Myślę, że przestraszyliśmy je. Chodźmy dalej, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Serce Lucy tłukło się dziko i było jej trochę niedobrze. Od przyjazdu tutaj jadła wyłącznie ryby i chipsy. Miała nadzieję, że nie odejdą zbyt daleko. Co prawda krabów nie powinno być tam, gdzie nie ma wody, ale Lucy z natury była strachliwa i nawet sypiała przy zapalonym świetle, ku niezadowoleniu Edny.

- Tu będzie dobrze - bez ostrzeżenia pociągnął ją za sobą na nierówną, suchą trawę.

Johnny nie uznawał żadnych subtelności. Jeśli panienka zgodziła się iść nocą na pole, to doskonale wiedziała czego będzie od niej oczekiwał. A skoro już doszli tutaj, nie było odwrotu.

186

Zaczął ją znowu całować, dotykał dłońmi piersi i próbował odpiąć guzik. W końcu mu się udało, zabrał się za następny. Potem próbował rozpiąć stanik.

- Tutaj - niepokój Lucy narastał. - Pozwól, że ci pomogę! - Niecierpliwiła się, jej pragnienie było tak rozbudzone, że nie mogła już dłużej czekać. Impulsywnie uniosła pośladki i ściągnęła majtki. Ten facet grzebałby się z tym całą noc. Zdarła z siebie sukienkę i odrzuciła na bok. Chłodne nocne powietrze owiewało , jej rozgrzane ciało. Ale wciąż nie mogła się pozbyć dręczącego niepokoju. Od dzieciństwa obawiała się ciemności. Zastanawiała się, jak daleko odeszły osiołki. W dzień były to łagodne stworzenia, ale nocą wszystko, co się poruszało, budziło jej strach.

- O co chodzi? - dłoń Johnny'ego dotknęła znowu jej ciała, szorstkie palce głaskały uda.

- Nic. Zastanawiałam się tylko... Ale Johnny nie słuchał. Jego palce wsunęły się między uda, ścisnęły miękkie, wilgotne ciało, naparły mocniej, aż z ust dziewczyny, wyciągniętej obok niego, wydobył się długi i jękliwy dźwięk:

"ooo-oooh". Nie mógł już dłużej czekać. Chwyił jej rękę i włożył w spodnie. Ogarnęła go irytacja, gdy nie zareagowała.

Lucy nie mogła się skoncentrować, gdyż wydawało jej się, że niedaleko coś się porusza. Te

187

osiołki mogą powrócić. Przypuśćmy, że się spłoszą i ich stratuja. Albo też kopną rozmyślnie. Słyszała kiedyś, że osły kopią ludzi, kiedy są w złym nastroju.

- Co się z tobą dzieje, u diabła? - Johnny leżał na niej zaskoczony, że nie czuje już wilgoci między udami.

Jęknęła, stawiając opór.

- Zdawało mi się, że coś słyszałam - szepnęła chrapliwie.

- Co?

- Nie wiem. Jakby coś się ruszało.

- To prawdopodobnie osły. Nie myśl o tym.

Wdarł się w nią z brutalną siłą, która doprowadziła ją do płaczu. - Głupia krowa, powinien był wziąć tę drugą dziewczynę, z którą tańczyła na dyskotecie, ale teraz było za późno, musi więc wykorzystać sytuację do końca.

Lucy zeszywniała. Nie chciała się już kochać, pragnęła tylko, żeby się pospieszył i skończył z tym. Dlaczego nie poszli do mieszkania, gdzie było miło, wygodnie... i bezpiecznie. Zaczęła się poddawać, próbując uchwycić jego rytm, z nadzieją, że nie będzie chciał się bawić i przedłużać tego, czy nawet próbować drugi raz. Oddychał ciężko i mruczał klęcząc między jej szeroko rozłożonymi udami, raz po raz wchodząc w nią.

Czuła, że nie będzie miała orgazmu. Podniecenie odpłynęło już na dobre. Zorientowała się,

188

że znów nasłuchuje. Tam w ciemności wszystko się ruszało. Teraz jękliwy odgłos wydawał konik polny. Och mogła leżeć na jednym z nich lub co gorsza na mrówkach, szczyprawkach czy pająkach... O Boże, Johnny, pośpiesz się i skończ już z tym! W kilka sekund później chłopak przestał zwracać uwagę na jej reakcje. Widziała nad sobą jego sylwetkę, poruszał się szybko, mocne pchnięcia sprawiały taki ból, że straciła czucie. Johnny drżał i wił się, a gdy pochylał się do przodu szorstkie palce wpijały się w jej piersi. Nie mogła powstrzymać okrzyku bólu i protestu, gdy ścisnął jej wrażliwe ciało, gdy zębami wgrzyzał się w kark. Jakby był zagłodzonym wampirem. Próbowwała opierać się, ale nie była w stanie powstrzymać jego żądz. Zęby zaciskały się na jej ciele:

Chryste, krwawiła!

Przyszła jej do głowy nowa myśl: mógł być jednym z tych zboczonych morderców, o których czytała w gazetach. Zabijali w momencie orgazmu, a potem żalowali, gdy było już za późno i próbowali pozbyć się ciała. Kilku z nich złapano, ale wielu udało się uciec.

- Przestań! - wykrzyknęła.

Zwalniał stopniowo, nacisk rąk na jej piersiach malał. Nie powstrzymał go krzyk, zaspokoił już swoje pragnienia. Przynajmniej na razie.

- Co z tobą, u diabła? Jesteś dziewczicą, czy

189

co? - warknął gniewnie i uderzył ją w brzuch bez śladu czułości. Nie zszedł z niej jednak.

- Nie - była bliska łez. - Ale zrobiłeś mi krzywdę i robisz to nadal.

Ręce Johnny'ego przesunęły się na jej ramiona i nadal podtrzymywały ciężar ciała. Twarz miał ukrytą w cieniu, lecz Lucy wiedziała, że maluje się na niej gniew.

- Nie zabijaj mnie, proszę. Pozwól mi odejść.

- Ty gruby niechluj - syknął. - Prawdziwa flądra, najgorsza jaką kiedykolwiek miałem.
- Pozwól mi odejść. Proszę. - Czuła, że za chwilę zacznie płakać. Może wtedy ją puści.
- Jeszcze nie skończyłem. A ty nawet nie zaczęłaś.
- Nie mogłam... słuchaj!
- Nie dam się na to nabrać, kochanie. Wciąż to samo, hałas i szmery. Trzęsiesz się jakby cwałowały obok wielkie zwierzęta, a przecież to głupie osły.
Nagle przeraźliwy dźwięk rozdarł tę niespokojną ciszę. Dotarł do nich zwierzęcy krzyk bólu, który urwał się nagle, a potem powrócił, znacznie głośniejszy, bardziej przerażający. Wtórowały mu uderzenia kopyt. Odgłos bijatyki.
Klik - klik - klikety - klik!
Dwoje ludzi zamarło. Sparaliżował ich strach przed nieznanym niebezpieczeństwem. Gdzieś w ciemności zwierzęta galopowały dziko, ryczały,
190

szamotały się i padały. A słaby powiew od morza przyniósł odór gnijących roślin, jakby butwiejące wodorosty wyciągnięte zostały na brzeg.
Lucy zaczęła się szamotać, wyginała się na wszystkie strony, aż zdołała się uwolnić. Dookoła działo się coś straszego, ale w ciemnościach nie mogli nic dostrzec. Chwyciła Johnny'ego, szlochając.
- Nie zostawiaj mnie Johnny. Och proszę, nie zostawiaj mnie!
- To osły - wymamrotał. - Pewnie walczą ze sobą. Wracajmy. Klikety - klik.
- Nie wiem, ale chodźmy. Jeśli pójdziemy wzdłuż tego ogrodzenia, to dotrzemy do bramy.
I wtedy zobaczyli kraby. Małe oczka poruszały się na czulkach, tuzinami wyłaniały się z ciemności jak pary świętojańskich robaczek, mrugając diabelskim ogniem, przypominającym piekielne żużle. Lucy krzyknęła. Jej partner próbował się od niej uwolnić. Niech to cholera, jeśli przyklei się do niego tak jak teraz, to nie będą w stanie nigdzie uciec.
- Są... są oczy! - krzyknęła znowu.
- Oczy osłów - próbował przekonać sam siebie, dostrzegając, że obie drogi ucieczki były odcięte. Pozostała tylko jedna możliwość. - Przechodź przez płot. Tamtędy za nami nie pójda.
Klik - klik.

191
Drut kolczasty wbijał się głęboko w dłonie, ale Lucy nie zważała na ból. Skóra rozdzierała się, gdy niezgrabnie usiłowała wciągnąć się na górę.
A gigantyczne kraby zbliżały się, by zabić! Najpierw Johnny'ego. . Dotarł już niemal do szczytu płotu, gdy poczuł, że coś chwyciło go za nogę, coś ostrego jak brzytwa objęło i cięło, wyrzucając go jednocześnie w powietrze. Jeszcze jedno cięcie i wypuściwszy drut z ręki, upadł prosto na krwawiący kikut. W chwili gdy próbował krzyknąć, kraby zbliżyły się do niego i przygwoździły go do ziemi. Straszliwe szczypce opadły na twarz, wyrwały oko, a potem złamały mu prawe ramię tak, że zwiślało beużytecznie. Dzikie, pełne złości pchnięcia; nigdy już nie zdoła wydobyć z siebie krzyku, gardło zostało głęboko rozcięte, bluznęła z niego krew.
A mordujące kraby kochały zapach i smak krwi; doprowadzał je do szaleństwa. Osły zaostrzyły zaledwie szaleńczy apetyt potworów, teraz pragnęły ludzkiego ciała.
Lucy przywarła do trzęsącego się ogrodzenia. W ciągu tych paru sekund księżyc wyszedł spoza gór i, jakby chcąc wzmoczyć jej przerażenie, rzucił swe srebrzyste światło na łąkę.
Zobaczyła kraby, większość z nich ucztowała wciąż wśród poszarpanych ciał osłów. Zaledwie

192
kilka oddzieliło się od reszty, odkrywając dwoje ludzi. Z Johnnym już skończyły, teraz pragnęły Jej.
Druć ugięły się. W rozpaczliwym odruchu samoocalenia zaczęła wspinać się na siatkę, aż kolce wbijały się w jej ciało, jakby próbując uchronić ją od upadku. Krzyczała, charczała i płakała. Gorący mocz ściekał jej po nogach.
Wielki krab wysunął się przed inne i zatrzymał o kilka jardów od dziewczyny. Odrażający łeb zdawał się cały marszczyć w pełnym pożądania uśmiechu. Inne skorupiaki trzymały się z tyłu. Żaden nie odważył się pozbawić przywódcę należnej mu zdobyczy.
Jak kot igrający z myszą, Król Krabów, znęcał się nad Lucy. Z powolnym okrucieństwem wysuwał ku niej szczypce, patrząc jak starała się skurczyć. Rozdrapywał jej łopatki i pośladki. Jednym ruchem rozkrwawił jej pierś, ciągnąc czerwoną linię przez cały brzuch, jak chirurg przygotowujący operację. Zatrzymał się na kępie szorstkich włosów, uchwycił je mocno i wyrwał. Lucy wrzasnęła z bólu, upadłaby gdyby nie kolce wbite w jej ciało i ramiona, rozłożone jak po ukrzyżowaniu. Pragnęła zamknąć oczy, nie widzieć tego wszystkiego, ale jakaś straszliwa siła zmuszała ją do patrzenia.
Straciła całą nadzieję. Przez całe życie bała się śmierci, teraz pragnęła jak najszybciej umrzeć.

7 - Zew krabów 193
- Zabij mnie, proszę!
Krab dotknął jej znowu. Zdawał się być zaciekawiony ludzką anatomią. Klując i tnąc szczypcami wypuszczał coraz więcej krwi. Głowa Lucy opadła, a oczy zamknęły się w momencie, gdy straciła świadomość.
Król Krabów zdawał się rozumieć, że nie chciała dłużej uczestniczyć w tej krwawej i koszarnej grze, że nie miały sensu dalsze tortury. Szczypce uderzyły znowu, tym razem jakby ze złością, i wypatroszyły dziewczynę jednym pociągnięciem. Wnętrznosci wylały się z otwartego brzucha i kołysały się łagodnie drażniąc napastnika.
Zaczęła się odrażająca uczta. Monstrualny krab chwycił kołyszące się wnętrznosci w pysk, połykał śluzowate, gorące jelita w sposób przypominający ludzi jedzących spaghetti. Hałaśliwie. I bez pośpiechu.
Nagle oślepiające światło rozjaśniło pole, silny ręczny reflektor wydobył z ciemności wiszące, okaleczone ciało dziewczyny. Rozległy się krzyki przerażenia i niedowierzania. Ktoś wystrzelił, ale kula odbiła się od pancerza, nie czyniąc krabowi żadnej krzywdy. Zabrzmiały dalsze strzały i jeszcze następne.
Król Krabów odwrócił się powoli i wzrokiem nie znośnym sprzeciwu spojrział na swoją sforę. Wiedział, że pragną ludzkiego ciała i krwi, ale

194
pewny był też posłuszeństwa bez zastrzeżeń, gdyż takie było prawo głębin, gdzie władzę sprawowała siła.
Kraby były rozczarowane, gdy zobaczyły, jak zawraca, ale nie kwestionowały jego decyzji. Wiedziały, że powrócą tutaj, gdy ich przywódca będzie miał na to ochotę. Na pewno nie wcześniej.

Dzień był już w pełni, gdy Jean Ruddington otworzyła oczy. Przez jakiś czas leżała w pogniecionej pościeli, próbując zebrać myśli. Minęła noc, a ona wciąż jeszcze żyła. Spróbowała się poruszyć, ale na twarzy pojawił się grymas bólu. Wczorajsza noc wyczerpała ją do cna. Dziwne, że jeszcze jest przy zdrowych zmysłach.

Uda i brzuch piekły ją i bolały, choć nie były poparzone. Widziała jednak pęcherze, skrzywiła się, gdy na nie spojrzała, ale nie wyglądały gorzej niż po intensywnym opalaniu. Miała szczęście:

to, że żyła było podarunkiem losu.

Z wysiłkiem wstała i podeszła do okna. Jezu, co za widok! Przystań i dolna część Marinej Parady, aż do miejsca gdzie kiedyś było wesołe miasteczko, zostały obrócone w ruinę, która wciąż jeszcze tliła się i dymiała. Wszędzie błyskały niebieskie światła straży pożarnej i policji. Karetki na sygnale przeciskały się przez tłumy gapiów. Nie było jednak śladu krabów. Powróciły do swojej morskiej kryjówki. Nie dlatego, że zostały

196

zmuszone, ale po prostu zaspokoili swoją żądzę zniszczenia. Na jak długo? Barmouth będzie lizało teraz swoje rany i czekało aż wróca. Odwróciła się i poszła do kuchni, by poszukać kawy. Napełniła czajnik wodą i postawiła na maszynkę. Znalazła puszkę, wypełnioną do połowy rozpuszczalną kawą i mleko w proszku. Na stole leżała połówka czerstwego chleba, ale nie była głodna. Po tym, co zobaczyła ostatniej nocy, na długo straciła apetyt.

Mimo wszystko musiała podjąć jakieś decyzje. Po pierwsze, nie mogła tutaj zostać. Potrzebowała ubrania. Może znajdzie się tu coś z garderoby Gerry'ego, na razie musi to wystarczyć. Na myśl o jego ubraniu ogarnęło ją obrzydzenie, poczuła się tak, jakby był przy niej.

Ogarniał ją gniew. Zaczęła się obwiniać. Wdała się w ten cały interes tylko po to, by zabawić się z tym cholernym rozwodzicielem hot-do-gów. A mogła zostać na kempingu i przespać się z naprawdę miłym strażnikiem. Jezu, jak cholernie jej czasem odbija.

Coś było nie w porządku; dopiero po kilkunastu sekundach zorientowała się, że woda w czajniku nie gotowała się, mimo że kuchenka była włączona. Nie było prądu. Kraby pozrywały przewody. Wyciągnęła szklanekę, napełniła do połowy wodą i wypila. To musi na razie wystarczyć.

197

Wysypała na podłogę zawartość szuflad komody w sypialni. Ten skurwiel będzie mógł to pozbierać, jeśli kiedykolwiek wróci. Znalazła parę dzinsów i koszulkę. To było za duże o kilka numerów, tak jak się spodziewała. Cóż, przynajmniej nie podrażni poparzonej skóry. Będzie jej wygodniej, niż we własnym, obcisłym ubraniu. A im mniej ciuchy Gerry'ego będą dotykać jej ciała, tym lepiej.

Dokąd teraz? Do Blue Ocean? Zamyśliła się. Powrót tam przypominał wpadnięcie z deszczu pod rynnę. Gordon? Były tuziny Gordonów, tak samo jak były tuziny Gerry'ch. Jedni mili, inni - gnojki. "Następnym razem znajdź sobie miłego faceta, kochanie" - pomyślała. Na razie jednak nie miała ochoty na mężczyzn. Ani na kobiety. Chciała odpocząć nie zaczepiana przez nikogo. ani przez mężczyzn... ani przez bestie!

Nie miała już pracy na zrujnowanym kempingu, więc po co miała tam wracać? Zastanawiała się, czy armia przepuszcza pieszych idących w przeciwnym kierunku; sensowne byłoby uwalnianie się od urlopowiczów i powstrzymanie przyjezdnych poszukujących sensacji. W tamtej części wybrzeża sytuacja była inna, wszyscy chcieli się teraz dostać do Barmouth, a to spowodowałyby zamieszanie i bardzo przeszkadzałyby wojsku w przywróceniu porządku.

Rany dokuczały jej coraz mniej. Były trochę

198

zabrudzone, co mogło grozić tężcem. Nie była jednak w stanie ich oczyścić. Zapadła w odrętwienie. Człowiek zawsze myśli, że nic mu nie będzie. Tak też pomyślała większość urlopowiczów, dopóki to się nie stało...

Zeszła na dół i wyjrzała na ulicę. Boże, co za smród. Jakby ktoś palił sterty starych płaszczy i dorzucił kilka zdechłych psów na tłący się stos. W powietrzu unosił się odór palonego ciała! Zwymiotowałyby, gdyby nie pusty żołądek.

Miasto w tej części, gdzie się zatrzymała było prawie puste. Wszyscy pobiegli na miejsce tragedii. Chryste, trzeba być chorym, by stać i patrzeć na to. Diabelnie chorym!

Dokoła same pożary. Gdy podniosło się oczy, tak by zniknęły ruiny nabrzeża, widziało się idylliczny obrazek: złocistą plażę, a poniżej błyszczące, błękitne morze. Przerazenie ogarniało jednak na myśl o tym, co znajduje się pod jego powierzchnią.

Coraz bardziej stroma droga, wzdłuż której hulał wiatr, biegła wzdłuż wybrzeża. Jean szła do wolności i spokoju. Jeśli tylko mnie przepuszczą! Powróciło napięcie, ogarnęły ją niespokojne myśli. Więcej niż depresja, jakies złe przeczucie. Nerwy miała napięte, i stąd to wszystko. Czują, że przydarzy jej się coś strasznego.

Zastanawiała się, czy nie zawrócić. Cholera, pozbieraj się do kupy, ty głupia dziewucho i

199

przestań ulegać dziecięcnym strachom. Jeśli wrócisz do miasta, masz szansę, że znów przydarzy ci się coś okropnego: te kraby wróca, to pewne.

Dlaczego nikt nie szedł tą drogą? Czy dlatego, że wszyscy jak upiory zebrali się na miejscu pogromu, by rozkoszować się myślą, że ich to ominęło? Nie są lepsi od krabów. Idź dalej.

Dudnienie za nią, sprawiło, że przycisnęła się do nierównej powierzchni skarpy przylegającej do drogi. Ciężka, sześciokołowa ciężarówka, okryta plandeką podjeżdżała pod górę. O mało nie wyciągnęła ręki, by ją zatrzymać. Nie rób z siebie dziwki. Czy nie miałaś dość zabaw z mężczyznami, czy to nie one właśnie wciągnęły cię w cały ten bałagan?

Pomalowany w barwy ochronne pojazd zrównał się z Jean. Nie przyjmie propozycji podwiezienia, nie ma mowy.

Wóz wyprzedził ją i kierowca musiał znowu zwolnić. Spojrzała na tył ciężarówki. Silnik pracował na wysokich obrotach, by samochód mógł podjechać na szczyt wzniesienia. Wiózł betonowe bloki; widać poważnie potraktowali blokadę dróg, te bloki nie mogły służyć do niczego innego.

Znów to przeczucie. Po grzbiecie przebiegły ją ciarki, zadrzała. Twoje nerwy są naprawdę w złym stanie, dziewczyno.

Spóźniony szok. Powinnaś brać valium, tak jak to robiłaś przez kilka

200

miesiący po wypadku samochodowym. Wciąż na nowo przeżywasz to zdarzenie, każdy detal, budzisz się ze snu z krzykiem. Słyszysz piszczące hamulce, widzisz jak ciężarówka zbliża się coraz bardziej... i bardziej...

O Jezu, ta ciężarówka jechała prosto na nią!

Wszystko odbyło się jak na zwolnionym filmie. Cały świat zwolnił i gdyby Jean Ruddington nie poddała się temu, może by się udało jej uskoczyć na bok. Ta wojskowa ciężarówka tak przypominała tamtą! Coś się chyba zepsuło, może pękł wał napędowy, albo hamulce nie wytrzymały tak dużego obciążenia. Kilka bloków wysypało się pod ciężarówkę, o mało jej nie przewracając.

Ale nie, potoczyła się w tył, nabierając szybkości.

Kierowca wiedział, że się rozbije. Skręt w prawo oznaczał staranowanie bariery i upadek w przepaść do rzeki płynącej poniżej. Skręt w lewo - zderzenie ze skarpą. Może nie jest za późno, uderzenie nie będzie zbyt .silne. Musiał podjąć błyskawiczną decyzję.

Skręcił mocno w lewo! Nie zauważył nawet dziewczyny, którą wyprzedził przed chwilą. Myślał tylko o gigantycznych krabach.

Ręce Jean Ruddington uniosły się, jakby nagle została obdarzona niezmierną siłą, dostateczną by złagodzić niszczące uderzenie, zatrzymać ciężarówkę. W porządku, żołnierzu, nie pozwolę na to. Po prostu chcę żyć. Ale zamiast tego umrę!

201

Drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się i żołnierz wypadł na drogę. To go ocaliło, gdyż ciężarówka zwinęła się w harmonię,

a ciężkie bloki zmiażdżyły kabinę, rozsypując się dookoła. Z rumowiska unosił się pył zakrywający przerażającą scenę.

Kierowca, oszołomiony, leżał na drodze. Pomimo wstrząsu wiedział, że żyje i nie jest ranny z wyjątkiem kilku drobnych zadraśnień. Nic mu nie będzie, naprawdę.

A potem zobaczył szkarłatną strużkę wypływającą spod wraka, wąski strumyczek spływający w dół jakby chciał, zgodnie z prawami natury połączyć się z rzeką.

Potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że to krew. A potem stracił przytomność.

- No - profesor Cliff Davenport spojrział znad biurka w obecnej kwaterze głównej w Bar-mouth, na pobrużdżoną twarz

Grisedale'a, szefa Ministerstwa Wojny. - Jakie są najnowsze wiadomości?

Grisedale odłożył właśnie słuchawkę. Zrobił to wolno, jakby ta prosta czynność była, najważniejszą rzeczą na ziemi. Wpatrywał się z napięciem w telefon, który za chwilę może znowu zadzwonić. Rozważał czy nie zdjąć słuchawki z widełek, odłożyć na biurko, co pozwoliłoby mu zamknąć oczy chociaż na pięć minut. Podrzemac. Pięć minut na

202

trzydzieści sześć godzin pracy, tego nie powinni mu żałować. A jednak nie zrobił tego, gdyż byłoby to naruszenie przepisów, zwłaszcza, że dotyczyło tak wysokiego rangą urzędnika.

- Powiesz mi w końcu? - Davenport ożywił się nagle, całe zmęczenie z niego opadło. - Co się wydarzyło?

- Grupa krabów wyszła na brzeg przy Blue Ocean. Te przebiegłe diabły nie próbowały nawet przejść falochronu, jak się tego spodziewaliśmy. Te skurwiele myślą niemal jak ludzie, Cliff! Wyszły na brzeg około dwóch mil od kempingu i dotarły lądem do zewnętrznego ogrodzenia! To jest niesamowite, przeszły całe dwie mile po lądzie; to stawia całą inwazję w nowym, niepokojącym wymiarze! Zdaje się, że wpadła na nie grupa facetów, którzy próbowali uciec z kempingu wybrzeżem. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły tego zdarzenia. Prawda?

- Nie - twarz Davenporta skrzywiła się. - Ale co stało się poza tym? Czy zaatakowały kemping?

- I tak i nie - Grisedale ściągnął usta. - Doszły do dużego pola na krańcu kempingu, gdzie były trzymane osły. Zmasakrowały zwierzęta i zabiły pechową parę, która leżała w wysokiej trawie, nieświadoma zbliżania się krabów. Hałasy przyciągnęły uwagę żołnierzy. Strzelili parę razy, ale kraby zawróciły i powędrowały z powrotem

203

do morza. Na miłość boską dlaczego, Cliff? Doszły tak daleko i miały w zasięgu kemping, dlaczego więc te diabły odeszły po paru strzałach, skoro, jak wiemy, są zdolne do przewrócenia czołgu i ciężka artyleria niczym im nie szkodzi? Powiedz mi to jedno!

- Myślę, że nie uciekły - botanik uśmiechnął się krzywo - znamy je na to za dobrze, jak już powiedziałeś. Zaczynamy je też trochę rozumieć. Sądzę, że sprawdzają swoje możliwości na suchym lądzie. Ten atak był eksperymentem i doszedłszy do tego pola, może zdały sobie sprawę, że nie mogą dłużej wytrzymać bez słonej wody. Najadły się już, zarówno ludźmi, jak i osłami, więc były w miarę spokojne. Dotarły do pierwszej linii oporu i zawróciły.

- Dobrze pomyślane - Grisedale nagryzmolił coś w swoim notatniku. - A teraz zobaczmy, czy poradzisz sobie z następną kwestią. Wiemy, że jest wielki krab, znacznie większy niż reszta, ten którego przeżyłeś "Król Krabów". Według raportów ten skurczybyk był widziany w dwóch miejscach jednocześnie. Prowadził grupę, która dotarła do kempingu!

- Mój Boże! - Davenport zeszytniał, a jego twarz pobladła. - Miałem nadzieję, że właśnie to nie jest możliwe! Módlmy się, żeby chodziło tylko o pomyłkę w identyfikacji!

- Co u diabła masz na myśli?

204

- Nie wiemy do jakiej wielkości mogą urosnąć te mutanty, prawda? Może ich obecna wielkość jest połową tej, którą mogą osiągnąć! Wyobraź sobie, że dotąd tylko jeden, czy dwa rozwinęły się w pełni. Myślałem, że ten jeden to fenomen, ale wyobraź sobie, że tak nie jest i że jest ich więcej. Samców i samic zdolnych spłodzić kolejne pokolenie, podczas gdy te, które są, będą nadal rosły i szalały na naszym wybrzeżu. Chryste, może to, co dotąd widzieliśmy jest wierzchołkiem góry lodowej? Miejmy nadzieję, że się mylę, i że ktoś przesadził z tymi rozmiarami!

Wargi Grisedale'a ściągnęły się w cienką, bez-krwistą linię. Zaschło mu nagle w ustach, a skóra zaczęła cierpnąć. Teoria Davenporta była zatrważająca! Gdyby ją rozważać, można by wylądować w domu wariatów, widząc wokół siebie gigantyczne kraby, niszczące wszystko i wszystkich.

- Wracam do Lianbedr. - Davenport podniósł się zmęczony. - Jeśli będziesz mnie potrzebował, zadzwoń do hotelu Yictoria. A jeśli chcesz mojej rady, to odpocznij trochę.

Grisedale kiwnął głową, patrząc jak profesor opuszcza pokój, a potem zamknął za nim drzwi. Cliff Davenport wygląda jakby przeżył dziesięć lat w ciągu ostatnich paru dni - pomyślał. Na pierwszy rzut oka wzięłbyś go za czterdziestopię-ciolatka. Sprawy musiały stać naprawdę źle, jeśli

205

doprowadziły takiego faceta jak Davenport, do takiego stanu.

Człowiek z ministerstwa spojrzął na notatki zrobione podczas rozmowy telefonicznej z pułkownikiem Matthews'em. O jednej

sprawie zapomniał powiedzieć Davenportowi; ugryzł się w język z irytacji. Ci głupi żołnierze załadowali nadmiernie ciężarówkę betonowymi blokami i kierowca stracił nad nią panowanie na stromym wzgórzu niedaleko Barmouth. Teraz mają solidną blokadę tam, gdzie jej wcale nie chcieli!

Dziewczyna, która szła tamtędy, została zabita, a jej ciało nie nadawało się do identyfikacji. Trzeba było uodpornić się na śmierć w okolicznościach takich jak te. Bardzo dużo ludzi uznano za zaginionych, szczególnie od czasu, gdy pokazały się kraby. Znajdowano też zniekształcone ciała, których nigdy w życiu nie da się zidentyfikować. Nigdy. Trzeba się liczyć, że nie rozpoznanych ofiar będzie coraz więcej, zanim się to wszystko nie skończy. Jeśli w ogóle się skończy!

Grisedale zamknął notatnik, wyciągnął się na krześle i postanowił przymknąć oczy na kilka minut. Dopóki znów nie zadzwoni telefon.

Tak, zapomniał powiedzieć Cliffowi Davenportowi o wypadku, ale profesor pewnie i tak nie byłby tym zainteresowany. Miał zresztą dość na głowie. Tak jak i wszyscy.

Rozdział 15

Wtorkowe popołudnie - Blue Ocean

Gordon Smallwood pogodził się z faktem, że nie uda mu się uciec przed krabami. Umrze jak Charlie i inni; zmówił szybką modlitwę (nie był religijnym człowiekiem, ale w głębi duszy wierzył w Istotę Boską), prosił by koniec nadszedł szybko i był możliwie bezbolesny.

Słyszał stukanie ich odnóży po powierzchni skały, podniecony klekot szczypiec. Niech to diabli, gdyby ten cholerny imbecyl nie uderzył go, mógłby przeskoczyć rozpadlinę, która nie była szersza niż metr. A tak, dostał zawrotu głowy, potknął się, skręcił kostkę i spadając uderzył o coś głową. Ten cholerny dzieciak był zagrożeniem dla otoczenia i nie powinien wychodzić bez opieki. Cóż, nie będzie sprawiał więcej kłopotów. Tak samo jak nie będzie miał ze sobą kłopotów Gordon. Miał przed sobą raczej sekundy życia niż minuty.

Roześmiał się; było w tym więcej ironii niż hysterii. Lepiej by zrobił, pozostając na kempingu. Coś przydarzyło się Jean Ruddington, czuł to.

207

Cokolwiek się stało, nie zobaczy jej już nigdy. Jeżeli jeszcze żyła, to i tak nie wróci. Mógł ją teraz przejrzeć na wylot, zobaczył wiele rzeczy, na które wcześniej był ślepy. To nie była miłość lecz zaślepienie; sposób w jaki podniecała go swoim ciałem sprawiał, że nie zauważał jej wszystkich wad. Może nie zawsze była taka. Przed wypadkiem samochodowym mogła być zupełnie inna i dopiero śmierć męża zmieniła jej osobowość. Sympatia, nie miłość, to było właśnie to, co do niej czuł. Ogarnął go smutek, ale miał nadzieję, że minie szybko. Teraz myślał o Irey, ale to też nie przynosiło mu ulgi. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyż wkrótce umrze. Jej los będzie podobny, gdy kraby zaatakują kemping. Wszyscy umrą.

Było całkowicie ciemno; co stało się z księżycem? Próbował cokolwiek dostrzec, ale było to niemożliwe. Tylko smolista czerni. Niebo musiało się zachmurzyć. Nie, nie powinno, bo gdy słuchał radia w pokoju Irey, nie zapowiadano zachmurzenia. Było wciąż gorąco, na deszcz nie można liczyć.

Próbował się ruszyć, ale nie było to możliwe. Czuł się jak uwięziony w zbyt wąskiej marynarce. Roześmiał się bezmyślnie. Czyżby stał się majaczącym szaleńcem, którego zwięzali i zamknęli w domu wariatów w ciemnym pokoju. A może kraby istniały tylko w jego wyobraźni, zwariowana

208

halucynacja, która dla niego stała się rzeczywistością.

Klik - klik - klik - klikety - klik.

A jednak były rzeczywistością, słyszał je. Blisko. Odgłosy drapania, jakby próbowały rozsadzić skałę. Dlaczego, do diabła, nie skończyły z nim jeszcze?

Gra, oto czym to było, sadystyczna gra. Odnosił wrażenie, że zamierzały przywieść go do szaleństwa. Dokoła czuł wibrację, solidna skała drżała pod ich cielskami. Dochodził go ich zapach. Zaciął nos, próbując powstrzymać oddech i nie wdychać tego plugawego odoru. Jak gnijące wodorosty. W końcu musiał jednak odetchnąć, a po chwili przyzwyczał się do otaczającego go smrodu.

Wciąż jeszcze tu były. Słyszał desperackie drapanie. Coś posypało się na niego i musiał wypluć kamienny pył. Miał go również w oczach.

Stukot szczypiec zaczął zamierać, a wibracje słabnąć. Nadstawił uszu i wyłowił wiele głosów, z których część przypisywał swojej wyobraźni. Dlaczego nie zabiły go jak Charliego i pozostałych? Nie znalazł na to odpowiedzi.

Ogarnęło go zmęczenie. Obolałe ciało pragnęło snu, oczy zaczęły mu się zamykać. Jeśli zaśnie, będzie to bez znaczenia; może wtedy zabiją go i nie zauważą śmierci?

Miał dziwne, niespokojne sny, na wpół realne,

8 - Zew krabów

209

jak dziecko majaczące w gorączce. Odległe strzały, pełne przerażenia głosy zwierząt. I znowu klekotanie, wibracja skały pod ciężarem powracających krabów. A potem cisza, bardzo długa cisza.

Obudziło go delikatne, szare światło wstającego dnia. Zmusiło do otwarcia oczu i przypomnienia sobie ostatnich wydarzeń. Po kilku minutach zdał sobie sprawę, gdzie jest i dlaczego jeszcze żyje i dlaczego gigantyczne kraby go nie zabiły.

Leżał w wąskiej, skalistej rozpadlinie, zaledwie nieco szerszej niż jego ciało - tej, którą usiłował przeskoczyć! Zapewne wpadł w nią na głębokość kilku stóp i leżał poza zasięgiem szczypiec krabów! W końcu skorupiaki poddały się i ruszyły gdzie indziej, a po jakimś czasie powróciły. O Boże, na kempingu wszystko mogło być już zniszczone, pozostały pewnie tylko ruiny i poszarpane ciała. Irey!

Teraz, gdy Gordon wiedział już gdzie jest, mógł spróbować się uwolnić. Był posiniaczony i podrapany, ale wiedział, że nie zламаł żadnej kości. Lewa noga w kostce była uwięziona w wąskiej szczelinie, ale udało mu się ją uwolnić. Całe ciało bolało go, jakby ktoś wbijał w nie szpilki.

Pocił się, czekając aż odzyska normalne krążenie.

W ścianie skalnej znalazł dobre oparcie dla rąk i bardzo powoli wciągnął się na górę, a potem rozejrzał. Opustoszała skalista plaża, fale

210

chlupotały o brzeg. Ani śladu krabów, żadnego dowodu na to, że tutaj były. Żadnych resztek krwawej rzezi - były najdoskonalszymi padlinożercami, nie pozostawiały nic dla ptaków.

Słońce wschodziło właśnie nad Cader Idris, zalewając góry delikatnym, złocistym światłem. Stado mew głośno skrzeczało.

Było tak spokojnie, że nocna rzeź wydawała się koszmarnym snem. Gdyby nie ubranie w strzępach i posiniaczone, poranione ciało...

Gordon odpoczął kilka chwil, by minął zawrót głowy, zanim spróbował wstać. A potem ruszył w drogę powrotną do Blue Ocean.

- Jesteś zwolniony - Miles Manning chrząknął, a popiół z jego ogromnego cygara kiwającego się między wargami opadł na biurko. - Widać, że nie chcesz tu pracować, a poza tym mieliśmy dużo kłopotu, by znaleźć za ciebie zastępstwo na wczorajsze przedstawienie. Więc możesz się stąd wynosić Smallwood.

- To świetnie - Gordon wpatrywał się spokojnie w Amerykanina. - Jestem z tego zadowolony. Może mógłbym dostać przepustkę, aby przepuszczono mnie przez blokady.

Coś nieokreślonego błysnęło w oczach Man-ninga, a potem zgasło.

- Nikt nie może opuścić kempingu. Będziesz musiał zostać tutaj jak wszyscy, dopóki blokady

211

nie zostaną zniesione. Weź tygodniową wypłatę i zabierz swoje rzeczy z kwatery. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - westchnął Gordon. Pragnął tylko wziąć prysznic, zmienić ubranie i zapaść w długi sen. - Ale mam nadzieję, że orientuje się pan, Manning, że kemping wystawiony jest na ciosy. Może pan wzmocnić falochron tak, że będzie większy i silniejszy od Muru Hadriana, a tymczasem kraby zajmą kemping od strony łądu.

- Zajmij się sobą - z cygara opadł znów popiół, rozsypując się w powietrzu i opadając na dokumenty i broszury. - Mamy wszystko pod kontrolą, damy sobie z nimi radę. Przesłoń się wtrącać, bo inaczej doprowadzę cię na policję.

- Będę w pobliżu - Gordon ruszył ku drzwiom. - Ale nie dłużej niż to będzie konieczne, a gdy już wydotanę się stąd, moja noga więcej nie postanie w tym przekłętym przez Boga miejscu.

Po wyjściu Gordona Smallwooda, Miles Manning usiadł przy biurku i patrzył bezmyślnie w ścianę. Niedopałek cygara zwilgotniał i z trudem ponownie go zapalił. Ten pajac wiedział zbyt dużo i z pewnością będzie rozpowiadał po kempingu różne historie na temat braku zabezpieczenia od strony łądu. Niech go diabli! Choć i tak wszyscy już o tym pewnie wiedzieli.

Ciągle to samo, nic nie można było poradzić na to, że Blue Ocean miał swoją achillesową pię-

212

tę. Dlaczego, u diabła, kraby zawróciły ostatniej nocy? Powinien skontaktować się z profesorem Davenportem. Tylko on mógł znać odpowiedź na to pytanie. Siedzieli tu jak kaczki wystawione na strzały. Władze grały na zwłokę, codzienne biuletyny miały uspokoić turystów, dać im nadzieję. Może jutro drogi zostaną odblokowane i wszyscy będą mogli pojechać do domu. Ale mogą minąć również tygodnie, miesiące, a każdej nocy grozi im atak, rzeź jeszcze większa niż na Wyspie Muszli czy w Barmouth.

Obóz śmierci, gorszy od tego, co kiedykolwiek wymyślili naziści albo Japończycy.

Podniósł słuchawkę i z ulgą usłyszał sygnał. Przynajmniej coś jeszcze działało. Ale po chwili ogarnęła go irytacja, gdyż Davenporta nie było w głównej kwaterze w Barmouth. Odłożył słuchawkę i wykręcił numer hotelu Yictoria w Lianbedr.

- Przykro mi, proszę pana, pan Davenport znajduje się w swoim pokoju, ale polecił, by mu nie przeszkadzano.

- Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Miles Manning.

- Przykro mi, proszę pana, ale...

- Słuchaj, to bardzo ważna rozmowa. Człowiek po drugiej stronie zawahał się. Manning bębnił niecierpliwie palcami w biurko i wiedział już, że Davenport zostanie obudzony. Jego głos łamał każdy opór, nawet przez telefon.

213

- Mówi Davenport - głos był zmęczony i odległy. Można by sobie pomyśleć, że to bełkot pijanego.

- Słyszał pan, co się stało ostatniej nocy - było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Słyszałem. - W słuchawce rozległo się westchnienie pełne irytacji. - Nie wiem więcej niż pan, Manning.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jesteśmy zupełnie niezabezpieczeni od strony łądu, a te skurczybyki z pewnością wrócą dziś w nocy. Będziemy bezbronni, jeżeli armia nie ewakuuje kempingu.

- Powinien pan porozmawiać z Grisedalem, to jego działka. Moim obowiązkiem jest badanie tych mutantów i znalezienie czegoś, dzięki czemu moglibyśmy je pokonać.

- Nie mogę się skontaktować z Grisedalem

- Manning kłamał. Davenport był po prostu jedynym człowiekiem, z którym mógł się dogadać.

- Nie możemy marnować czasu. Jest już prawie południe. Dlaczego lotnictwo nie może stąd zabrać ludzi, użyć helikopterów?

- Na naszym terenie jest mniej niż dwadzieścia helikopterów - warknął Davenport. - Przy maksymalnym obciążeniu, zabierając poza pilotem, pięć osób, ile czasu zajęłoby opróżnienie kempingu? Poza tym, osiem z tych maszyn pracuje dla straży przybrzeżnej i nie możemy ich zabrać.

214

- W ten sposób zostaliśmy uziemieni - Manning ze złością skruszył resztki cygara w popielniczkę i zaczął szukać następnego w cedrowym pudełku, leżącym koło jego łokcia. - Nie ma czasu na budowanie muru obronnego, a poza tym teren jest i tak zbyt duży. A co pan powie o minach antyczołgowych?

- Bez szans. Ministerstwo nie zgodzi się na używanie sieci min na terenie kurortu. Poza tym, jeśli nasza ciężka artyleria nie potrafiła zatrzymać krabów, to i przy pomocy min to się nie uda.

- Więc zostaniemy tutaj jako przynęta dla krabów - ręka właściciela kempingu trzęsła się z wściekłości, gdy zapalał cygaro.

- Mamy nadzieję, że kraby was nie zaatakują.

- Macie cholerną nadzieję. Tak jak i ja.

- Niech pan słucha, Manning. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin spałem dwie i pan właśnie mi w tym przeszkodził.

Ale coś panu powiem. Ruchy krabów podporządkowane są księżycowi, tak się przynajmniej dzieje w przypadku normalnych krabów. Te duże zaczęły szaleć, gdy księżyc był prawie w pełni, a teraz zaczyna się już zmniejszać. Jeśli prawa natury stosują się do tych diabłów, to stracą ochotę na opuszczanie wody. Mamy szansę, że nie będziemy niepokojeni do następnej pełni, a w tym czasie kraby mogą się przenieść gdzie indziej. W każ-

215

dym razie powinno nam się udać wywieźć stąd urlopowiczów i poczynić przygotowania obronne.

- Pewnie, że księżyc blednie - Manning chrząknął - ale wciąż jest na tyle jasny, by oświetlić całą okolicę. Nawet jeśli pańska

teoria się sprawdzi, pozostały im jeszcze dwie lub trzy noce aktywności.

- Grisedale skierował jeszcze jedną kompanię piechoty do obrony kempingu. Wojsko jest przeciążone, ale zrobi wszystko co możliwe. Myślę, że jeśli kraby zaczną przełamywać obronę, żołnierze wyprowadzą wszystkich na drogę, a potem tak daleko w głąb łądu, jak to będzie konieczne. Tak to sobie wyobrażam. Ale niech pan słucha, potrzebuję snu, jeśli mam pracować przez całą następną dobę. Niech się pan nie obawia, władze was tak nie zostawia.

Na pewno nie - pomyślał Manning odkładając słuchawkę. Zapalił ponownie cygaro, wciągnął dym głęboko w płuca, a potem wypuścił go powoli przez nos. Pocił się i nie było to spowodowane tylko upałem. Bolał go brzuch. W normalnych warunkach przypisałby ten stan kolce i pomyślał o skontaktowaniu się z lekarzem, by sprawdzić czy nie ma kamieni żółciowych. Teraz wiedział, że za dobrze czym był spowodowany i nie przyznałby się do tego przed nikim, z wyjątkiem siebie. Jezu Chryste, jestem cholernie prze-

216

rażony! Ale nie wpadnę w panikę. Musi być jakieś wyjście. Musi!

Potrzebował około trzydziestu sekund, by znaleźć drogę ucieczki, która zapewni mu bezpieczeństwo. Nikomu o tym nie powie. Bo gdyby tylko szepnął głośniejszym głosem o swoim pomysśle, na kempingu wybuchnąłby bunt.

Wyszedł na zewnątrz. Ból brzucha minął i życie znów wydało mu się piękne. Kraby wezmą obóz;

nie uśmiechało mu się to wprawdzie, ale było to już zmartwienie agenta ubezpieczeniowego. Będzie potem mógł zbudować nowy kemping, gdzieś gdzie nie będzie krabów wielkich jak krowy.

Poszedł w dół, ku plaży, wspinał się po stopniach z wypełnionych piaskiem worków, jakby sprawdzając z ciekawości obronę.

Patrol rozpoznał go, przepuścił. Nikt go nie zatrzymywał, gdyż był Milesem Manningiem.

Dwadzieścia jardów dalej, opierając się o pomost stała "Ocean Queen". Zawsze wyglądała dobrze, lecz teraz wydawała się po prostu wspaniała. Manning uśmiechnął się z dumą i ulgą. Czyż nie przeszła nieuszkodzona nad krabią armią tej pierwszej nocy? Skoro udało jej się raz, była w stanie powtórzyć ten wyczyn.

Ostonił oczy, próbując zobaczyć łąd mający po drugiej stronie zatoki. Wydało mu się, że dostrzega jego zarys, ale nawet jeśli to był miraż, nie miało to znaczenia. Za zatoką leżały brzegi

217

Irlandii, a "Ocean Queen" była zatankowana do pełna. Gdy tylko kraby się pojawią, Manning szybko stąd zniknie. Sam.

- Przenieś się do pokoju dzieci - powiedziała Irey Wali. - W łóżku Louise znajdzie się dość miejsca dla nas obu. Ty możesz spać na moim, Gordon.

- Będzie mi dobrze na podłodze w śpiworze

- próbował nie okazywać rozczarowania. Do diabła, czego się spodziewał? "Czy będziemy spać razem, Gordon?"

Prawdopodobnie nie przyszło jej to nawet do głowy, była właśnie tego rodzaju dziewczyną.

- Nie ma mowy - odparła niewzruszona.

- Słuchaj - powiedział. - Potrzebuję teraz trochę snu. Jest już czternasta trzydzieści. Jeżeli będę mógł pospać jakieś sześć godzin, to do wieczora będę zupełnie rześki. Nie chciałbym spać w łóżku jeśli...

. Rodney i Louise bawili się w swoim pokoju. Nie chciał ich przestraszyć. Nie wolno było tego robić. A poza tym, była szansa, że kraby nie przyjdą, że oceniły kemping ostatniej nocy i stwierdziły, że nie jest tego wart. Może przeniosą się gdzie indziej. Aberdovey, Towyn, może Har-lech.

- Wyjdę z dziećmi na godzinę lub dwie

- cienie pod jej oczami świadczyły, że nie spała

218

minionej nocy, może nawet płakała. - Ale proszę Gordon, nie odchodź znowu.

- Nie zrobię tego - odpowiedział z nieśmiałą nadzieją. - Ale jeśli przyjdzie najgorsze, ty i dzieci pójdziecie ze mną. Wszystko zależy od tego, co zdarzy się dzisiejszej nocy.

- Dokąd pójdziemy?

- Nie... nie wiem - podniósł głowę, ale nie napotkał jej oczu. - Zastanawiam się nad tym cały czas. Coś wymyślę, nie martw się.

- Czy pójdziemy do wesołego miasteczka, mamusiu? - Louise wbiegła do pokoju, Rodney za nią. Chłopiec był zgaszony, cichy; nic dziwnego po tych straszliwych przejściach. Martwiło to Irey.

- Tak, do salonu gier również.

- Nie chcę iść nad jezioro, mamusiu - twarzyczka Louise spoważniała. W każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem.

- Nie zbliżymy się nawet do jeziora - Irey uśmiechnęła się, ale jej dolna warga zadrżała. - Ani do plaży.

- Czy pojeździmy na osiołkach, mamusiu?

- Zobaczymy - Irey zbladła, zastanawiając się ile czasu minie zanim dzieci dowiedzą się o losie osiołków.

Gdy tylko wyszli, Gordon rozebrał się do podkoszulka i slipek, a następnie rzucił na łóżko. Wyczerpany, pomyślał tylko o jednym. Jean

219

Ruddington nie żyła. Nie wiedział jak to się stało i skąd o tym wie, ale był pewien. Nie będzie dla niego szokiem, gdy przekona się o tym. Smutne, ale życie musi toczyć się dalej.

Tak samo, z niewytłumaczalnych powodów, był przekonany, że kraby zaatakują w nocy kemping. Traktował to jako realne zagrożenie. Musiał wymyślić coś, by zapewnić bezpieczeństwo Irey i dzieciom.

Ale najpierw musiał się przespać.

Rozdział 16

Wtorkowa noc - Blue Ocean

Ricky Winterbottom martwił się nie tylko z powodu krabów. W tej chwili zajmowały one mniej ważne miejsce - największym problemem był Manning.

Rany, szef to prawdziwy skurwiel! - pomyślał. - Potok rozkazów, które wydał, spowodował niemal bunt wśród obsługi kempingu: "Udostępnijcie znowu jezioro, sprowadźcie rezerwowe motorowery na pole, dajcie przedstawienie poranne i wieczorne, w kinach mają być pokazywane dwa najlepsze filmy, miniaturowa kolejka ma kursować do falochronu i z powrotem,

potroić nagrody w bingo, nie zamykać sklepów przed dziesiątą".

Jak to mawia sam szef: "Jezu Chryste!"

Winterbottom znajdował się między młotem a kowadłem, próbując usatysfakcjonować jednocześnie Manninga i obsługę. Nikt nie śmiał iść z pretensjami do szefa, więc całe niezadowolenie wyładowywano na zarządcy. Również funkcjonariusze ochrony burzyli się z powodu niekończących się kolejek przed biurem, gdzie odpowiada-

221

no ludziom, że skoro kraby zmieniły ostatniej nocy zamiar i nie zaatakowały kempingu, to z pewnością i dziś tego nie zrobią. Cholera, prawie wszystkich ogarnęła panika! Dwie osoby zmarły na atak serca z powodu stresu. Ci ludzie to też były ofiary krabów.

- Jak leci, Ricky? - ubrany w śnieżnobiały smoking Miles Manning pojawił się w biurze Winterbottoma. Wyglądał jak brytyjski gubernator jakiejś afrykańskiej prowincji, zasięgający informacji o ilości tubylców zmarłych w wyniku epidemii cholery. Nie interesował się tym ani trochę, ale pytał dokładnie w taki sam sposób. W głębi duszy nie przejmował się ofiarami krabów. Tylko reputacja Blue Ocean miała dla niego jakieś znaczenie. Każdy musi znaleźć jakąś rozrywkę. To była jego dewiza. I rzeczywiście, większość ludzi zapomniała o krabach.

- Wszystko zgodnie z pana zaleceniami, szefie. - Winterbottom miał fatalny zwyczaj drapania się po plecach, gdy był zdenerwowany. - Ale kina są puste, przedstawienie ogląda mniej niż dwadzieścia osób. Ludzie zbierają się i dyskutują o tym, co wydarzy się dziś wieczorem, albo siedzą zamknięci w swoich mieszkaniach. Nie uspokoiili się nawet po przybyciu nowych oddziałów wojskowych.

- Przecież wojsko będzie potrzebne na wypadek pojawienia się krabów!

222

- Na razie jednak denerwują wszystkich, bo ludzie wiedzą, że nawet najpotężniejsza broń nie robi na krabach żadnego wrażenia. A, przy okazji, musimy zabrać motorowki z pola, bo ulokowali się tam żołnierze.

- W porządku - uśmiechnął się Manning i puścił idealne kółko z dymu. - Jeszcze jedno, Ricky. Przyszło mi dzisiaj na myśl, że odkąd się to wszystko zaczęło, nie odwieźliśmy utargu do banku. Trzymanie całej gotówki w jednym sejfie jest ryzykowne. Tłum może się tam wdrzeć i zrabować wszystko.

- Nie sądzę, żeby się to udało. Musieliby znać obie kombinacje, bo bez tego nie dostaną się do środka. Nawet pociski przeciwpancerne nie są w stanie zniszczyć tych nowoczesnych sejfów. Myślę, że nawet kraby nie byłyby w stanie tego dokonać. - Zaśmiał się ze swego wątpliwego dowcipu.

- Sądzę jednak, że powinniśmy zabrać banknoty o wysokich nominałach. Spakuj do walizek dwadzieścia pięć tysięcy: w dziesiątkach, dwudziestkach i pięćdziesiątkach, jeśli takie masz. Przenieś je do sejfów w moim mieszkaniu.

- Chryste, szefie, nie ma potrzeby...

- Spakuj, żebym mógł je zabrać! - warknął Manning.

Ricky Winterbottom wyraźnie zadrzał i już po paru sekundach jego trzęsące palce otwierały

223

zamek szafy sejfowej. Jeżeli szef chciał te banknoty, mógł je zabrać bez problemu. Cholera, w końcu były to jego pieniądze.

Gordon Smallwood poruszył się, przeciągnął i spojrział na zegarek. Było dwadzieścia pięć minut po siedemnastej.

Wyspał się i to poprawiło mu samopoczucie. Był tylko trochę sztywny i obolały, ale nic więcej mu nie dokuczalo. Leżał nasłuchując. Dochodziły do niego słabe odgłosy, jakie latem słychać na każdym normalnym kempingu. Muzyka z wesołego miasteczka przeplatała się z najnowszymi hitami, które puszczano w salonie gry. Irey jeszcze nie wróciła. Prawdopodobnie nie chciała, żeby dzieci przeszkadzały mu w spaniu.

Poszedł do łazienki. Myślał o tym, że najgorsze jeszcze przed nimi. Ludzie ogarnięci paniką, są zdolni do wszystkiego. Może ktoś jeszcze spróbuje ucieczki, a może nauczeni tym, co przydarzyło się Charliemu i innym, pozostaną na miejscu - trudno było odgadnąć.

Wyszedł na balkon. Kilku nastolatków grało na trawie w krykieta. Robili to jednak bez entuzjazmu; grali, bo nie mieli nic lepszego do roboty. Nudzili się. Wiedzieli, że i tak nic nie zmieniają.

Gordon zamknął za sobą drzwi i ruszył wolnym krokiem. Zdecydował, że pójdzie coś zjeść. Nie był głodny, ale - jak chłopcy grający w kry-

224

kieta - chciał znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby nie siedzieć beczynnym. Minął wiele osób, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie myśleli tylko o sobie, modlili się, by to właśnie oni byli tymi, którzy przeżyją.

Bar Cavalier był zatłoczony do niemożliwości, a część gości nawet stała. Przecisnęła się przez tłum przy barze i zamówił piwo. Było kwaśne i niemal ciepłe, zaś pasztecik smakował tak, jakby był zrobiony z tektury. Być może jednak to jego poczucie smaku całkiem się rozregulowało.

Z szafy grającej sączył się jeden przebój za drugim. Nikt nie chciał siedzieć w ciszy. Wszelka konwersacja ustała, bo jedynym tematem były gigantyczne kraby, a teraz nikt nie chciał o nich rozmawiać: Ludzie zrezygnowali z wymyślania sposobów ucieczki, gdyż niemal wszystkie zostały już przez kogoś wypróbowane i kończyły się niepowodzeniem. Musieli w końcu pogodzić się z perspektywą pozostania na miejscu, choć nie było to przyjemne.

Do baru weszło kilku młodych żołnierzy w śmierdzących koszulkach koloru khaki. Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę, a ktoś nawet mruknął: "Ciekawe, po co ich tu ściągnęli?" W ten sposób został głośno wyrażony nurtujący wszystkich niepokój. Człowiek był całkowicie bezradny wobec siły i krwiożerczości krabów.

Gordon skończył swojego drinka i ruszył w

9 - Zew krabów

225

powrotną drogę. Wydawało mu się, że muzyka z wesołego miasteczka stała się nieco głośniejsza. Być może Manning kazał ją puścić na cały regulator. Salony bingo nie były wypełnione nawet w połowie, mimo bardzo atrakcyjnych nagród. Tym razem pieniądze stały się mniej ważne, skoro nie można było kupić za nie bezpieczeństwa.

Irey już wróciła. Rodney i Louise znowu się kłócili w sypialni, więc musiała zamknąć drzwi. Spojrzała na wchodzącego Gordona.

- Jak się czujesz? - zdobyła się na uśmiech, ale Gordon wyczuwał, że jej nerwy są w strzępach. Wydawało mu się, że oczy ma jeszcze bardziej podkrążone niż poprzednio.

- W porządku - odparł.

- Przygotuję ci coś do jedzenia.

- Dzięki, ale już jadłem.

- Niepotrzebnie. I tak muszę przygotować coś dla dzieciaków. Nie mogą jeść tylko lodów i cukierków.

Przez moment trwała niezręczna cisza. Rozmowa nie kleiła się, podobnie jak w barze Cava-lier. Modlił się, by nie zapytała go, czy coś wymyślił. Na szczęście nie zrobiła tego. Domyśliła się pewnie, że żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy.

- Byliśmy w wesołym miasteczku. - Otworzyła lodówkę i wyjęła paczkę zamrożonych krokietów rybnych i chipsy. - Było koszmarnie.

226

Huśtawki szybko znudziły się dzieciom, zaczęły więc bawić się w tych głupich tunelach, które są długie i tak wąskie, że dorosły człowiek może w nich z trudem zaledwie pełzać. Rodney i Louise byli nimi zachwyceni. Wleźli do środka i nie chcieli wyjść. W końcu musiały wczolgać się tam sama i wyciągnąć ich!

Coś zaskoczyło w umyśle Gordona, a po kręgosłupie przeszły mu ciarki; sińce na ciele zabolowały tak mocno, jakby chciały mu przekazać jakiś znak. Jego mózg pracował teraz jak komputer, szukając właściwego rozwiązania. Tunel... ta skalista rozpadlina na plaży... jego ciało wciśnięte między ściany, których wysokość uniemożliwiła krabom poćwiartowanie go.

- To jest to! - rozradowany strzelił palcami.

- Na Boga, to jest odpowiedź na pytanie, które zadawałem sobie przez ostatnie dwie godziny!

- Gordon - spojrziała na niego zaskoczona.

- O czym ty mówisz?

- Możemy przechytrzyć te kraby. Ty, ja i dzieci. Dzięki Bogu, że weszły dziś do tego tunelu, a ty musiałaś dostać się do nich.

- Czy jesteś pewien, że nic ci nie dolega? - jej twarz wyrażała prawdziwy niepokój.

- Od kilku dni nie czułem się lepiej. Pozwól, że ci coś wyjaśnię, zanim zapakujesz mnie do łóżka i nafaszerujesz aspiryną. Żyję tylko dlatego, że wpadłem w skalną rozpadlinę, z której kraby nie

227

mogły mnie wyciągnąć. Tak samo nie dostaną się do nas w tunelu. Musimy się tylko upewnić, czy będziemy mieli dość czasu, by do niego dotrzeć, nim nas dopadną.

- To brzmi zbyt pięknie, aby było prawdziwe. Ale co z innymi?

- Też chciałbym im pomóc, ale w tunelu znajdzie się miejsce tylko dla dwóch, trzech osób. Będziemy musieli być pewni, że jesteśmy dokładnie pośrodku tunelu. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dzieci pójdą spać zaraz po podwieczorku, a ty odpocznij teraz. Księżyc wzejdzie późno, około pierwszej, więc jeśli pójdziemy do wesołego miasteczka o wpół do pierwszej, to z pewnością będziemy tam przed krabami.

- Lepiej przygotuję posiłek. - Podeszła do stołu i zaczęła rozrywać torbę z chipsami. - Myślę, że Rodneya i Louise ucieszy wiadomość, że spędzą noc w tym strasliwym tunelu.

- Nawet jeśli kraby nie zaatakują, to i tak nic nam się nie stanie - zauważył. - A, przy okazji: zmieniłem zdanie i chętnie coś zjem.

Nad Blue Ocean zapadł zmierzch, ale jego nadejście pozostało niemal nie zauważone w powodzi wielokolorowych neonów.

Muzyka wciąż grała, ale bingo świeciło pustkami, a doskonałe filmy grane w kinach, oglądała zaledwie garstka

228

widzów. Ludzie nie dawali się już nabrać na takie chwytły.

Rodziny nie ruszały się ze swoich mieszkań i domków, jakby wierząc w to, że kruche ściany mogą zapewnić im ochronę.

Część urlopowiczów zebrała się nad jeziorem, skąd mieli doskonały widok na dawne pastwisko osłów.

Późnym popołudniem przyjechały dwa czołgi. i ustawiły się po przeciwnych stronach pola. W ten sposób panowały nad całym terenem. Żołnierze ukryli się za zasiekami. Tuzin pancernych samochodów bronił kempingu. Kierujący akcją pułkownik pamiętał również o zabezpieczeniu drogi szybkiego odwrotu, był bowiem świadkiem tego, co działo się w Barmouth.

Światła reflektorów krzyżowały się, oświetlając cały teren tak, że nawet mysz nie prześliznęłaby się tędy.

Policja zamierzała początkowo rozpędzić tłum, ale zrezygnowała z tego. Ludzie w niczym na razie nie przeszkadzali. Broń i zasieki wpływały na poczucie bezpieczeństwa. Tłum z dala od tego miejsca mógłby zachowywać się bardzo kło-potliwie. Ale tutaj, ludzie byli pod kontrolą.

Było pół godziny przed północą. Wszyscy czekali z niepokojem na rozwój wydarzeń. Ponad snopami światel z reflektorów widniało ciemne, bezchmurne i groźne niebo...

229

Miles Manning stał przy ogromnym oknie w swojej kwaterze. Pokój tonął w ciemnościach. Miał stąd doskonały widok na odległe o ćwierć mili pole. Oddychał szybko, jakby był przestraszony, choć nikt, kto patrzył na niego, nie dostrzegłby tego. Nie miało to, co prawda, żadnego znaczenia, gdyż był sam. Nakazał wcześniej Win-terbottomowi, by nikt mu nie przeszkadzał.

Przy drzwiach stały dwie walizki. Manning odwrócił się i spojrzął na ich zarys, ledwie widoczny w cieniu. Sprawdzał wciąż, czy jeszcze tam są. Była to widoczna oznaka jego zdenerwowania. Walizki nie znikają, ot tak sobie, nawet jeśli zawierają dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Tam gdzie pójdzie on, tam pójdą te pieniądze. Powtarzał sobie ciągle, jakby chciał uspokoić sumienie, że pieniądze są jego i nikt inny nie ma i tak do nich prawa.

W myślach był na "Ocean Queen". To był silny jacht i sam sterował nim, dwa czy trzy lata temu, podczas morskiej wycieczki.

Wiedział, że dopłynie na nim do wybrzeży Irlandii i tam zastanowi się, co robić dalej. Miał przy sobie dużo pieniędzy. A pieniądze otwierają wszystkie drzwi.

Spojrzał na odległą, oświetloną scenę przyszłych wydarzeń. Irytowali go żołnierze, którzy chodzili tam i z powrotem za przenośnymi barierami. - Głupki, siadajcie wreszcie i bądźcie cicho! - powiedział na głos i pomyślał jedno-

230

cznie, że jego nerwy są naprawdę w fatalnym stanie.

Przyszła mu do głowy inna myśl. Przypuśćmy, że kraby nie pojawiają się... Cóż, wtedy pieniądze powędrują z powrotem do sejfu, a "Ocean Queen" nadal będzie się kołysać przycumowany do pomostu. Co za cholerna niepewność!

Teraz, gdy trasa jego ucieczki była już wytyczona, Manning przestał obawiać się krabów. Jeśli spustoszą kemping, dostanie za to odpowiednie odszkodowanie, a na dodatek będzie miał te dwadzieścia pięć tysięcy, o których ci od podatków nigdy się nie dowiedzą. Może wtedy wyjedzie do innego kraju.

Spojrzał na zegarek. Było trzydzieści minut po północy. Nagle zaczął się niecierpliwic.

- To będzie dobre miejsce - Gordon Smallwood rozpraszał ciemności wesołego miasteczka swoją latarką, której żółty snop światła padał na okrągłą, betonową rurę o średnicy jarda, wystającą z porośniętego trawą nasypu.

Była brzydka, ale jemu tej nocy zdawało się, że jest niemal piękna.

Przykłąknął, skierował światło latarki do środka. Tunel miał dobre dwadzieścia jardów długości, był więc odpowiedni.

Smallwood wyprostował się i oświetlił teren wokół, wydobywając z mroku

231

przeróżne huśtawki i karuzele. Najważniejsze, że w zasięgu wzroku nie dostrzegł nikogo.

- Jesteśmy tutaj tylko my. - W jego głosie słychać było ulgę. - Miałem taką nadzieję, ale nigdy nie wiadomo. Wygląda na to, że nikt więcej nie wpadł na ten pomysł. Możemy tu poczekać, póki coś się nie zacznie dziać.

- Mamusiu, czy możemy wejść do tunelu? - Rodney, całkiem już rozbudzony, ciągnął Irey za ramię.

- Nie kochanie. Zostaniemy tu trochę. Tam jest ławka, na której będziemy mogli usiąść.

- Dlaczego nie możemy wejść do tunelu? Omal nie powiedziała: "Bo jest tam ciemno i śmierdzi", ale zreflektowała się w

ostatnim momencie. - Mamy przed sobą całą noc. Wejździemy do tunelu później. Nie musimy się bawić bez przerwy, prawda?

- Dlaczego przyszliśmy na huśtawki po ciemku, mamusiu? - Louise zawsze była ciekawa. To, że dziecko ma tak chłonny

umysł, nie było naganne, ale w takich chwilach jak ta, Irey nie wystarczało cierpliwości.

- Wujek Gordon i ja sądziliśmy, że zainteresuje was noc na świeżym powietrzu. Urządzimy tu jakby biwak -' było to wszystko, co zdołała wymyślić na poczekaniu. - A teraz usiądźmy na chwilę na ławce i odpoczniemy. Później może wejździemy do tunelu.

232

Siedli na ławce. Gordon pierwszy, Irey obok, a dzieci niechętnie usadowiły się tuż obok nich. Po kilku minutach nieprzerwanej paplaniny podnieconego rodzeństwa - wszystko ucichło. Dzieci znowu poczuły się śpiące. Nocna wycieczka stała się nagle nudna.

Nagle Gordon poczuł, że ręka Irey znalazła się w jego dłoni, a ich palce splotły się. Serce zaczęło mu szybciej bić. Odwrócił lekko głowę i dostrzegł w ciemności delikatny zarys jej twarzy. Ich oczy spotkały się i ona ścisnęła nieśmiało jego dłoń. O Boże, pragnął tego najbardziej na świecie, a zdarzyło się teraz, w takim momencie... Panowała cisza i każde z nich było zajęte własnymi myślami. Ona rozważała swoje problemy; myślała o dzieciach i mężu, dla którego wędkowanie było ważniejsze od rodziny, o ewentualnym nadejściu krabów...

Gordon właśnie wtedy postanowił pocałować Irey. Zebrał na to całą swoją odwagę, gdyż nie wiedział, jak ona na to zareaguje.

Może powiedzieć na przykład: "Proszę, Gordon, nie. Dzieci mogą nas zobaczyć." Istnieje niezliczona ilość wyjaśnień, których może mu udzielić, skrupowana wpojonymi jej zasadami. Z drugiej jednak strony... Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić, a on musiał wiedzieć. Zbliżył usta do jej warg.

I właśnie wtedy nocna cisza została przerwana wybuchem ciężkich pocisków artyleryjskich.

Rozdział 17

Wczesny ranek w środę - Blue Ocean

Godzina pierwsza czterdzieści pięć. W miarę upływu czasu, żołnierze czuli się coraz bardziej odprężeni. Napięcie opadło z nich trochę, choć nadal byli czujni. Wiedzieli, że zbliżające się kraby zostaną dostrzeżone dość wcześnie w oślepiającym świetle reflektorów. Były celem, którego trudno było nie zauważyć. Żołnierzy niepokoiła jedna tylko myśl: czy pociski znowu okażą się nieskuteczne? Skorupiaki wytrzymały już nie raz ogień ciężkiej artylerii i nie było powodu, by miało się to teraz zmienić. Co jeszcze, prócz bomb atomowych, mogło dać im radę?!

I nagle kraby pojawiły się u wierzchołka trójkąta, utworzonego przez światła reflektorów. Patrzyły na ludzi pełnymi złości, rubinowymi oczkami, które skrzyły się w oślepiającym świetle. Były ich setki!

Miękkość trawy umożliwiła im bezszelestne pojawienie się. Teraz były tutaj, lekceważąc wszystko, czym armia mogła się im przeciwstawić.

Rozbłyły pomarańczowe światła. Ogniki wy-

234

skakujące z luf karabinów maszynowych, skoncentrowany ogień ciężkich dział, grad ołowianych kul, niosły śmierć wszystkiemu, co znalazło się na ich drodze... z wyjątkiem monstrualnych krabów!

Krabby kroczyły naprzód, rozwijając się w tyralierę w miejscu, gdzie pole rozszerzało się. Szereg za szeregiem. A na ich czele szedł stwór, nazwany przez profesora Davenporta Królem Krabów. Wywijając szczypcami, zdawał się wzywać inne potwory, by szły naprzód.

Do akcji wprowadzono granaty i moździerz. Jeden z krabów został trafiony. Przewrócił się i leżał chwilę oszołomiony. Potem dźwignął się z ogromnym wysiłkiem. Jego makabryczna gęba pokryta była śliską, czerwoną miazgą, ale potwór żył nadal!

Kołysząc się na boki, podążył za innymi.

Pułkownik Matthews dał sygnał do odwrotu. Masywne bramy przy drodze wiodącej do Bar-mouth zostały otwarte, oficer ochrony wykrzykiwał przez megafon instrukcje, zastanawiając się, czy ktokolwiek słyszy go w narastającym hałasie. Ci, którzy chcą, mogą uciekać drogą, żołnierze będą ich osłaniać tak długo, jak będzie to możliwe. Pozostali, którzy nie chcą opuszczać kempingu, powinni ukryć się w basenie, pozostać w mieszkaniach lub domkach. "Proszę się pośpieszyć! Nie mamy zbyt wiele czasu. Nie możemy powstrzymać krabów!"

Ogarnięci paniką ludzie uciekali krzycząc i

235

przeklinając. Nie było sposobu na zatrzymanie krabów, można było jedynie próbować usunąć się z ich drogi; tylko to dawało szansę przeżycia.

Arthur i Fay Thompson nie opuszczali mieszkania od momentu, gdy otrzymali wiadomość o losie Benjie'go. Nieustannie toczyli rozmowy, w których smutek przeplatał się z usprawiedliwieniami i pocieszaniem.

- Nie mógłby żyć normalnie - powiedziała Fay ze łzami w oczach. - Wielu mongołów żyje tylko trzydzieści lub czterdzieści lat.

- On nie był mongołem - głos Arthura brzmiał monotonna, był bezdźwięczny i bez wyrazu.

- To wszystko jedno. - Odparła po długiej pauzie. - Może to i lepiej, że tak się stało, nie mógłby być szczęśliwy.

Fay popatrzyła na swojego męża i pomyślała:

„Czy nie widzisz, Arthurze, że jesteśmy nareszcie wolni, po piętnastu latach piekła, i możemy teraz żyć normalnie swoim własnym życiem?” Ale to było coś, czego nigdy nie powiedziała by na głos.

Cały dzień i pół nocy siedzieli uwięzieni w dusznych czterech ścianach, nie jedząc, nie pijąc, nie otwierając nawet okna. Nie spali ani minuty, dręczeni wyrzutami sumienia.

Potem usłyszeli odgłosy ataku krabów i nie-

236

wyraźne krzyki przez megafon, pozwalające im zorientować się w sytuacji. Mogli zostać albo uciekać. Wybór należał do nich. Fay Thompson wstała, musiała przytrzymać się krzesła, by nie upaść. Potem chwiejnie ruszyła przez pokój. Jej mąż milczał, póki nie otworzyła drzwi i nie przekroczyła progu.

- Dokąd idziesz, Fay? - właściwie nie dbał o to, ale wiedział, że pójdzie tam, dokąd ona. Nie robił już tego z miłości, lecz dlatego, że przez lata przyzwyczał się - najczęściej wszędzie chodzili razem.

- Chcę stąd wyjść natychmiast - usłyszał jej szept, a potem odgłosy kroków na drewnianej podłodze ganku.

Szła teraz szybko, tak że z ledwością mógł jej dotrzymać kroku. Dookoła biegali i krzyczeli ludzie. Tłum zbierał się na drodze prowadzącej do głównego wyjścia. Fay skręciła w przeciwną stronę; jej samotna, przygarbiona postać przemykała pomiędzy opustoszałymi budynkami.

Strzały umilkły; było słychać tylko pełzające kraby.

Arthur próbował krzyczeć do Fay. Chciał, by zawróciła, kiedy zorientował się, że dziewczyna idzie ku krwawemu polu bitwy. Ale ona ciągle szła naprzeciw śmiertelnemu niebezpieczeństwu.

Gdy znalazła się dwadzieścia jardów od krabów, nagle wybuchnęła długo tłumionym płą-

237

czem. Zalana łzami, próbowała przekrzyknąć panujący dookoła hałas.

- Wy diabły, zabiłyście mojego chłopca. Teraz uwolnijcie mnie od cierpienia. Słyszycie? Zabijcie mnie!

Oniemiały Arthur patrzył w przerażeniu na obrzydliwe stwory, przetaczające się po niej jak lawina, jak gigantyczne głazy, które kruszą wszystko na swej drodze. Stratowały Fay tak dokładnie, że gdy przeszły, zobaczył tylko czerwoną miazgę rozgniecioną na trawie.

Arthur stał sparaliżowany, nie dbając o to, czy przeżyje. Przeżył jednak, gdyż kraby podążały niezachwianie ku wyznaczonemu celowi i o niczym innym nie myślały. Pojedynczy człowiek nie miał żadnego znaczenia; nie zatrzymały się nawet, by pożreć to, co zostało z Fay Thompson.

Miles Manning opuścił mieszkanie w chwili, gdy usłyszał pierwsze strzały. Spieszył się, ale starał się nie wpaść w panikę.

Walizki przyciskał mocno do siebie. Były raczej lekkie, dwadzieścia pięć tysięcy nie waży dużo, zwłaszcza teraz, gdy nominały banknotów są tak wysokie.

Oddychanie sprawiało mu trudność. Wyrzucił cygaro, które upadło, sypiąc iskrami. Jeszcze tylko kilkaset jardów, potem odcumuje "Ocean Queen" i zapuści silniki. Wtedy się uspokoi.

Nagle poczuł taki ból, jakby ostre szczypce

238

rozrywały jego klatkę piersiową, nieomal zatrzymał się w miejscu. Przez chwilę budynki dookoła niego zdawały się wirować, a strzały karabinów oddaliły się o miliony mil.

Z trudem doszedł do siebie i ruszył dalej. Nie ma pośpiechu, kraby na razie tu nie dotrą - pomyślał i zaczął zastanawiać się co może być przyczyną bólesci i złego samopoczucia.

Niestrawność, to z pewnością było to. Powinien odżywiać się normalnie. Podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin miał w ustach tylko brandy i cygara. Oddychał ciężko. Chryste, to było takie bolesne!

Dotarł wreszcie do falochronu, obejrzał się, ale nadal nie było nawet śladu krabów. Wciąż słyszał straszliwe krzyki, wystrzały i odgłosy walenia się jakichś budynków.

Srebrzyste morze delikatnie błyszczało w świetle księżyca. "Ocean Queen" kołysał się majestatycznie na falach. Miles

Manning poczuł kolejny atak bólu - jakby ktoś wbił nóż w piersi. Drgnął i zacharczał.

- Stać! - usłyszał nagle.

Zesztywniał, zobaczywszy ukrytego w cieniu wartownika, który trzymał gotową do strzału strzelbę.

- Obawiam się, że nie może pan tędy przejść! - Manning postąpił o krok. To tylko dzieciak, niedoświadczony rekrut, który nigdy nie sądził,

239

że przyjdzie mu użyć karabinu poza strzelnicą. Manning sprężył się, poczuł jak wzbiera w nim gniew. Jego pierś przeszył jeszcze silniejszy ból. Chłopcy z pistoletami mogą być niebezpieczni.

- To ja - wycharczał, ogarnięty straszliwym bólem. - Miles Manning.

- Przykro mi, proszę pana, ale mam rozkaz nie przepuszczać nikogo przez falochron. Proszę zawrócić na kemping.

Ty cholerny dzieciaku! To mój kemping i pójdę tam, gdzie będę miał ochotę. Należy do mnie każdy cholerny skrawek tego wszystkiego. A ta łódź, która tam stoi, też jest moja!

- Proszę się pospieszyć. Słyszał pan, co mówił oficer przez megafon. Może pan wyjść na drogę lub pozostać w mieszkaniu.

Nie ma zbyt wiele czasu, kraby już atakują.

Manning postawił walizki na ziemi. Dyszał jak pies po długim biegu. Co za cholerny pech! Ale żaden dzieciak go nie powstrzyma.

- Ja... idę na... moją łódź. - Zawrót głowy powrócił. Manning mówił z wysiłkiem i niekontrolowaną wściekłością; szara mgła, która zdawała się nadchodzić od strony zatoki, mieniając się odcieniami czerwieni, spłynęła teraz na jego oczy tak, że z trudem mógł zauważyć sylwetkę żołnierza.

- Niech pan wraca. To rozkaz!

Niech diabli wezmą ten rozkaz! Manning wie-

240

dział, co musi zrobić, by udało mu się przedostać na "Ocean Queen". Kilka tygodni temu uderzył chłopca bagażowego, który niczym się nie różnił od tego żołnierza. Złamał wtedy chłopakowi szczękę i tylko pieniądze ocaliły go od oskarżenia o pobicie. Ten cholerny żołnierz skończył tak samo: ze złamaną szczęką.

Manning cofnął się, wziął zamach, jego olbrzymia dłoń zacisnęła się w pięść. I nagle poczuł tak przeraźliwy ból, jakby ktoś uderzył go taranem w pierś. Zatoczył się i przewrócił na stojące obok walizki. Mgła zgęstniała, pociemniało mu w oczach. Ten cholerny żołnierz uderzył go i, na Boga, odpokutuje za to! Próbował dźwignąć się, lecz nie miał siły. Z oddali doszedł go pełen przerażenia głos.

- Czy wszystko w porządku, proszę pana?

Oczywiście, że nie, ty skurwielu. Uderzyłeś mnie! O Boże, moja pierś. Nie mogę wytrzymać z bólu! Chciał krzyknąć, ale mógł tylko pojękiwać. Cierpiał straszliwie. Potem ogarnęła go ciemność i ból minął.

Młody żołnierz patrzył przerażony. Pierwszy raz zetknął się twarzą w twarz ze śmiercią. Niedaleko trwała rzeź, ale dla niego to zdarzenie było tysiąc razy gorsze. Ten facet trzymał się za serce i umierał. Wartownik pomyślał, że musi sprawdzić pomoc, ale uświadomił sobie absurdalność takiej sytuacji:

241

- Na falochronie leży człowiek, który dostał ataku serca. Myślę, że nie żyje, ale nie jestem pewien. Przyslijcie karetkę!

- Chyba żartujesz? Tuziny ludzi umierają dookoła i wielu jeszcze zostanie zabitych, nim kraby wrócą do morza. Nie możemy, żołnierzu, marnować czasu na kogoś, kto dostał ataku serca!

Wartownik wiedział, że nie może niczego zmienić, więc zawrócił i stanął za zakrętem falochronu. Stąd nie widział leżącego twarzą do ziemi człowieka i próbował nawet wmówić sobie, że wcale go tam nie było. Tak będzie najlepiej - pomyślał - Jezu Chryste, kiedyż wreszcie będzie dzień!

- Lepiej wejdźmy do tunelu - powiedział Gordon Smallwood.

Irey zdała sobie sprawę z tego, że gdzieś niedaleko padają pociski. Dzieci przyłgnęły do niej, łkając ze strachu. Gordon pomagał jej, trzymając Louise i Rodneya, gdy ona wpełzała do tunelu. O mój Boże, na pewno dostanie klaustrofobii.

Śmierdziało moczem. Żwir i kamienie, naniesione przez bawiące się dzieci, raniły jej kolana i dłonie.

- Wystarczy - głos Gordona odbił się echem tak, że podskoczyła. - To jest mniej więcej środek. Teraz połóż się tam i spróbuj odprężyć.

- W porządku - odpowiedziała i odwró-

242

ciwszy głowę zobaczyła bladą ze strachu twarz Louise.

- Mamusiu, ja chcę do domu.

- Dobrze, kochanie, nie będziemy tutaj długo.

- Weszliśmy tutaj, żeby kraby nie zaatakowały. - Głos Rodneya zabrzmiał dorośle. - W przeciwnym razie zjadłyby nas.

Och, zamknij się, Rodney. Chyba, że chcesz, by Louise dostała hysterii. - Pomyślała Irey, głośno mówiąc:

- Jesteśmy tu w miarę bezpieczni, Rodney, więc nie musicie się bać.

Odgłosy bitwy docierały do nich przytłumione. Było tak, jakby stali w foyer kina, czekając aż skończy się poprzedni seans i słyszeli wyciszone głosy aktorów. Betonowa rura drżała od wystrzałów. Przejechały jakieś pojazdy, prawdopodobnie wojskowe ciężarówki. A więc następował odwrót!

Leżeli czekając. Dzieci między nimi. Gordon najchętniej wymyśliłby jakąś grę, która odwróciłaby ich uwagę od tego, co się dzieje na zewnątrz. Ale było bardzo mało gier odpowiednich do takiej sytuacji.

Usłyszeli zbliżające się kraby. Beton wibrował, drżał gwałtownie i Gordonowi przeszła przez głowę straszna myśl: przypuścmy, że tunel pęknie pod ciężarem cielsk krabów, a tony ziemi

243

i gruzu zasypią ich żywcem. Próbował odpędzić to natręctwo, z nadzieją, że Irey nie myśli o tym samym. Nie, ten beton był solidny, przewidziano pewnie, że musi wytrzymać ogromne obciążenia.

Louise płakała, a Rodney próbował powstrzymać łzy.

Klik - klik - klikety - klik - klik - klik.

Kraby nacierały z wściekłością, były spragnione krwi jak okrutne wampiry. Coś zakryło światło księżyca na odległym końcu tunelu. To potężny skorupiak drapał beton, szarpiąc go wściekle jak terrier, usiłujący dokopać się do nory królika.

Irey nie mogła powstrzymać okrzyku, cofnęła się i chwyciła Louise. Rodney przyłgnął do jej nóg. Czula przez materiał dzinsów, jak wbija paznokcie w jej skórę.

- W porządku - krzyknął Gordon. Usłyszeli go tylko dzięki temu, że echo zwielokrotniło siłę głosu i odbiło się w zamkniętej przestrzeni tunelu. - Nie dosięgną nas tutaj. Słyszycie, nie dosięgną nas tutaj!

Krab zachował się tak, jakby go zrozumiał i zdał sobie sprawę, że Gordon mówi prawdę. Cofnął szczypcę niemal natychmiast i nie ponowił próby.

Wibracje i klekot osiągnęły teraz szczyt, po chwili wszystko zaczęło stopniowo cichnąć. Gordon nasłuchiwał, próbując sobie wyobrazić, co dzieje się na górze. Skorupiaki zdawały się podą-

244

zać jakimś określonym kursem, jakby wprowadzały w życie powzięty wcześniej plan. Nadeszły od strony łądu, tak jak to przewidział, minęły jezioro, parking... wesołe miasteczko...

Chryste, rozumiał teraz i chciało mu się krzyknąć z radości! Kraby szły tą samą drogą, którą kiedyś przebył samotny stwór, a więc wracały do morza!

Czekał modląc się. Marzył, by wszystko już się skończyło. Ocaleli! O innych rzeczach nie śmiał jeszcze myśleć. Teraz, gdy się uspokoiło, Gordon Smallwood poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

- Zostańcie tutaj, wyjrzę na zewnątrz. - Zaczął cofać się ku wyjściu z tunelu.

- Gordon, bądź ostrożny! - trwoga w głosie Irey została zwielokrotniona przez echo.

- Będę - odpowiedział - ale myślę, że odeszły. Musimy się tylko upewnić.

Wypełzył z betonowej rury i rozejrzał się dokoła. Otoczenie zmieniło się nie do poznania: ziemia rozryta, huśtawki poskręcane.

Wszedł na nasyp wznoszący się nad ich kryjówką i objął wzrokiem cały kemping.

Boże, co za zniszczenia! Parking był jednym wielkim złomowiskiem, samochody leżały w stertach, tam, gdzie zepchnęły je przechodzące kraby. Niektóre zostały sprasowane na arkusze blachy, inne płonęły; zbiorniki z benzyną eksplodowały, a przerażony tłum, zebrany w jednym miejscu,

245

patrzył na pobojuwisko. Im również trudno było uwierzyć, że żyją.

Jeden z budynków leżał w gruzach, a wzdłuż drogi, którą przeszły kraby, wszystko było kompletnie zniszczone. Dalej, tam gdzie nie dotarły monstra, kończyły się ruiny. Piaskowe umocnienie falochronu zostało niemal zrównane z ziemią.

Patrząc na skutki inwazji krabów, można było odtworzyć wydarzenia ostatnich godzin. Kilko ludzi zginęło, ale na szczęście niezbyt wielu, gdyż księżyc nie sprzyjał krabom. Parę nocy wcześniej wszystko mogło wyglądać inaczej, ale teraz ich bóg zabraniał im oddalać się zbytnio od wody, przywołał je z powrotem. Tego wezwania nie mogli zlekceważyć!